



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

808(43.77)

STEFANIA BOJARSKA.  
NASZ DOROBEK KULTURALNY



GALICYA

Wydawnictwo KRONIKI RODZINNEJ, Warszawa.

LUDWI DZIAŁ

K 99505



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Centimetres

Inches



808 (4379)

STEFANIA BOJARSKA.

# NASZ DOROBEK KULTURALNY



# GALICYA



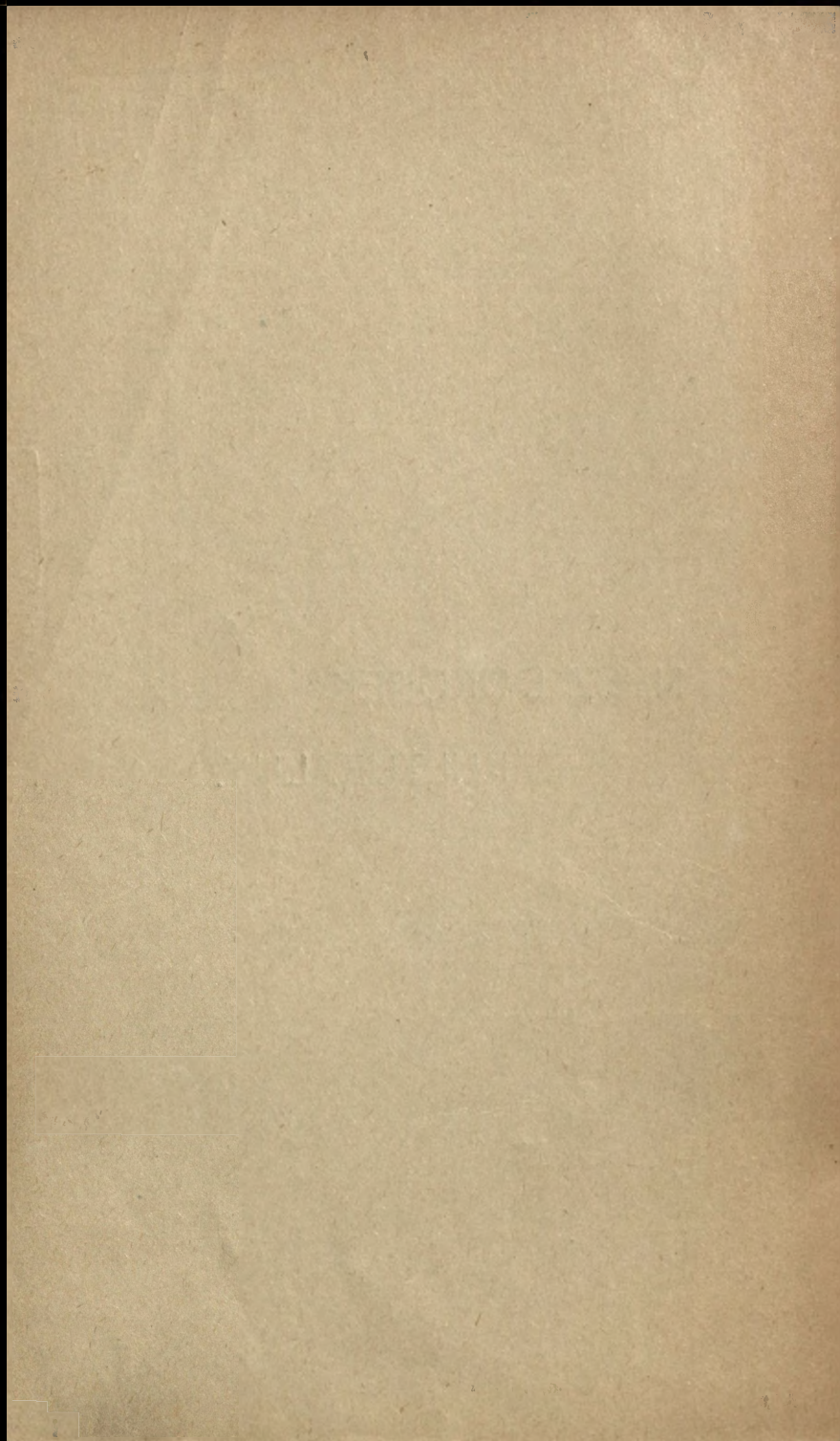
Wydawnictwo KRONIKI RODZINNEJ, Warszawa.

LUDWI DZIAŁO

K 9950 J

W 9950 II

NASZ DOROBEK  
KULTURALNY.



K 9950 II

ABC 7.

Stefania Bojarska.

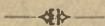
560 -

# Nasz dorobek kulturalny.

Przewodnik dla osób pracujących społecznie  
lub przystępujących do pracy społecznej na wsi  
albo w mieście.

II.

GALICJA.



Z zapomogi Seweryna Saryusza Zaleskiego z Pustowarni.



WARSZAWA. / po 1915 /

Wydawnictwo Księgarni Kroniki Rodzinnej, Podwale 4.

374,30

K 9950<sub>7</sub>



32543/2

## Różne typy wsi galicyjskiej.

„Miej odwagę poznać prawdę  
i powiedzieć prawdę”.

*Ks. Stanisław Konarski.*

### Słowo wstępne.

O stosunkach wiejskich w Królestwie w ostatnich paru latach dowiedzieliśmy się sporo.

Dzięki wytrwałości paru ludzi, którzy wzięli sobie za zadanie stałe informowanie opinii o przejawach życia wiejskiego i dzięki ich wytrwałości, chłop z Królestwa nie jest już dzisiaj dla przeciętnego inteligenta z tej dzielnicy ową wielką niewiadomą, jaką był do niedawna jeszcze.

Inaczej natomiast przedstawia się sprawa znajomości stosunków ludowych, gdy chodzi o chłopą (i stosunki wiejskie, w których on żyje) z pod zaboru austryackiego i pruskiego.

A jednak wobec obecnych zmian politycznych palącą wprost staje się potrzeba poznania fundamentu, którym przecież we wszystkich dzielnicach jest lud rolny.

Z tego wielkiego splotu, jaki obejmujemy mianem stosunków wiejskich, wybieram sobie jedno, a mianowicie: na mocy materiału, którym rozporządzam, postaram się zapoznać Czytelników z paroma typami wsi galicyjskich.

Pierwszym typem będzie wieś, rozwijająca się pod wpływem ideału patryarchalnego współżycia wsi z plebanią. Robotę prowadzi ksiądz proboszcz miejscowy, rządzi włościanami, jak ojciec o mocnej ręce. Drugim typem będzie wieś, dźwigana przez chłopów, z pomocą zde-mokratyzowanych instruktorów rolniczych, wieś uprzemysłowiona, bo prowadząca gospodarkę hodowlaną na wzór wsi czeskich i duńskich.

Trzeci typ, to wieś uspołeczniona na sposób zachodnio-europejski, a więc na podstawie całej sieci kooperatyw wytwórczych i przetwórczych nawet.

Typ ciekawy pod względem ekonomicznym i społecznym. Organizatorem działacz świecki.

Czwarty typ, to wieś zamieszkała przez rzemieślników jednego fachu, siedzących na małych działkach ziemi i zorganizowanych w spółkę do nabywania materiału surowego i zbytu towarów, przez nich wytworzonych.

Zanim przejdę do omawiania wyglądu i ducha, przenikającego każdą z tych wsi, tak głę-boko różniących się między sobą, parę słów o chłopie galicyjskim.

Jest to chłop,—pomimo życia politycznego i społecznego, w konsytycyjnym państwie z natury rzeczy bujniej rozwijającego się,—mało wyrobiony i uświadomiony, po za powierzchowną znajomością form parlamentarnych nie ma on pojęcia o polityce.

Jaskrawym dowodem tego niskiego poziomu politycznego wykształcenia jest choćby fakt taki: że podczas każdego wyborów z wiejskiej kuryi znajdują się w urnach kartki z głosami, dawanymi na cesarza!

Płytką a w wielu wypadkach nieuczciwa robota polityczna w Galicyi, na ciemnocie chłopskiej jak na opoce jest ugruntowana; agitacya

polityczna ma tam na celu owdaniecie głosami chłopskimi, a żadne stronnictwo poważnie nie myśli o wyrobieniu politycznem chłopów-wyborców.

To też mądrzejsi, a dodajmy i uczciwsi z nich, lekceważąco i pogardliwie odnosić się zaczynają do takiej politycznej działalności, mówiąc wręcz: „mnie ta polityka mierzi, miłe mi czyste sumienie, handlował niem nie będę”. Wynikiem takiego poglądu jest i większa nieufność chłopów galicyjskich do inteligentów ze wszystkich sfer.

Więcej tu czasu, niż gdzieindziej, zużyć trzeba na przełamywanie pierwszych lodów.

Ze mną włościanie tutejsi gawędzili dość chętnie, na razie z ciekawością, a potem z chęci dobrania się do mego „wnętrza” i bywało, że pod koniec dłuższej gawędy, po bliższem poznaniu wyrażali żal tak sformułowany:

— „Szkoda, że u nas takich ludzi jak pani niema, — a to z panią można pogadać szczerze po ludzku, po bratersku i duszy nie żal otworzyć, bo czujesz, że pani swoją naościęz otwiera”.

Tak mówili ci, których bezwarunkowo za dodatniejsze typy uważać trzeba.

Inni, to typ wiejskich spryciarzy karyerowiczów; — marzy się takiemu ambitnemu próżniakowi dochrapać karczyny, w karczmie urobić sobie stronników i posłem zostać.

Zapewne, są i między politykę uprawiającymi chłopami jednostki dodatniejsze, uczciwsze, — ale i ci nie wiele zrobić mogą wobec złej, a zastarzałej tradycyi pod tym względem, bo jak to doskonale sformułował jeden z chłopów na ludowym wiecu w Krakowie:

„Trudno na wsi naszej spodziewać się przemiany na lepsze, jak się tak ciągle głupio politykuje.

Nasi politycy, idąc na wieś niby to z dobrą nowiną polityczną, dają chłopu słowa jak żagiew płonące, a nie dają pracy — tak potrzebnej ludowi<sup>7)</sup>.

I rzeczywiście, kto jak nurek w głębinę, zanurzy się na czas dłuższy w skłębione fale mas ludowych w Galicyi, choćby nie wiem jak pilnie szukał i badał, nie dopatrzy się tam głębszej, uczciwszej pracy politycznej wśród ludu.

To też od lat paru widać tam odwrócenie się lepszych ludzi z pośród włościan od polityki i zobojętnienie znaczne dla niej, a natomiast budzące się wśród włościaństwa zainteresowanie pracą społeczną, ekonomiczną i kulturalną.

Taki prąd uderza w Galicyę z Wielkopolski i z Królestwa; znajduje on chętnych naśladowców wśród galicyjskiego ludu i tych nielicznych działaczy z inteligencji, którzy nie zatracili zmysłu rzeczywistości.

Jak ta praca się przedstawia na ludowym gruncie w Galicyi, postaram się to zilustrować na przykładach owych czterech typów wsi, o których wspomniałam.

## Albigowa.

*(Wieś uprzemysłowiona).*

Piękna, malowniczo położona wieś w łańcuckim powiecie, licząca 400 chat. Na tej *pierwszej* w Galicyi odrodzonej i uprzemysłowionej wsi, wzorowały się inne.

Dzisiaj takich wsi, jak Albigowa, jest już w różnych stronach Galicyi kilkadziesiąt. \*)

\*) Naśladują ten wzór przedewszystkiem księża uspołecznieni.

Zaczął tam tę pracę przed laty 30 ksiądz Tyczyński. A zaczął ją w sposób bardzo praktyczny, bo od gruntownego poznania swej parafii.

Zaraz po objęciu jej obszedł z notesem i ołówkiem w rękę wszystkie chaty, notując każdy charakterystyczny szczegół, odnoszący się do życia włościan.

Ciekawy był bardzo. Chciał wiedzieć i widzieć, jak ludzie mieszkają, jak żyją po sąsiedzku i w stadle małżeńskim, jak dzieci chowają, jak pracują, jak jedzą i co jedzą, jak się odziewają i t. p.

Czasem, przy takim wypytywaniu niejednemu ostre słowo usłyszał, boć ludzie wiejscy nie lubią, żeby ich tak na wylot przeglądać. Niewesoło wypadł rezultat tych wywiadów.

Wszędzie do młodego księdza-społeczniaka szczyrzyły zęby: bieda, niezaradność, leniwość i moralne zdziczenie.

Ludność mieszkała w niskich mrocznych chatach, o dachach przegniłą słomą krytych. Na 300 z górą chat, zaledwie 4 miały kominy, reszta to chaty kurne.

Dobytek razem z ludźmi mieszkał i bydlę raczej, niż człowiek, pierwsze miejsce w chacie zajmowało.

Ludzie głodowali z roku na rok na przednówku, z tępą rezygnacją — przymierali głodem razem ze swym dobytkiem, na wiosnę ledwo nogami z głodu powłóczyli, a bydlę to na wiosenną paszę nieraz wynosić wypadło na drągach, bo o własnej sile iść nie mogło.

Było więc źle, że trudno gorzej, a zło potęgowało jeszcze przekonanie, że to już taka „postanowa Boska”.

Trzeba więc było jakiegoś potężnego wstrząsu, by tych ludzi ciemnych, biednych, biedą

i występkiem znękanym, podźwignąć do życia i z letargicznego snu rozbudzić.

Ksiądz, który zapragnął tych ludzi ratować, postanowił zelektryzować ich myślą budowy nowego kościoła.

Napozór, postawienie nowego, obszernego murowanego kościoła, nie było pierwszą potrzebą Albigowej.

Ale księdzu Tyczyńskiemu przyszło do głowy oprzeć się na *jedynym silniejszym uczuciu, jakie tych ludzi ożywiało jeszcze*; zapragnął z budowy kościoła zrobić coś, w rodzaju kursu społecznego życia, pogładową metodą wyłożonego. Jego parafianie żyli, jak wygłodzone wilki, każdy luzem o sobie jeno myślał, dzieliły ich procesy, bitki, swary, zawiści.

Ksiądz powziął myśl wielką i twórczą zesplenia ich w imię wielkiej i zbożnej pracy, a liczył na to, że przy tej sposobności uda mu się *przebudować ich ciasny, gruby, egoizmem nasiąkły, światopogląd*.

A że znał lud do głębi, więc gdy zagral na nucie najwyższej religijnego uczucia, zrobił to jak mistrz i piękny akord wydobyl z tych przyziemnych, szarą troską codzienną przeżartych, pólludzi.

Najpiękniejszym, najgórnieszym w życiu swej wsi nazywa ks. Tyczyński ten okres pracy zgodnej i ofiarnej, a wspaniałej harmonią myśli i czynów, jaka trwała podczas budowy kościoła.

Rzecz godna podziwu i zapamiętania, czas trwania budowy obliczony był przez budowniczego na lat 10, a ukończono pracę w lat 5.

Wszelką pracę przy tej gustownej i jak na wiejskie stosunki wspaniałej świątyni, wykonali parafianie  *darmo*. każdy z nich, bez żadnego wyjątku, został tym „bożym podalkiem” obłożony.

Przez okres pięcioletniej pracy nie zdarzyło się, by jednego człowieka przy tej pracy bezinteresownej brakło; przeciwnie nie raz trzeba było odmawiać, bo wielu, a w tej liczbie młode dziewczęta i chłopaki, dodatkowo pracować chcieli.

— Nieraz—opowiada ks. Tyczyński— miałem istny kłopot z tymi ludźmi: odejść od roboty nie chciał, a płakał i prosił tak rzewnie, że trzeba go było zostawić. Każdy chciał, by jego pracy przy budowie kościoła było *jak najwięcej*.

Źródziło się szlachetne współzawodnictwo w tym zakresie. Działy się rzeczy, jakby żywcem wyrwane z kronik średniowiecznych, tych czasów gorącej, naiwnej wiary.

Oto młode matki, po narodzeniu dziecka, spieszyły do kancelaryi parafialnej, by i tego małego parafianina zapisać i przypadającą na niego część pracy przy budowie kościoła odrobić.

Sam inicjator przechodził nieraz chwile zwątpienia, czy doprowadzić zdola zaczęte dzieło do końca — „ale krzepiła mnie zawsze wiara głęboka i praca ofiarna, radośnie niesiona przez moich parafian”.

Już w czasie budowy kościoła, gdy ludzie się przy pracy pięknej bo bezinteresownej duchowo podnieśli, a umysłowo rozruszali, — zaczęły wyrastać w Albigowej różne instytucje.

Jest ich tam cały szereg:

a oto ich spis:

- 1) Kółko rolnicze,
- 2) Szkoła gospodyń wiejskich,
- 3) Szkoła koszykarska,
- 4) Fabryka dachówek i rurek drenarskich,
- 5) Młyn parowy,
- 6) Kasa Raifeisena,
- 7) Spółka mleczarska,

- 8) Spółka drenarska,
- 9) Straż ogniowa,
- 10) Szkoła,
- 11) Czytelnia,
- 12) Kółko gospodyń wiejskich przy Kółku rolniczym,
- 13) Pomnik grunwaldzki,
- 14) Sklep Kółka rolniczego,
- 15) Cegielnia,
- 16) Komitet Ligi pomocy przemysłowej.

Jak więc widzimy, wieś ta może się wykazać dużym dorobkiem tak w zakresie instytucji kulturalno - oświatowych, jak i ekonomicznych.

Bieda została tam przepędzona za góry i lasy.

Wieś ma zakłady przemysłowe, w których zarabia poważne sumy.

Omija pośredników, bo zboże sprzedaje własnemu młynowi, mleko mleczarni, bydło i drób spółce udziałowej „Producentów bydła i trzody w Łańcucie”, jaja kupuje od miejscowych gospodyń sklep Kółka rolniczego, który też dostarcza im w zamian wszystkich towarów tak kolonialnych, jak i innych.

Lichwa znikła ze wsi, bo kasa zajęła się uporządkowaniem stosunków kredytowych.

Synowie włościan miejscowych, zwłaszcza tych uboższych w ziemię i synowie bezrolnych komorników, mających jeno chatę i ogród, znaleźli pracę na miejscu w młynie, cegielni, fabryce dren i w koszykarni.

Córki ich uczą się porządnego prowadzenia gospodarstwa domowego w miejscowej szkole; — jest to jedna z tych nielicznych u nas szkół gospodarczych, mająca dużą ilość dziewcząt przychodnich miejscowych.

Gospodynie mają swoje Kółko, gdzie radzą o swych kobiecych sprawach, chodzą jednak

już i na posiedzenia innych miejscowych instytucji, gdyż oświecone przez szkołę, mają już szerszy horyzont i interesują się całokształtem stosunków wiejskich.

Głównie dzięki ich poparciu powstał w tej wsi młyn.

Gospodarze starsi piastują urzędy w spółkach i innych stowarzyszeniach.

Młodzież męska w „Drużynach Bartoszych” i straży ogniowej znajduje właściwe dla swych sił i dążeń ujście.

W zakresie kultury rolnej zrobiono już sporo, — dużo jednak jeszcze jest tam w tej dziedzinie do zrobienia.

A więc przedewszystkiem należy doprowadzić do zdrenowania wszystkich pól. Spółka miejscowa, istniejąca tam od r. 1903, do której wszyscy miejscowi gospodarze są zapisani, przeprowadziła tę radykalną meliorację dopiero na pewnej części pól gromadzkich.

Dalej, pilną sprawą jest tam poprawienie hodowli świń i krów, ale i w tym kierunku dużo już zrobiono; obecnie dążą do zaprowadzenia związku hodowlanego, gadają o stałej posadzie kontrolera obór. Kółko rolnicze coraz żywoniej się tam zajmuje sprawami, w jego zawiadywaniu będącemi.

Co zaś do poziomu wyrobienia członków Kółka, to najlepiej o nich świadczą pewne fakty:

Aby się wprawić w omawianie zagadnień rolnych i samodzielnie myślenia, zaczęli sami członkowie wygłaszać pogadanki rolnicze i społeczne.

Jest to nowość, na terenie galicyjskich Kółek prawie nie spotykana, a która u nas w Królestwie, o ile wiem, z powodzeniem praktykuje się od 3-ich lat w Kółkach rolniczych C. T. R. w okręgu Mińsko-mazowieckim.

Na pochwałę u tutejszych rolników zasługuje też mądry, od dość dawna już w użyciu będący, zwyczaj racjonalnego dzielenia pól.

Zamiast krajać je w wązkie paski, jak się to dzieje powszechnie, dzielono ziemię w kwadraty, stąd poszła dogodna do uprawy figura poletek chłopskich.

I jeszcze jedna uwaga, tutejszych gospodarzy cechuje wspaniały solidaryzm, przejawiający się nietylko w kupieniu się około instytucji, ale i w ratowaniu zadłużonych sąsiadów, gdy chodzi o własność gruntową.

Mają sobie oni za święty obowiązek ratować zagrożonego sprzedają ziemi sąsiada — i ratują go skutecznie.

— „Hańbą by to było, żebyśmy choć skibkę ziemi kmiecej, co ją dziady i ojce nasze obrabiały, puścili ze swych rąk” — mówią właścianie.

Miewają ci kmiecie, bo tak o sobie mówią, piękne pomysły.

Kiedyś, poruszeni płomiennem kazaniem swego przewodnika, w dobrych zamiarach zrobili znowę między sobą i postanowili omijać karczmę jak zapowietrzoną. A wytrwać w tem postanowieniu nie łącno im było, bo karczma stała na środku wsi, naprzeciw kościoła, obok szkoły, więc nie na żadnem odludziu, jeno w samem środku zbiorowego życia wiejskiego.

Ale ponieważ gromadną znowę z uroczystą przysięgą uczynili, że progu karczmy nogą nie przestąpi żaden, więc wytrwali i przechodzili koło niej tygodniami całymi, jakby jej nie widząc.

Karczmarz, chcąc przelamać ich upór, a może i rachując na słabość ludzką, z butelką w kobiałce zaczął myszkować po chatach, a perswadować i podchlebiać po swojemu; wymowny, był ani słowa, boć szło mu o byt, ale

i to chłopów, utwierdzonych w przekonaniu, że karczmę na swej wsi skasować muszą, — nie poruszyło.

— „Wytrwalim przy swoim słowie. Karczmarz, widząc, że to nie żarty, karczmę na sklep Kółka Rolniczego sprzedał, sam się przeniósł na inną wieś, a my, że to chcieliśmy mieć pamiątkę wyzwolin od onej trucicielki duszy i ciała, zrobili składkę na kapliczkę i stoi sobie ona jako świadectwo, że jak się człowiek mocno na co zaważmie, to wszystko zmoże”.

Taką opowieść usłyszałam od jednego z tamtejszych gospodarzy, a członka Kółka rolniczego, w czasie zwiedzania wsi, której zamowność i schludne zabudowania, najczęściej murowane, z ganeczkami i ładnie zadrzewione, chodziłam zblizka oglądać.

Któregoś dnia zachciało mi się zwiedzić nieznaną mi jeszcze część tej dużej, usianej instytucjami i zakładami przemysłowymi, wsi; powiedziano mi w szkole gospodyń — gdzie miałam punkt oparcia, że w tej stronie zobaczę i „pomnik grunwaldzki”.

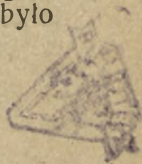
Pytam się o niego przechodzącego gospodarza.

Zaczyna się śmiać na całe gardło i odpowiada:

— „Adyć ma go pani przed oczyma i po co szukać dalej”.

Rozglądam się bacznie dookoła ale nic podobnego do krzyża, kopca lub figury jakiegś nie widzę.

— „A to już chyba będę musiał pani palcem pokazać nasz posąg, bo okazały, tak jak krakowski, to ci on nie jest, ale taki sobie gospodarski, na jaki nas, kmieci biednych, było stać, to my i postawili”.



Schodzi na bok porządnie utrzymanej, rowami okopanej drogi, ujmuje rosnącą, opalikoną młodą jabłonkę i powiada tym razem uroczyście:

— „To jest nasz chłopski pomnik grunwaldzki.

Wysadzili my na tę pamiątkę 400 drzewek owocowych, każdy na własnym gruncie przy drodze”.

Z tych paru rysów łatwo sobie odtworzyć współczesnego kmiecia z Albigowej.

Mocno w ziemię wrosły, obowiązków wobec niej świadomy, kooperatywnem działaniem uspołeczniony, coraz śmielszem okiem patrzy w przyszłość i do coraz trudniejszych przedsięwzięć garnie się ochoczo.

Lud wiejski w Albigowej posiada już i swoistą inteligencję, fachowo wykształconą, bo i o tem w swej pracy ks. Tyczyński nie zapominał.

A choć obecnie inny proboszcz od lat paru gospodarzy na plebanii i w instytucjach tutejszych, włościanie albigowscy z niezwykłą wdzięcznością wspominają tego swego pierwszego budziciela, który rządził nimi nikiej ojciec o twardej ręce, ale miłującym ich sercu.

— „On tu myślał za nas wszystkich, a jak było potrzeba pieniędzy, albo pracy naszych rąk, to do nas wtedy przemawiał, jak ojciec do dzieci, a my czuli, że on ino naszego dobra chce, to my słuchali i dobrze nam z tem było. Nikomu i w głowie nie postalo, żeby się proboszczowi przeciw w czemkolwiek”.

Z tych słów, a i z innych objawów i opowiadań ludzi, rzeczy świadomych — widać, że odrodzenie społeczno-ekonomiczne Albigowej dokonało się za ks. Tyczyńskiego w atmosferze czysto patryarchalnej.

Starszej generacji włościan ten system w postępowaniu z nimi odpowiadał, młodych niezawodnie by już raził nieraz, to też szczęśliwie dla dalszego rozwoju społecznego tej wsi stało się, że następca ks. Tyczyńskiego, młody wiekiem, z ludu wiejskiego pochodzący ksiądz, jest bardziej zdemokratyzowany od swego poprzednika i żarliwie pracuje w kierunku podniesienia oświaty i kultury rolnej.

Jest więc nadzieja, że to, co na tej wsi konserwatywny działacz, w tak wielkim i szerokim zakresie stworzył, nietylko nie podupadnie ale pogłębi się i dalej rozwijać się będzie.

Ksiądz obecny nie boi się krzewić i racjonalnego krytycyzmu wśród swych parafian. I tak: dzięki niemu zaczynają Albigowianie głębiej i surowiej sądzić sami siebie.

Zaczynają już ich razić pochwały, nieraz przesadzone, które z racji częstych wycieczek, do ich wsi skierowywanych, słyszą o sobie i tak o tem sądzą:

— „Zadużo tych pochwał — zadużo — a to źle, bo niejednemu w głowie zawrócą, jak wódka i powie sobie taki: wszystko, co było trzeba — już na naszej wsi zrobione, i teraz można ręce założyć i pochwał ino słuchać”.

Co zaś do nowego proboszcza, to ten, oddając wielkie pochwały genialnym wprost zdolnościom organizacyjnym swego poprzednika i przyznając tutejszemu ludowi wielkie zalety iście piastowskie, tak o nich do mnie się wyraził:

— „Moi parafianie dopiero zaczynają teraz myśleć i działać samodzielnie, tego dotąd zupełnie nie umieli, umieli tylko słuchać; nie można się dziwić, że tak jest...”

## Jodłownik.

(Wieś hodowców bydła).

— „Chce pani, żeby jej wskazać racjonalnych hodowców bydła polskiego — chłopów?”

Służę pani, mamy taki kął w Galicyi, w limanowskim powiecie.

Niech pani sobie zapisze Jodłownik, tylko dobrze byłoby, żeby pani miała nazwiska tamtejszych wybitniejszych hodowców, ja ich nie znam. Hm! jakby to zrobić?” — mówił w zamyśleniu, trąc czoło, prof. Bujak.

— „O to, to już mi będzie nie trudno się postarać — odpowiadam. — Mam listy polecające od członków zarządu C. T. R. z Królestwa; pójdę z nimi do Tow. Rolniczego Krakowskiego i wezmę list polecający od instruktora hodowlanego wydziału; obecnie chodzi mi o pańskie zdanie, czy tam do tej wsi pojechać warto”.

— „A naturalnie, że warto poznać na miejscu ten nasz pierwszy związek hodowlany chłopski. Znajdzie tam pani ludzi, którzy przez swą wytwórczość wchodzą w zetknięcie z szerszym światem, do Wiednia już nawet jeździli — nagrody wzięli.

Pani sama mówi, że w Królestwie dobry drobny hodowca, to typ kulturalniejszego chłopca, to samo daje się spostrześć i u nas.

A dla porównania dobrze będzie zobaczyć, jak działalność hodowlana rozwija się u nas w Galicyi, tem bardziej, że tu idzie o polską rasę, głównie przez chłopów z tych okolic od zagłady uchronioną”.

Po tych zapewnieniach prof. Bujaka, znakomitego znawcy stosunków gospodarczych w Galicyi, zakarbowalam sobie ów Jodłownik w pamięci.

Od fachowców - rolników i hodowców dowiedziałam się o nim szczegółów: Po okresie prób niefortunnych krzyżowania polskich krów czerwonej rasy z importowanymi zauważono, że w miarę, jak krew ras zagranicznych przeważać zaczęła w bydle czerwonym polskim, stawało się ono coraz bardziej wybredne, delikatne i na choroby coraz mniej odporne. Zbadawszy to, postanowiono zawrócić z tej drogi i odtworzyć, uszlachetnić typ krajowy, bez pomocy krwi obcej, jedynie z tego materiału, jaki głównie zachował się w hodowli włościańskiej w niektórych okolicach Galicyi.

Narazie, wobec niedostatecznej ilości materiału rozplodowego, powstała myśl założenia cielęciarni w zachodniej części powiatu limanowskiego w okolicy dość rozległej, między Szczyrzycem a Tymbarkiem, gdzie się u włościan znaczniejsza jeszcze ilość bydła tej rasy znajdowała. W tej to okolicy zakupiono na początek 30 typowych cieląt od włościan miejscowych. Te cielęta powierzone zostały opiece i kontroli doświadczonego hodowcy ś. p. Stefana Romera, właściciela wsi Jodłownik, do dalszej hodowli z tem zastrzeżeniem, że po roku, po przebrakowaniu, będą one użyte do tworzenia obór zarodowych i stacyi stadników dla włościan.

Materyał do tej cielęciarni był zakupywany u włościan co roku, przez lat 3.

Z najlepszych sztuk, wybranych z tej cielęciarni, założono następnie 8 obór zarodowych i 10 stadników rozmieszczono na stacyach u miejscowych włościan.

W tym samym czasie, kiedy powstała w Jodłowniku racjonalnie prowadzona cielęciarnia, pan Romer założył tamże prywatną oborę

czerwonego bydła. Jest ona dotąd fundamentem hodowli czerwonego bydła polskiego w Galicyi.

Obora ta miała bardzo duży i dodatni wpływ na poprawę hodowli włościańskiej miejscowej, zwłaszcza w pierwszych latach, kiedy jeszcze zawodowe uświadczenie włościan-hodowców było małe; dla zachęty przyjęto za zasadę, by obora w Jodłowniku każdą czerwoną krowę włościańską stanowiła za darmo.

Zachęta była skuteczna, w przeciągu 3 lat takich odstanowień krów włościańskich, było z górą 1000.

Jak widzimy, dwór w Jodłowniku był dla okolicznych włościan poglądową i teoretyczną szkołą hodowli bydła rasy polskiej.

Na tej podstawie dobrze zrozumianego obopólnego interesu ułożył się tam w tej wsi stosunek niezwykle życzliwy między dworem a chatą, a wiedzieć trzeba, że taki przychylny stosunek między włościanstwem a dziedzicem należy w Galicyi do nader rzadkich zjawisk.

Tak szybki i pomyślny rozwój hodowli czerwonego bydła polskiego zrodził — rzecz prosta — potrzebę zjednoczenia usiłowań i nakreślenia im drogi dalszego rozwoju, oraz wytknięcia stałego kierunku dla całej działalności hodowlanej.

W r. 1895 pod opieką Tow. Rolniczego krakowskiego powstaje „Towarzystwo hodowców czerwonego bydła”.

Celem tego związku jest:

1) Odrodzenie rasy bydła czerwonego polskiego i podniesienie jego chowu w kraju.

2) Za środki do osiągnięcia tego celu przyjęto:

- a) stosowny dobór osobników do rozplodu;
- b) odpowiedni wychów młodzieży;
- c) zaprowadzenie jednolitego rodowodu;

d) utrzymanie lepszych sztuk bydła tej rasy w rękach stowarzyszonych;

e) rozpowszechnienie tego bydła i wyszukanie dróg zbytu;

f) urządzenie wystaw i premiowań.

Jedną z głównych prac Tow. hodowców bydła polskiego było dokonanie starannej selekcji w oborach zarodowych, wytworzonych z owej cieleśniarni, o której wspominałam, a następnie założenie księgi zarodowej. Na początek postanowiono do tej księgi przyjmować sztuki na podstawie jedynie zewnętrznego wyglądu i mleczności, naturalnie o ile możliwości typowe, mniej natomiast zwracano uwagi na dobrą budowę, chodziło bowiem przede wszystkim o rozmnożenie tego typu, — nie można więc było na razie stawiać zbyt wielkich wymagań. Dopiero po latach 15 a więc w r. 1910 Wydział Tow. hodowców czerwonego bydła polskiego opracowuje nowy regulamin; sztuki zarodowe wtedy dopiero poddane zostały ściślejszemu ponownemu badaniu za pomocą pomiarów ciała, a sztuki wybrane opiętnowane zostały na rogach numerem bieżącym oraz literami Z. P.

Wydział (zarząd) Tow. hodowców, położwszy od samego swego zawiązania główny nacisk, by rasę polską ulepszyć, głównie tam, gdzie ona w hodowli włościańskiej zachowała się i gdzie wskutek tego w wielkiej znajdowała się ilości, i gdzie, co też brano pod baczną uwagę, ludność włościańska z zamięłowaniem, przekazywanem z pokolenia na pokolenie, zajmowała się tą hodowlą.

Doświadczenie, tysiącem przykładów stwierdzone, dowiodło, że rasa ta, ze względu na swe skromne wymagania, wszechstronną użyteczność, tak co do produkcji mleka o wysokiej zawartości tłuszczu, jak i co do pociągu

i opasu, oraz wielką odporność na choroby zaraźliwe, *najbardziej* się dla polskiego rolnika drobnego nadaje. To też już od r. 1892 z większą energią popierano w Galicyi hodowlę bydła czerwonego u włościan, przy pomocy związków hodowlanych włościańskich, obór gminnych \*), stacyi stadników, oraz systematycznie przeprowadzanych premiowań.

Pierwsze takie związki hodowlane założone zostały w Jodłowniku w powiecie limanowskim i w Wilamowicach w pow. bialskim a więc w okolicach podgórskich, gdzie z pradawnych czasów jeszcze ten typ bydła, ongi rozpowszechnionego w całej Koronie, Litwie i Rusi, przechował się w dużej ilości w hodowli włościańskiej.

Widząc, jak szybko takie związki włościańskie pchają sprawę hodowli u włościan na właściwe tory, poczęto je zakładać i gdzieindziej.

Obecnie takich związków hodowlanych włościańskich ma Galicya 17. Znajduje się w nich 30 stadników i 728 krów, wpisanych do księgi związkowej. Organizacya związków hodowlanych jest bardzo prosta: Polega na tem, że wpis członków i selekcyja (dobór) bydła odbywa się podczas premiowania, które w obrębie związków odbywa się corocznie.

Sztuki, przyjęte do związku włościańskiej hodowli, dostają odpowiedni znak w uchu i zostają za №-em wpisane do ksiąg związkowych, które prowadzone są przez kontrolerów związku hodowców.

Zależnie od ilości krów przeznacza się odpowiednią ilość stadników, a do tych ostatnich tylko krowy związkowe mogą być doprowadzane.

\*) Znaczy to samo, co wiejskich, bo w Galicyi każda wieś ma swoją gminę.

Drugą poważną akcją hodowlaną jest zakładanie obór gminnych, naturalnie tam, gdzie już warunki hodowlane są o tyle dobre, że dają pewność należytego prowadzenia takiej obory zarodowej.

Obory gminne tworzy się przez rozdawanie 8 — 12 krów miejscowym hodowcom, po jednej sztuce każdemu, za co wplacają do związku hodowlanego po 160 koron od sztuki. Obory te zostają pod fachową kontrolą opiekunów, mianowanych przez komitet, a mają one za zadanie wychowywanie i rozmnażanie materiału hodowlanego wyższego typu, który z kolei wpływałby na podniesienie hodowli w danej wsi i coraz szerszy teren okolicy obejmował. Działalność związku hodowli włościańskiej w zakresie obór gminnych w ciągu ostatnich lat 6 przedstawia się w cyfrach jak np.:

Utworzono 13 obór gminnych z 112 krowami, 8 stadnikami i 105 sztukami przychowku; ponadto w 5 oborach używane są stadniki umieszczone w oborach dworskich i związkach hodowlanych.

W oborach gminnych, zostających pod nadzorem komitetu, corocznie odbywają się premiowania, nagradzające przede wszystkim przychowek po krowach zarodowych.

Na jakość i ilość stadników zwrócona jest baczna uwaga. Oprócz stadników w związkach hodowlanych i po oborach gminnych bywają tworzone liczne stacye po całej zachodniej Galicyi, z pomocą funduszków subwencyjnych.

W ciągu 2 lat ostatnich z funduszków tak zwanych „traktatowych” zakupiono 38 stadników rasy polskiej i te rozmieszczono po stacyach, z wielkim pożytkiem dla hodowli włościańskiej.

Przy rozmieszczaniu stadników za wskazówkę służy rozgraniczenie stref hodowlanych.

Ilość stadników rasy czerwonej polskiej, w zachodniej części Galicyi rozmieszczonych po wsiach, przedstawia się w cyfrach dość pokaznie.

W oborach zarodowych było ich . . .	15
W związkach hodowlanych . . . . .	30
W oborach gminnych . . . . .	137

Razem 182

Oczywiście, tak w oświetleniu statystycznym przedstawiał się stan hodowli włościańskiej czerwonego bydła w Galicyi — przed wojną.

Wszyscy, pracujący tam w tej pożytecznej dla przyszłości drobnego rolnika akcji hodowlanej, stwierdzają coraz żywsze i ogólniejsze zainteresowanie tą hodowlą bydła, najpraktyczniejszego dla stosunków gospodarczych włościańskich naszych, a które, zdaniem takiego znakomitego znawcy i hodowcy jak p. Feliks Sandoz, *„przez żadną inną rasę z korzyścią zastąpione być nie może”*.

Takie to rzeczy z dziejów akcji hodowlanej galicyjskiej były mi wiadome, gdy pewnego popołudnia czerwcowego jechałam na wózku gospodarza Wojciecha Bartosza ze Mstowa do wsi Jodłownika.

Powiat limanowski ma małą ilość ziemi w rękach większej własności, droga więc z miasta powiatowego Limanowej szła nam wśród pól chłopskich, choć nie zupełnie dobrze ale już nieźle uprawnych.

Mijaliśmy wsie dobrze zabudowane, tonące w sadach. Po drodze mijaliśmy i wieś Wilkowisko, wieś do sadu podobną, niezwykłą nawet w tym powiecie, zasobnym w drzewa owocowe, gdzie rada powiatowa od lat kilkunastu prowadzi nader energicznie działalność sadowniczą.

Widok lepiej uprawnych pól, często spotykane ogniotrwałe zabudowania gospodarskie, piękne sady, wszystko to wprowiło mnie w doskonały humor.

Stałam się rozmowną i postanowiłam rozruszać moich towarzyszków podróży.

Moja — przypadkowo dobrana — kompania, składała się: z małżeństwa starszego, i jak się okazało z rozmowy, w stanie wojennego pogotowia żyjącego ze sobą od lat wielu, z młodego parobczaka, syna tej gospodarskiej pary i sąsiada ich, przygodnie podwożonego, podobnie jak i ja.

Co do mej osoby, to została ona do przewiezienia rodzinie Bartoszków narzucona dość kategorycznie przez instruktora powiatowego, p. Hłynia, na zebraniu „Spółki rolniczo-handlowej” w Limanowej. Pod wieczór, po zebraniu i po załatwieniu wszystkich interesów, podjechali ci gospodarze pod moją kwaterę, by mnie zabrać i dostawić do Jodłownika, jako że droga szła im przez tę wieś.

Zauważyłam nie bez pewnego wewnętrznego niesmaku, że oprócz parobka, kobiety, no i mnie, obaj mężczyźni mieli na sumieniu jakąś libację, która ich sennie usposobiła.

Zmiarkowawszy to po ich minach, dozwoliłam im się wydrzemać, a że i świeże powietrze zrobiło swoje, więc po jakiejś godzinie byli zupełnie możliwi do prowadzenia rozmowy.

Byli tylko skłonni do prawienia komplementów, ale że to wychodziło całkiem zgrabnie i nie bez pewnego humoru staropolskiego, więc tak gwarząc i żartując, jechaliśmy resztę drogi. Gospodarz Bartosz jest namiętnie rozmilowany w sadownictwie.

Marzeniem jego jest dojść do posiadania 1000 sztuk drzewek owocowych, obecnie ma ich 800, a że chłop nie stary jeszcze, więc

o ile się nie rozpije na dobre, może zrealizować to swoje gospodarskie marzenie.

Przechwala się tym swoim sadem, czując, że sztuki nielada dokazał.

Opowiada mi też między innymi szczegółami, że pomiędzy drzewkami ma taką jablonkę, która dopiero w 10 roku rodzić zaczyna.

— „To mówię pani, co ja się na tę drzewinkę nazłościł, a to nieraz podchodziłem do niej z siekierą, albo z łopatą, żeby ją precz wyrzucić z pośród tych drzewinek, co już rozdziły, — ale mnie zawsze wstrzymywała ciekawość, co też to z tego będzie? co to za jabłka „specyalne” na tej drzewinie wyrosną”.

— „A to nawet nie nadzwyczajnie by te jabłka wyglądały, bo to pewno byłaby Reneta Coulona, napozór dość zwykłe, zielone jabłko” — robię uwagę.

Patrzy na mnie z błyskiem zdziwienia w oczach i odpowiada.

— „No, że też i o tem pani wie? Co za mądre kobiety w tem Królestwie żyją, no, no, ani bym się tego spodziewał. A tak — akuratnie „Kulona, kulona”, tak napisane było na deseczce.”

Nie zmieszana tą pochwałą, ciągnę dalej spokojnie.

— „Ale mi dziwno, że ogrodnik ze szkółki powiatowej dał panu gospodarzowi taki szczep.

Zwykle jabłoni z tego gatunku nie daje się do hodowli włościańskiej, bo mało który gospodarz chciałby czekać 10 lat na owocowanie drzewka”.

— „A ja doczekał—widzi pani?”—i drapieżna twarz o góralskim typie łagodnieje w radosnym podziwieniu dla własnej cierpliwości.

Potem opowiada mi, już z całym zaufaniem, że pan sekretarz ich Rady powiatowej,

chce założyć „Spółkę owocarską”, a on pierwszy chce do niej przystąpić, więc pyta się, czy to będzie dobrze.

Naturalnie chwale mu ten jego zamiar.

Potem opowiada mi obszernie o gospodarstwie swoim, narzeka na innych gospodarzy a swoich sąsiadów, którzy nie chcą „spółki drenarskiej” zawiązać, a on widzi już, jaki by to pożytek ze zdrenowania pól mógł być w jego wsi, mającej grunta mokre, sapowate.

— „Ot! zobaczy pani, jakie to piękne urodzaje ma Jan Drożdż w Jodłowniku, do którego pani jedzie, — ale on ma wszystkie pola zdrenowane już oddawna.

To gospodarz całą gębą!

Ale on się „ciągiem” stara, aby się uczyć i naprzód postępować”.

Tak gawędząc, wjeżdżamy w oplotki Jodłownika.

Uderza na wstępie, że jest tu dużo domów i budynków gospodarskich murowanych, sady przed domami porządnie pozakładane, — widać zamożność i ład.

Wchodzę do ładnego mieszkania, po schodkach ganeczek, wychodzący na młody, prawidłowo zasadzony sad.

Sień długa, po jednej stronie część gospodarska, po drugiej sypialnia rodziny i pokój gościnny — „światlica”.

Pod dach jodłownickiego gospodarza wprowadza mnie uprzejma, poprawnie mówiąca i bardzo towarzysko wyrobiona, córka gospodarza.

Uderza mnie wielka, wytworna czystość pokoju: podłoga, szyby w dużych oknach, pościel, serwety, kapy na łóżkach, wszystko to aż lśni się, takie czyste, domyte i porządnie uprane.

Ujmuje mnie widok bukietów z łącznych kwiatów, stojących na komodzie i stolikach i wygląd kwiatów doniczkowych, starannie pielęgnowanych, pomiędzy którymi nie brak oczywiście obrzędowego rozmarynu i mirtu.

Dziewczynka okazuje się bardzo rozmowna, objaśnia mnie grzecznie, że ojciec jeszcze z pola nie wrócił, ale zapewne wielce się ucieszy z gościa; taki zawsze rad jest, jak może swoje gospodarstwo i oborę oraz lepsze gospodarstwa sąsiadów swoich pokazać.

Przechodzimy potem w rozmowie na stosunki miejscowe. Jodłownik ma szkółkę, ma Kółko rolnicze i sklep Kółka, ma ochronkę i salę zajęć, utrzymywane przez Siostry Dominikanki, które też zajmują się leczeniem ludności miejscowej. Leczą głównie ziołami, podobno bardzo skutecznie.

Jodłowniccy gospodarze kształcą i wyżej swe dzieci: dużo jest ich w gimnazyjach i na uniwersytetach we Lwowie i Krakowie, to też jak przyjadą na wakacje, ruch wielki powstaje; urządzają teatry amatorskie, śpiewy, wycieczki—odczyty. To tylko bieda, że bałamuty z nich straszne, a roboty ciężkiej, ręcznej to się tak wstydzą, „jak by im ona jaką hańbą była”, pijaństwa i rozpusty też między nimi nie brak; to też jak która dziewczyna na wsi mądrzejsza się trafi, to ją coś od takiej młodzieży aż odpycha i radaby sama na siebie zarabiać i o własnej mocy dawać sobie radę w życiu, byle jeno na takiego męża pijaka i ladaco nie paść.

Takie to, niewesołe rzeczy, opowiada mi młoda, o smutnych — poważnie patrzących—oczach dziewczyna wiejska, córka zamożnego gospodarza w Jodłowniku. Potem proponuje mi spacer. Idziemy przez wieś, otuloną zacisznie

w zieleń dużych sadów i dobrze wysadzonych dróg, a dziewczątko wypytuje mnie ciekawie o różne rzeczy.

Umie już pytać i słuchać uważnie odpowiedzi.

Podczas kolacyi, którą podają mi osobno, przychodzi gospodarz, młody jeszcze, o wybitnie inteligentnej ruchliwej twarzy, wieśniak, ubrany z „waszecia”.

Ma poczucie swej wartości, umie z dostojną powagą pełnić obowiązki gospodarza na obszarze swej zagrody; umie już rozkazywać krótko, dobitnie, stanowczo. Chętnie, w myśl listów polecających, które uważnie czyta, podejmuje się pokazać mi dorobek hodowlany swej wsi; opowiada mi dzieje Związku. Dobry, życzliwy stosunek do dworu, — podkreśla temi słowy: — „Proszę pani — dla chłopca, nie potrzeba lepszej szkoły pod względem rolnictwa i hodowli niż dwór, ale trzeba, żeby to był, jak się należy dwór, a nie marnotrawca i demoralizator chłopca.

Tymczasem u nas w Galicyi to jest tak, że naogół, to jeszcze dwory powinnyby iść na naukę rolnictwa i hodowli do chłopów.

My przy ziemi trzymamy się, chłop nasz i po 3 razy do Ameryki na ciężką pracę pojechać gotów, aby jeno przy ziemi zostać, długi spłacić i przykupić, co się ino da.

A tymczasem dworska własność wymyka się z rąk szlachty, bo nasi panowie jeszcze niedołężniej od chłopca ciemnego, ale na ziemię chciwego, obchodzą się z własną gospodarką.

Tem się tłómaczy i mały wpływ naszych Tow. rolniczych, bo o panach, co tam pracują, chłop nasz powiada:

„Sami swoje prze hulali, a teraz na nauczycieli naszych się wykierowali”.

Tak gawędzimy, popijając razem herbatę. Pod koniec rozmowy gospodarz wydobywa z szafki starannie przechowywane swoje medale i dyplomy, za hodowle otrzymane we Lwowie i Wiedniu.

Twarz promienieje mu cichem zadowoleniem. Winszuję mu serdecznie, a on mi na to powiada.

— „Ja mam u siebie mądrą książkę Stanisława Szczepanowskiego: o „Idei narodowej”, tam w niej stoi, że człowiek, który nic nie produkuje — ciężarem i wstydem jest dla narodu, który go wydal”.

Ja już jestem rolnikiem, produkującym pozytywne wartości, ja już nie jestem pasożytem”.

Przechodzimy na inne, nieco idealniejsze tory; robię w rozmowie ten zwrot, bo zdaje mi się, że z chłopem, rozumiejącym Szczepanowskiego, godzi się pogadać i o tych bardziej abstrakcyjnych wartościach.

I na tym terenie myśl jodłownickiego gospodarza dość lotnie się porusza.

— „Co za szkoda, że takich ludzi, jak pani, my tu nie mamy — a przynajmniej nie widzimy ich po wsiach.

Musi pani tu do nas na dłużej przyjechać, zrobimy pani porządne zebranie z najdzielniejszych ludzi z okolicy, po paru z każdej wsi. Jak się pani słucha, to tak, jakby coś bardzo dobrego i jasnego w duszę wchodziło”.

Bije późna godzina, żegnamy się, jak do brzy — starzy znajomi.

Zostaję sama w dużej jasnej świetlicy.

Uprzejma córka gospodarza przygotowała mi już łóżko i wodę do mycia. Po jej wyjściu gaszę światło i wsuwam się pod wielką pierzynę.

Poświata miesięczna zalewa izbę, promienie księżycy ślizgają się po obrazach świętych

i bohaterów narodowych, muskają kwiaty.... nie chce mi się spać, wsłuchuję się w ciszę uroczystą wiejskiej letniej nocy i myślę....

Jak dobrze, że są już w Galicyi włościanie, z którymi tak szczerze i tak poważnie rozmawiać można....

. . . . .

Nazajutrz rano, mała dziewczuszka, schludnie ubrana i wymyta, najmłodsza córka gospodarza, wsuwa się jak myszka, by wziąć moje obuwie do czyszczenia.

Zapoznaję się z nią; jakaś zabłąkana w mej torebce pomarańcz i tabliczka czekolady przyczyniają się do przelamania pierwszych lodów; kończy się na rozmowie o szkolnem życiu małej i na wyrecytowaniu mi przez nią poważnego, tendencyjnego wiersza, którego mała nauczyła się na popis w szkole.

Po chwili dostaję śniadanie,—częstują mnie kawą, ale proszę o mleko.

Spożywam je z wielkim smakiem, bo jest rzeczywiście wyborne, bardzo tłuste, przesycone aromatem górskich ziół; do mleka podano mi dobry, domowego pieczenia, chleb pytlowy.

Ponieważ dostaję do śniadania i masło, zaczynam się pytać o gospodarstwo mleczne. Okazuje się, że gospodarze, u których goszczę, żyją bardzo dostatnio, bo mleko od pięciu krów, dobrze żywionych i dobrych dójek (niektóre dają po 14 litrów mleka dziennie) zjadają sami. Ani masła, ani sera nie sprzedaje się także.

Kończę właśnie śniadanie, gdy wchodzi do „światlicy” razem z gospodarzem jakiś młody człowiek.

Przedstawiają mi go, jako miejscowego kontrolera obór, a ucznia szkoły rolniczej średniej w Suchodole.

Za chwilę idziemy we trójkę, brnąc po błocie gliniastej ziemi, by obejrzeć dużą, porządnie pobudowaną, murowaną oborę gospodarza, a potem wychodzimy na pastwisko. Czerwone krówki, rozrzucone na łące wśród drzew, pasą się spokojnie, ale zaledwie nas zauważyły, całe stadko podchodzi do gospodarza i kontrolera i łąsi się do nich pieśczośliwie.

— „Nie myślałam, żeby krowy można aż tak oswoić”—robię uwagę.

— „Nie wszystkie rasy do takiego oswojenia się nadają, — ale ja, to się poprostu w nich kocham”, — mówi ciepłym głosem młody chłopak, odpowiadając na te zwierzęce karesy — wzajemnością.

— „No, nie pan jeden, my tu bez mała wszyscy, co się za hodowców uważamy, przepadamy za tem bydłem, bo to się z niem pieścić można, jakoby z dzieckiem, a mamy tu w Jodłowniku i takiego hodowcę, którego kobieta musi pilnować, bo jak czasem nie zamknie przed nim: masła, śmietany, sera, to on tem wszystkim swoje ulubione krowy napasie”.

Przedstawiają mi najlepsze sztuki ze stada, — objaśniają obszernie cechy typowe, pokazując je na okazach, — uczą po jakich oznakach poznawać mleczość i tak kolejno w ciągu tej lustracyi migają mi przed oczami zagrody o dobrych, racjonalniej, niż to gdzieindziej się spotyka — pobudowanych oborach.

Wielu gospodarzy ma tu obory na wzór czeski zbudowane, a więc bezpośrednio złączone z mieszkaniem.

Przytem pierwsza stacja, sąsiadująca z oborą, nie jest nigdy sypialnią, ale kuchnią, parnikiem i jadalnią. Dopiero po drugiej stronie sieni są izby, gościnna i sypialnia.

Widać tam po chatach hodowców porządne sprzęty, a więc ozdobne szafy, komody, łóżka; firanki, serwety, lustra, lampy, zegary.

Ten cały dostatek wszedł tam do tych chat *przez oborę*, dającą duże dochody gospodarzowi, on też budował lepsze gospodarskie zabudowania, a więc porządne obory, spichrze, chlewnie.

Ten dobrobyt przyczynił się pośrednio i do rozwoju umysłowego tych gospodarzy, którego dowody widziałam w wykonaniu i takich pomysłów, jak maleńki młynek wodny, postawiony na niewielkim strumyku do mielenia osypki dla inwentarza przez gospodynię, oraz mały wiatraczek czeskiego systemu, zrobiony przez jednego z gospodarzy podług rysunku, widzianego tylko w książce.

Coraz większa gromadka ludzi przyłącza się do nas, pomimo że mrzy deszczyk mocno dokuczliwy.

Idziemy i na wielkie dworskie pastwisko, gdzie podziwiam piękne sztuki tej znanej w kraju obory zarodowej; pokazują mi tam i dziwaczne okazy bezrogie, którym tę naturalną ozdobę ich głów wypalono, gdy były jeszcze matemi cielętami.

Przechodzimy koło wielkich, sztucznych pastwisk dworskich, bardzo pięknych, mijamy duży, owocowy sad dworski, niedawno założony i zachodzimy do dworskiej obory.

Następuje prezentacja lepszych dójek, — okazów bardziej typowych, oglądanie młodych stadników.

Gospodarze zapalają się i spierają między sobą.

Zachodzimy też i do kilkunastu sztuk odłączonych nieszczęśliwców, chorych na „pryszczycę”.

Gospodarze mi opowiadają rzecz ciekawą, że u nich, w ich skromnej—w porównaniu z dworską — hodowli, ale pod pieczołowitem staraniem samego gospodarza, takich chorób bydła nie przechodziło dotąd.

Po tych oględzinach żegnam się z gospodarzami, którzy, że to już południe się zbliża, napędzają pastuchów do zaganiań krów.

Wracamy we trójkę do p. Drożdża, a ja gawędzę z kontrolerem obór. Podoba mi się ten wychowanek rolniczej szkoły średniej. Jest skromny, naturalny, bardzo prosty w stosunkach z gospodarzami, ale umie być stanowczym i dobrze się orientuje w położeniu. Widzę, że wieśniacy mają już do niego zaufanie i szczerą życzliwość; wierzą w jego naukę i korzystają z niej chętnie, a on nawzajem z szacunkiem odnosi się do ich wiedzy, na drodze doświadczenia zdobytej długoletnią praktyką i poszanowaniem dla tradycyjnych nakazów hodowlanych, zapewne nie zawsze wolnych od przymieszki przesądów, ale zawierających sporo, dobrze podpatrzonych obserwacji.

Młody kontroler obór skarży się tylko do mnie poufnie, że musi zwracać uwagę na niezbyt częste odwiedzanie domów tych gospodarzy, którzy mają córki na wydaniu, bo stąd powstają niemiłe posądzania go o konkury, a on dopiero co szkołę skończył, ma 20 lat zaledwie, chce popracować czas jakiś w pojedynkę, na ożenek ma jeszcze czas.

Pracę swą lubi, pali się do niej, podobnie jak ci jodłownicy chłopci do hodowli polskiego bydła; chciałby ją dźwignąć i udoskonalić w tym najstarszym związku hodowlanym, — a hodowców tutejszych przepoić w jeszcze większym stopniu zrozumieniem ich zadań.

Rozgaduje się i opowiada mi, że na jodłownicim Związku hodowlanym znać dawne

dobrze wpływy nauki hodowlanej, krzewione tu przez długie lata, przez takie powagi naukowe w tym zakresie jak: profesor Adametz i panowie Sandoz i Romer.

Wpływy te padały tutaj na dobrze przygotowaną glebę, bo szczepiono je na odwiecznym zamięłowaniu tutejszego ludu do hodowli bydła polskiego.

Obecnie coraz bardziej ustala się, rozpowszechnia i pogłębia wśród tutejszych włościan znawstwo naukowe, umiejętność robienia właściwie doboru, gdy chodzi o sztuki, przeznaczone do chowu.

To poczucie świadomości hodowlanego, racjonalnie pojętego kierunku, zwycięża nieraz jeszcze doraźna chciwość; hodowca drobny, oślepiiony pokusą wysokiej ceny, pozbywa się najlepszej sztuki rozplodowej, a ta idzie na cegłę w fundamencie wielkiej hodowli.

Obecnie jodłowniccy hodowcy liczą już w swem gronie coraz więcej takich hodowców, którzy rozumieją, że sztuki najlepsze są bez ceny, a więc nie do sprzedania.

— „Teraz my już nie takie głupie i rozumniemy, że najlepsze bydło gospodarz *sobie sprzedaje i ze stada go nie wypuszcza*”.

— „Ile krów macie zapisanych w waszym Związku?” — pytam kontrolera.

— „Niezbyt wiele jeszcze, — ale jesteśmy coraz wybredniejsi w doborze materiału hodowlanego. Krów włościańskich jest zapisanych do związku 182, dworskich 32”.

— „Jak rozległy jest teren, na którym działa wasz Związek hodowców?”

— „Obejmuje 6 wsi”.

— „Jaka ilość stadników?”

— „Są 4 związkowe, a 13 licencyonowanych, (t. j. uznanych za dobre z punktu widzenia pożytku hodowlanego)”.

— „Od jak dawna ściślejsza kontrola nad hodowlą włościańską prowadzi się tutaj?”

— „Dopiero od r. 1909”.

— „A jak dawno jest tutaj otworzona stała posada kontrolera obór?”

— „Dopiero od lat 4-ch”.

Po tych objaśnieniach pan kontroler pokazuje mi książki, z których nie trudno pojąć, że praca prowadzona tu jest poważnie. Kontroler, a miłośnik-hodowca w jednej osobie, czuwa nad polepszaniem stopniowem hodowlanych warunków, usuwa stare, zakorzenione błędy, wprowadza pomaleńku indywidualne żywienie krów, kontroluje mleczność. Do związku zapisuje się obecnie krowy, dające po 3000 litrów mleka rocznie.

Dowiaduję się, że obecnie na terenie wsi, należącej do związku jodłownickiego, a mianowicie w pobliskiej wsi Krasne, gospodarz-hodowca, Jan Dziedzic, buduje podług wzoru danego mu przez p. kontrolera oborę i gnojownię wzorową.

— „Pilnuję tej roboty, bo to ma być taka obora, którą potem będą naśladowali inni hodowcy nasi” — mówi z ożywieniem kontroler.

— „Czy to zamożny gospodarz, którego pan na taki wydatek namówił”, — rzucam pytanie.

— „Tak — nie biedny — ale to gospodarz rzutniejszy od innych, miał różne nakłady, a w tym roku nawet spląty większe, więc już tę racjonalną oborę buduje za pożyczone pieniądze”.

— „Mądry gospodarz, — skoro nie boi się zaciągać długu na tak potrzebny mu budynek, — u nas takich w Królestwie mamy coraz więcej i to między dobrymi gospodarzami”.

— „No, ale ten „mój Dziedzic” ma oryginalny pogład na kredyt.

On powiada, że jak spłaci jeden dług, musi zaraz myśleć, na coby powinien zaciągnąć drugi.

— „Człowiek bez długu, powiada, to jak ryby w stawie bez szczupaka. Jabym się tam bojał zgnuśnieć, gdybym nie miał długu, on mnie do roboty pogania.

Dla mnie dług, to żaden strach, to rzetelny pomocnik w robocie”.

Dzielny chłop doprawdy, — to też bardzo dobrze idzie mi z nim praca. W lot pojmuje każdą rzecz.

Ot i dziś zaraz tam mam iść”.

— „Dobrze — zaraz pan dostanie odprawę i Bóg zapłać należne, bo i ja na pociąg do Krosna zdążam, ale jeszcze mi pan powie nazwiska i adresy najlepszych hodowców w jodłownickim związku, obiecuję sobie kierować do was wycieczki z Królestwa i Wielkopolski, więc to mi może być potrzebne”.

— „Bardzo dobrze, — otóż w naszym związku jest 70 właścicieli krów, w tem 25 zamilowanych bardzo w hodowli i ożywionych szlachetną ambycją doskonalenia swego warsztatu pracy.

Nazwiska najlepszych hodowców będą takie:

— Tu obecny p. Jan Drożdż, Jan Broda, Wojciech Gocal, Sebastyan Broda, Bijakowski Jakób, Antoni Wąter, Jan Mysza; — ci z Jodłownika. Jan Fryz, Józef Czech, Antoni Sliwa, Wojciech Bartosz, Wojciech Dziedzic, Kazimierz Matyjewicz, Jan Papież, Kazimierz Czupek; — ci ze Mstowa. Kazimierz Dziedzic, Jan Dziedzic, Marek, Stanisław, Błażej Szczepkowsy, Jakób Kurnik, Jan Grucel, Franciszek Kopera, Jan Różana; — ci z Krasnego.”

— „Jaka do nich poczta?”

— „Ta sama co i do nas, Jodłownik, powiat limanowski”.

— „Dziękuję. — a teraz do widzenia, może pan już iść budować oną oborę ku zbudowaniu hodowców całego związku”.

Ale kontrolerowi żal jakoś odejść, a gospodarz perswaduje mu, że gdzieby tam Dziejcz, stateczny gospodarz, na deszcz przy budowie co robił.

— „Ot zjedz pan z nami obiad, a i z panią warto pogadać, bo takich gości nie codziennie Pan Bóg daje,” — mówi serdecznie gospodarz.

Siadamy więc we trójkę w białej świetlicy, i popijając na rozgrzewkę po zmoknięciu herbatę z arakiem — gadamy.

Teraz role się zmieniają: oni pytają, ja odpowiadam. Znajduję to zupełnie w porządku, że za gościnne przyjęcie muszę się odwzajemnić gadaniem, a ponieważ mądre pytania słuchaczy podniecają i mnie, więc mówię śnać coraz lepiej, coraz bardziej obrazowo i gorąco.

Słuchają ożywieni, — chwilami skupienie myśli znać na ich twarzach.

— „Pani toby się dzień i noc nie naprzykrzyło słuchać, czemu pani na tak krótko do nas zajechała?” pyta nagle gospodarz.

Obiecuję poprawę w niedalekiej przyszłości, a tymczasem spieszę z objaśnieniem im jako tako całości naszych stosunków wiejskich, zlekka potrącając w miarę potrzeby o stosunki galicyjskie; nie pomijam i polityki, krytykując ją; — jestem przygotowana na obronę jej ze strony Drożdża ale o dziwo! słyszę jego spokojną opinię.

— „W naszych stronach co porządniejszy chłop, to od polityki zdala się trzyma i na urzędy się nie łąsi, nawet za wójta taki się zabrać nie da, a cóż dopiero posła. A to—powiada,— co mi za niewola wysługiwać się urzędnikom

różnym, — kiedy ja sobie pan, — cesarzowi równy na moich morgach, jak dobrze umiem na nich gospodarzyć”.

Tu wchodzimy znów na tory osobiste i dowiaduję się, że gospodarz Drożdź już od lat 12-u gospodaruje na zdrenowanej ziemi.

Plodozmian ma taki: ziemniaki na oborniku, jęczmień, koniczyna 1 rok i drugi rok, po jednym pokosie podorywka, pszenica, owies, nawozi się, potem bób albo wyka, po bobiku doskonale udaje się żyto, potem wraca się do ziemniaków.

Gospodarstwo to obejmuje 23 morgi. W tem 4 morgi łąki naturalnej a 1 morga sztucznej.

Pytam się z kolei o stosunki sąsiedzkie.

Są naogół—dobre. Gospodarze żyją w zażyłości.

Są dość zamożni, ale wszyscy, nawet biedniejsi, nie są tam na grosz chciwi.

— „Jak komu robotnika potrzeba, to obchodzi sąsiadów i za „poczęstne” na robotę do niego przychodzą. Biedniejsi robią robotę ręczną bogatszym, bogatsi odrabiają im sprzężajem — za pieniądze nie pójdzie kmięć do kmięcia na robotę.

Taki już w naszych stronach odwieczny zwyczaj i sąsiedzkie nawykniecie.

Jak się kto spali, sąsiedzi kolejno przy odbudowie chaty czy jakiegoś budynku gospodarskiego pomagają mu”.

— „A w odwiedziny do siebie chodzicie?”

— „A jakże, u nas, to jak u szlachty, my i o imieninach swoich pamiętamy i nawzajem się gościmy. Ludzie u nas, jak pani widziała zresztą, rozmowne, nie sobki żadne, kompanie lubiące, więc co za dziw, że jedni drugich nawiedzają, nacieszają się z sobą i ugoszczą”.

• Słucham tych opowieści z przyjemnością,— a tymczasem wnoszą mi smaczny obiad.

Jest rosół z makaronem, potrawka z kurczęcia, a nawet czarna kawa. Nakrycie kompletne, zupełnie porządne i na czyściutkim obrusie.

Zajadam ze smakiem, a gospodarz wychodzi na chwilę, by osobiście dojrzeć parobka, szykującego dla mnie dobrą parę koni do porządnej bryczki.

Odjeżdżam żegnana serdecznie, jak z dobrze znanego mi domu. Do stacji kolei w Tymbarku odwożą mnie dwie córki gospodarza.

Chcą się jeszcze ze mną nagadać, więc nie zwajając na deszcz, jadą ze mną, gwarząc coraz swobodniej. A ja, opuszczając tych jodłowniczych kmieci, myślę z otuchą: jest jeszcze w ludzie galicyjskim materyał, nie przeżarty trądem politycznej choroby; — ale trzeba go szukać aż w tym podgórskim powiecie, gdzie od Rady powiatowej idzie dobry przykład pracy twórczej u podstaw, a tem samem potępienie dla politycznej szacherki.

## Wilkowisko.

(Wieś — sadów).

Jeszcze mam w oczach tę wieś, w limanowskim, podgórskim powiecie Galicyi leżącą.

Zrazu patrzyłam na jej krasę jak na oman; zdała mi się wizyą, a nie rzeczywistością.

Bo proszę sobie wyobrazić tylko pięknie rozłożoną na lekko sfalowanych gruntach dość sporą wieś, niezwykle bujnie i planowo zadrzewioną w całości.

Ta gospodarska wieś, na całym swym obszarze, wygląda jak jeden ogród.

Pola uprawne, pocięte w kwadratowe działki, podobnie jak w Albigowej, równo w regularnych odstępach są tam wysadzone dorodnymi śliwami.

Drzewa przy drodze wiejskiej dzikie, ale tak obficie zarosłe i pięknie dobrane, że tworzą malownicze, zielone tunele. Chat przydrożnych, odsłoniętych całymi ścianami, nie ujrzyć tutaj.

Otulają je tak szczelnie wielkie sady, że zaledwie tu i owdzie mignie się kawałek okna, plama biało obielonej ściany lub odsłoniętego nieco podsienia. A po za linią tej pięknie ocienionej, niby w jakim wielkopańskim parku drogi wioskowej, stoją sobie te w sadach ukryte zagrody, a za nimi kwadraty pól, ujęte w obramowanie alei śliwowych drzew. Jest jakiś dziwny, nieprzeparty urok w tej wsi, o charakterze wielkiego sadu.

Proszę woźnicy, żeby wolniej jechał, rozglądam się pilnie dokoła, a do głowy cisną mi się myśli, skąd w Galicyi wziąć się już mogła wieś, tak powszechnie i w tak wysokim stopniu rozmiłowana w sadownictwie. I skąd ten świetny pomysł, wyzyskania miedz polnych na śliwniki.

A pomysł, jak to widzę, doskonały! Świadczy o tem dowodnie wygląd drzew, których konary rozłożyste utworzyły korony szerokie, jak u jabłoni.

Albo im to źle się wiedzie? Pług gospodarza rok rocznie oboruje miedze, nawóz zasila pola, dostają go więc i drzewka owocowe, a że słońca, pokarmu i przestrzeni mają dosyć, to i rosną sobie, wdzięcznie radując oczy gospodarza i obfitym plonem za starania mu dziękują.

Tu i owdzie wpodłe drogi widać łamaną linię pastwisk i łączek, pagórkowata ona jest

i też po wyższych miejscach drzewkami owocowymi obsadzona. A pomiędzy tą zielenią widać owo ładne, w ruchach tak zgrabne i lekkie było polskie.

Jest dziwny urok w tej wsi. Ciekawi mnie ona bardzo, to też przy pierwszej sposobności zaczynam miejscowych ludzi wypytywać.

— „Jak dawno tu u was tak w polu po miedzach śliwy sadzą?”

— „A dawno,—będzie już z dobre 30 lat”.

— „I skąd to tak poszło? Czy to jeden taki porządek zaprowadził?”

— „Nie, to my wszyscy tak potrosze przy okazji, po parę drzewek sadzili”.

— „I to tak sami z siebie? bez żadnej zachęty! chyba to nie mogło tak być”, — nalegam dalej na starego gospodarza — bo mi się to wydaje nie do wiary.

Chłop uśmiecha się filuternie, w fajeczkę pyka, wreszcie, popatrzywszy się na mnie uważnie i podpytawszy co za jedna jestem, rozgądał się na dobre.

Przysiadłam na płocie i słucham jego mowy o górskim akcencie.

— „Ale gdzie ta, hale! akurat sam ze siebie, w one czasy jeszcze przecie chłop umiał się ino upić i breweryje w karczmie stroić, to on potrafił i jeszcze jak! Ale dajmy temu pokój! ano to mi się podoba, że pani choć jeszcze młoda i nie tutejsza, a taka już chytra, że mnie staremu w pole wywieść się nie dała.

Ja tak z nałogu spróbować pani chciał, ale teraz to już po sprawiedliwości opowiem, jak to u nas z onem sadzeniem drzew owocowych i tych śliw po miedzach było”.

Przekłół fajeczkę, pociągnął dymu, splunął „po kawalersku”, i przysiadłszy na głazie koło płotu nie daleko mnie, tak opowiadać począł.

— „Niech pani ino nie myśli, że to łatwo szło, ino zło do człowieka prędko lgnie, ale dobro, to pazurami z opoki nieraz wyrwać trza” — prawił z namaszczaniem.

„Niejeden to i ze złością i z przekleństwem brzydkiem one drzewinki niewinne sadyi, — ale co miał robić? — kiej mu pilno było kobietę pojąć, nieboszczyka pogrześć, dziecko ochrzcić”.

— „A cóż to jedno ma do drugiego?” — pytam, — nie mogąc się połapać zrazu.

— „A ma i bardzo, — bo za tych starodawnych czasów, kiedy to u nas ludzie o sady nie dbali, a nawet je wycinali, bojąc się podatku wysokiego płacić\*), tu do nas pod te czasy nastał proboszcz.

Z prostych chłopów on się wywodził i chłopskiego stanu się nie zapierał, jak to nieraz drugie robia, to on taki na ten przykład zaprowadził porządek, że za takie rzeczy, jak ślub, pogrzeb, chrzciny, brał, co mu kto dał, a jak nic nie dał, to też dobrze było, ale od swego nie odstępował w jednym.

On se ta, podług swego „pomyślunku” otaksował te wszystkie posługi na drzewinki owocowe. Im więcej morgów miał gospodarz, co się żenił, czy tam innej posługi potrzebował, tem więcej drzewek owocowych zasadzić musiał przy tej okazji. A że u nas ludzie żenią się na jesieni i na wiosnę, więc to nawet pasownie było.

A że to, jak pani wiadomo, w naszym chłopskim stanie ślub graniczy z chrzciniami, a chrzciny z trumną, to i ruch był duży z onem sadzeniem, w końcu to już i „obrywki po pastwiskach” i nieużytki co suchsze trza było obsadzać”.

\*) Powszechny objaw w swoim czasie w Galicyi, wywołany niedorzecznem zarządzeniem fiskalnem.

— „Teraz to rozumiem jaką koleją to u was poszło”.

— „No i tak, jeden po drugim, wszyscy w końcu przekonali się, że to pomyslenie naszego proboszcza, to ano dobre jest.

A głównie dlatego, bo to często tak bywa, że zboże nie urodzi, albo go powódź zabierze, a sad obrodzi i poratuje gospodarza.

U nas to z tych sadów poratunek gospodarz ma nawet dobry; są tacy, co po 50 i więcej korcy śliw sprzedają, albo je sami suszą w powiatowej suszarni \*), a potem sprzedają suszeninę, albo surowe śliwki odstawiają do fabryki śliwowicy, co ją tu mamy niedaleko”.

— „A szkody sobie w sadach nie robicie”?

— „Ej nie, każdy swego owocu ma w bród, to i na cudze nie łasy, bo i po co?”

— „To chyba wszyscy wdzięcznie wspominać tego swego proboszcza”.

Chłopu twarz sucha o sępm, góralskim typie łagodnieje.

— „Jego tu wszyscy lubili, od małego dziecka do starego dziadka, ludzki człek był z niego.

Z ludźmi żył, nie wynosił się, a w sadach i w bydle naszym polskiem rozmiłowany był na umor.

Czasem to naszym pastuchom takie sztuki robił.

Wyszedł se w pole, krótko ubrany, z batóżkiem, a tu daleko jeszcze od niego chłopaki nasze krowy pasą, kartofle se pieką, a ksiądz ino zakrzyknie po swojemu, a wszystko było lby podnosi, ryczy, raduje się do niego i leci ku niemu po chleb i sól, co im przynosił.

\*) Powiat limanowski ma bardzo dobrze prowadzoną akcję sadowniczą, są tam więc i suszarnie, kosztem powiatu pobudowane po wsiach niektórych, patrz rozdział „Mądrze rządzony powiat”.

Mnie się widzi, co on chyba z „góralów” wywodził się, ten nasz proboszcz, co tak się dobrze z tem bydłem rozumiał, bo to nieraz aż dziw brał, jak się człek na to patrzył”.

— „Piękną pamiątkę wam zostawił, ten wasz proboszcz, sady wielkie i zamilowanie do hodowli, bo i na bydle pewnie się dobrze znał”.

— „A i jak jeszcze, a oko to ci miał takie, że na wylot każde bydle przejrzał.

My się od niego poduczili rozumieć na oznakach rasy naszych polskich krów, to jak się zawiązał związ<sup>ek</sup> hodowlany chłopski w Jodłowniku, no to my już „rozumiały”, co to znaczy. Nie nowina to dla nas była”.

— „A na roli też się ten wasz proboszcz rozumiał?”

— „A jakże, sprawiedliwie pani mówię, chłop-gospodarz z dziada pradziada w tym naszym proboszczu se siedział i o gospodarce parafialnej z nami radził.

On ta się żadnej gospodarskiej roboty nie powstydział, a często my jego widzieli, jak na równi z parobkiem w polu pracował, a czasem to i gospodarzom pomagał w orce czy w siejbie”.

— „A powiedzcież mi jeszcze, panie gazdo, — a ludzie miejscowi nie „pozbadli” go za to bratanie się z parafianami, szanowali go, słuchali?”

— „I jeszcze jak! ani komu do głowy przyszło sprzeciwić się mu, choć tam kto sarkał zrazu, to i na tem koniec był.

Umiał se ten nasz proboszcz z naszym narodem dobrze radzić i na ambonie i wszędzie, — jego pracę znać u nas w naszych sadach, polach, oborach a i w naszych sumieniach niejedno ono zmieniło się na lepsze.

Wieczny odpoczynek racz dać, Panie, jego duszy"... I tu gospodarz słomiany kapeluszczyk zdjął i przeżegnał się pobożnie, patrząc w stronę cmentarza, gdzie po wielkim trudzie w Winnicy Pańskiej legł upracowany, ludowy siewca.

## Łoniowy.

(Wieś kooperatystów).

Wsią nowoczesną należy nazwać Łoniowy, w zachodniej stronie Galicyi, w brzeskim powiecie położone.

Na gruntach lekko sfałowanych, wśród kwiecistych łąk i zagajen olszyny i młodych sadów, wieś ta, którą można nazwać wsią kooperatywną, ukazała się w całej swej wiejskiej krasie oczom moim pewnego czerwcowego dnia.

Przyjechałam tam bez uprzedniego zawiadomienia, licząc na to, że mieszkańcy dworu, znani społecznicy, muszą być przyzwyczajeni do takich wycieczkowiczów, którzy, przyjeżdżając do nich, mówią im na wstępie:

— „Przyjeżdżam, by zobaczyć, co i jak zrobiliście tutaj dla dźwignięcia i zorganizowania wsi”.

Przewidywania moje były trafne. Wstępne przełamywanie pierwszych lodów nie trwało dłużej nad kilka minut.

Objaśniono mi, że trafiłam na wyjątkową niedzielę, z tej racji, że był w sąsiedztwie jakiś uroczyście obchodzony odpust, a to dzień odwiedzin rodzinnych, nietylko solenne nabożeństwo, więc z tej racji żadnych zebrań stowarzyszeniowych nie było.

— „Nabierze pani niekorzystnego pojęcia o nas, niedziela — wieś roi się od stowarzyszeń a tu ani jednego posiedzenia, a ręczę, że jadąc tutaj, miała pani zamiar być choć na jednym z nich”, — mówi do mnie gospodarz, — jakby czytając w moich myślach.

— „Przyznaję, liczyłam na to. Lubię słuchać radzących o swych sprawach włościan, widzi się wtedy ich wyrobienie umysłowe i poziom społecznienia”.

— „Bardzo mi przykro, że tego wrażenia dostarczyć pani nie mogę dzisiaj”.

— „Może pani zajdzie choć do nas, na nasze babskie posiedzenie”, — proponuje pani domu.

— „Ale tymczasem ja panią do mojej kancelaryi zabieram, aby czasu nie tracić.

Wysyłałem właśnie papiery urzędowe, w chwili gdy pani zajechała, muszę to skończyć”.

Idziemy do kancelaryi, która ze swego urzędzenia przypomina raczej pracownię literata, niż męski pokój wiejskiego gospodarza.

Z miejsca dowiaduję się, że dziedzic Łoniowych założył wczoraj w sąsiedztwie nową straż ogniową i kończy właśnie wysyłanie komu należy zawiadomienia o tym fakcie. Informuje mnie o przebiegu takich formalności, a ja robię sobie w duchu komentarz, jak wielkie uproszczenia w życie ludzkie wprowadza ustrój konstytucyjny, choćby nie najlepszy nawet.

Zaczynamy gawędę o miejscowych stonsunkach: pomimo, że jestto spokojna niedziela, co chwila ktoś do dworu zachodzi o jakąś poradę rolną, handlową, prawną, oświatową.

Rzuca się w oczy odrazu, że ten dwór, to jest sobie po prostu ni mniej ni więcej, jeno nieustające biuro wszelakich porad.

Zostawiam pana domu w gronie sąsiadów, radzącego im, co i jak mają zrobić w różnych

zawiłych dla nich sprawach, a sama idę na werandę, gdzie pani domu radzi z wiejskimi gospodyniami.

Z początku omówiono sprowadzenie na stałe do tej ludnej wsi akuszerki i radzono o wyposażeniu dla niej.

Po pomyślnem załatwieniu tego punktu szła już luźna gawęda o różnych niewieścich sprawach.

W pewnej chwili widzę wielkie zdziwienie na twarzach niektórych kobiet, zwłaszcza starszych, a wywołuje ten objaw powiedzenie dziewcziczki, która dowodzi, że same kobiety dużo temu winne, jeśli ich mężowie do karczmy się wymykają.

— „Jak ty nie umiesz męża w domu utrzymać, to twoja wina, że on do karczmy ucieka.

Staraj się o to, aby w domu było czysto i ładnie i sama bądź zawsze ubrana schludnie, jadło smaczne i na czas zrobione niech mąż ma gotowe, ty sama mu nad głowę nie krzycz, nie plotkuj, dzieci do cichego bawienia się przyuczaj, a zobaczysz, czy w takim domu, gdzie wszystko składnie idzie, mąż po pracy chętnie nie posiedzi. Sprobój tylko a przekonasz się, że tak będzie; jeszcze ci chętnie w robocie twojej cięższej pomoże, o zdrowie twoje zatroszczy się, gdy tego będzie potrzeba, a tak w zgodzie i przyjaźni małżeńskiej życie wasze płynąć będzie, jak ta czysta woda w rzece”.

Po zebraniu mieszam się w tłum kobiet i rozpytuje je po swojemu; słyszę od nich i sąd o dziedziczce, zawarty w tych słowach:

„Nasza pani, to jak nie dziedziczka, z każdym się rozgada, jak prosta wiejska kobieta”.

Tak o pani ze dworu mówią wiejskie gospodynie, z całą ufnością i śmiałością spieszące

do niej po radę. Na pana, trzeba przyznać wyjątkowo pociągające czyniącego wrażenie, chłopci, którzy z nim razem pracują, patrzą się oczami pełnymi zachwytu i wiernego przywiązania.

— My za naszym panem w ogień i w wodę iść gotowi — odpowiadają.

Przy sposobności okazują mu to swoje przywiązanie na swój prosty sposób. Wykorzystują zwykle po temu dzień imienin swego przewodnika.

W roku ubiegłym tak je obchodzono:

Pomimo, że dzień św. Stanisława jest porą robót wiosennych, znaleźli łoniowscy gospodarze dość czasu, by opracować i nauczyć się na pamięć 3 przemówień, naznosili mąki przedniej, jaj, cukru, masła do piekarza w swej spółkowej piekarni i kazali mu upiec piękny korowaj w kształcie serca zdobny w liście i kwiaty.

Przybrali to zielenią i kwiatami i ponieśli symboliczne ciasto, jako oznakę swych uczuć, w uroczystym pochodzie do dworu.

Wśród wieńców złocistej pszenicy i srebrnego żyta, wieńców dożynkowych — będących na równi z rogami stałą, a odwieczną dekoracją ścian w sieniach dworów polskich, wisiał sobie w Łoniowej ów niezwykły korowaj, jako dowód widomy zażyłych stosunków sąsiedzkich między dworem a chatą.

— Bajkowy świat! taki dwór na galicyjskim gruncie! ja chyba śnię marzony dawno sen, — powtarzam sobie chwilami w myśli, słuchając niezwykłych opowieści.

Siadamy w ogrodzie pod lipą, i patrząc się na przepiękny szeroki widok na podkarpackie wzgórza, słucham opowieści twórcy tej uspołecznionej placówki, a on mi opowiada szczegółowo, jak się tam zaczynało na tym

skrawku ziemi polskiej budowanie takiej wsi, która sobą sama już dziś gospodarzy. Opowieść ta zawiera i krótki zarys biograficzny samego gospodarza domu.

Był poetą, dziennikarzem, kooperatystą, organizującym spółki po wsiach i miastach w Galicyi.

Długi czas przebywał na Zachodzie i zna ruch stowarzyszeniowy w Belgii, Anglii, Francyi.

Zanim się zabrał do gruntownego przetwarzania swego środowiska w Łoniowej, zaczął od poznania bliższego tamtejszych włościan.

Na razie przyglądali mu się oni z wielką nieufnością jako człowiekowi przybyłemu z „szerokiego świata”, ale znali lepiej i dawniej jego żonę, która tam jako wdowa mieszkała przez czas dłuższy i zdołała już w części przełamać pierwsze lody zwykłej chłopskiej nieufności.

Zacząło się od tego, że pani poczęła w długie jesienne i zimowe wieczory zapraszać inteligentniejszych i lepiej sobie znanych gospodarzy na głośne czytania do dworu.

A mąż jej wybrał i zaczął czytać i objaśniać w te długie zimowe wieczory „Trylogię” Sienkiewicza.

— „Na tem tle przeszedłem z moimi słuchaczami w ważniejszych punktach dzieje Polski, potem przeszliśmy do pogawędek o czasach bliższych, wreszcie zaczęliśmy mówić i o stanie naszej Ojczyzny w teraźniejszych czasach; omawialiśmy też i położenie ludu.

Mówiło się nieraz, ilustrując rzecz obficie przykładami, czerpanymi z życia, że zwłaszcza u nas, w Galicyi, dałoby się już dużo zrobić, gdyby nie lenistwo, ospałość i przekonanie tak wśród tutejszych mieszkańców zakorzenione: „że • u nas nic robić nie warto, bo nic się nie uda”.

„Wracałem wtedy z Paryża, byłem jeszcze owiany tym wspaniałym, upajającym rytmem wytężonej pracy, jakim się tam oddycha; miałem w świeżej pamięci czarodziejski rozwój kooperatywu, chciałem w Łoniowej zrobić próbę zorganizowania życia zbiorowego ekonomiczno-rolnego i społecznego na ten wyższy europejski typ, oczywiście z zachowaniem cech piastowskich naszego ludu.

Dużo i gorąco, bo inaczej nie umiem mówić, opowiadałem im o tem, co już ludzie tacy sami, jak oni, zdobyli gdzieindziej, działając mądrze, wytrwale, w zjednoczeniu.

Słuchali z zajęciem, nieraz z zapartym oddechem, chwilami z łuną zapału w oczach, pytali o szczegóły takiej organizacji, zaciekawiali się nią coraz więcej i coraz częściej jeden na drugiego patrzył, łokciem go trącał i pogadywał z błyskiem zaciętej chłopskiej determinacji: „Poraby i u nas takie zacząć robić i z niewoli żydowskiej spróbować się wyzwolić”. Cieszyły mnie te oznaki, ale mało mi tego jeszcze było. Zdawało mi się, że trzeba jeszcze ich uczucia narodowe rozplomić, aby trosce o dobrobyt własny dać głębszy podkład narodowego uświadczenia, a nietylko ekonomicznej samowiedzy.

Z „cesarskimi ludźmi” nie miałem odwagi zaczynać kooperacyjnego działania.

To też zacząłem to dopiero robić, gdy przez odpowiednie czytania głośnie, przedstawienia teatralne, wycieczki do pamiętek krakowskich, po 14 obchodach narodowych, urządzonych w ważniejsze rocznice narodowe, usypianiu kurhanu w rocznicę grunwaldzką i t. p. światopogląd naszych Łoniowiaków stał się szczerze polskim.

Wtedy zaczęła się tu u nas dopiero bujna praca ekonomiczno-społeczna.

Warto dla pełnego obrazu naszego tła zapamiętać i to, że to wszystko, co się w Łoniowych robi obecnie, by je podnieść i zorganizować na podstawie kooperacyjnego działania, ma jednak już grunt przygotowany do pewnego stopnia w starej, ale żywej, bo po dziś dzień praktykowanej tradycji solidarności rodowej."

— „Jakże się ta odwieczna solidarność przejawia?"

— „Gdy komu padnie bydłę, sąsiedzi jego robią między sobą w całej wsi składkę, delegowany od gromady gospodarz idzie na targ i kupuje poszkodowanemu za te składkowe pieniądze konia lub krowę i delegaci od gromady wprowadzają mu tę sztukę do obory z odpowiednim przemówieniem, jako zapomogę ze strony gromady.

Prócz tej pomocy w naturze, znaną jest też pomoc w pracy po spaleniu lub w czasie pilnej roboty w polu. Jest ta pomoc sąsiedzka zupełnie bezpłatna, jeno jadłem lepszym, napitkiem i dobrem słowem nagrodzona."

— „Jak to szczęśliwie dla pana, że w Łoniowych były takie tradycje solidarności gromadzkiej i że pan, szczepiąc idee kooperacji, miał w nich zupełnie naturalny punkt zaczepienia?"

— „Że wyzyskać starałem się te tradycyjne zwyczaje jako wodę przydatną na mój kooperacyjny młyn, to pewno—czy mi się udało, z obaczy pani, gdy od jutra zacznie poznawać nasze stowarzyszenia i ludzi, którzy w nich pracują.

Mogę tylko powiedzieć, że wycieczkowi-cze z poznańskich kółek rolniczych, których niezbyt dawno u siebie mieliśmy, w wydanym w broszurze opisie naszej wsi napisali o nas, że „na obcych ludziach, przybywających, by ich poznać, Łoniowiaci sprawiają wrażenie, jakby należeli do jedne rodziny".

— „Zdaje się, że was ocenili trafnie i ja to samo sobie myślę od chwili, gdy państwa widzę i obserwuję wasz stosunek do włościan i odwrotnie”.

— „Ano życie skazało nas na symbiozę (współżycie) z nimi, a my nie chcieliśmy poprzestać na utrzymaniu ich w takim półbarbarzyńskim stanie, w jakim żyli jeszcze 7 lat temu: „trza się do roboty brać”, — przecież i nam ten nakaz kategoryczny Wyspiańskiego był rzucony”.

Nazajutrz, podczas pięknej pogody, zaczęło się zwiedzanie wsi.

Niedaleko dworu, będącego ideowem ogniskiem całego życia społecznego na tej wsi, znajdują swe pomieszczenie różne instytucje łoniowskie.

Jest ich tam spora liczba:

- 1) Kółko rolnicze,
- 2) Spółka producentów bydła i trzody,
- 3) Spółka rybacka,
- 4) Spółka piekarska,
- 5) Dom Ludowy,
- 6) Czytelnia Tow. Oświaty,
- 7) Straż pożarna,
- 8) Drużyna Bartoszowa,
- 9) Kółko włościanek.

Oto stowarzyszenia, w których się skupia życie mieszkańców tej wsi.

Interesowała mnie najwięcej działalność Kółka rolniczego, gdyż w środowisku wiejskiem ono jest zazwyczaj tą podstawową komórką, od której sprawnego działania zależy w dużym stopniu zdrowie całego organizmu wiejskich stowarzyszeń.

Prace, które wykonało to Kółko, a które poniżej wyliczę, odnoszą się do okresu, obejmującego zaledwie 3 lata.

W tym czasie działo tam tyle:

Na poletkach gospodarzy miejscowych zrobiono ogromną ilość doświadczeń, bo 622 próby, w tem  $\frac{2}{3}$  prób dokonano z odmianami żyta, pszenicy, jęczmienia i owsa, a  $\frac{1}{3}$  doświadczeń zrobiono z okopowemi.

Robiono też doświadczenia z trawami i mieszankami, z nawozami sztucznymi, przeprowadzono próby z mechaniczną uprawą roli, z pogłębianiem orki, nadto przeprowadzono próby ze szczepieniem roślin strączkowych nitraginą.

A wszystkie te doświadczenia na rolach gospodarzy tutejszych robiono nie byle jak, ale pod czujną opieką pracowników, ze stacyi rolniczej prof. Jentysa w Krakowie i Tow. rolniczego krakowskiego, a te doświadczenia, łącznie z teoretycznymi wykładami, których sporo wysłuchali tutejsi włościanie, miały ten wpływ, że zmieniły w bardzo znacznym stopniu gospodarski system włościan, to też Poznańscy, powróciwszy z wycieczki do tej wsi, mogli o niej w opisie swoim powiedzieć: „na polach łoniowskich gospodarzy widać dobrą uprawę, znacznie lepszą, niż na polach sąsiednich folwarków nawet”. I tak tam jest.

Kółko rolnicze zajęło się tu energicznie i sprawą hodowlaną, rozumiejąc, w jak ścisłym jest ona związku z gospodarką rolną, racjonalnie prowadzoną.

W zakresie działalności hodowlanej zrobiono tam tyle:

Dzięki poparciu członków Kółka rolniczego związał się w Łoniowych związek hodowlany z 14 krów rasy czerwonej polskiej i jednego stadnika na początek.

Równocześnie pomyślano o poprawie innych działów hodowli, a mianowicie: świń i kur.

W tym zakresie zrobiono co np.

Rozmieszczono u poszczególnych gospodarzy 12 świń rasy westfalskiej i 1 knura.

Upatrzone też staranniejsze gospodynie, i tym rozdano 10 zarodowych gniazd kurzych polskiej rasy, zielononózek i jednego koguta.

Naturalnie, zaprowadzenie inwentarza rasowego pociągnęło za sobą stworzenie dla niego lepszych warunków, wpłynęło więc na lepsze urządzenie u wielu gospodarzy obór, chlewni i kurników.

Nie są to jeszcze budynki bez wad, ale w porównaniu z dotychczasowymi pomieszczeniami, są one już bardzo dobre i wygodne.

Kurniki np. były tam murowane, oddzielnie postawione, ale wszędzie widziało się za wielką troskliwość o to, aby kurze było ciepło i zacisznie.

Trzeba mieć nadzieję, że dłuższe kursy hodowlane, urządzone od czasu do czasu dla całej wsi, zrobią swoje, pouczą hodowców bydła, świń i kur o ich zadaniach.

Wobec tak wszechstronnego zajęcia się sprawą hodowli, nasunąć się może Czytelnikowi uwaga, dlaczego nie pomyślano tam o poprawie hodowli koni.

Nie uczyniono tego dlatego, bo Łoniowy, mające z małymi wyjątkami gospodarstwa karłowe, dążą do usunięcia koni i zastąpienia ich przez siłę pociągową krów, co trzeba przyznać jest w ich położeniu bardzo celowem i mądrym dążeniem.

Orka w krowy jest już w tej wsi bardzo rozpowszechniona i dawno znana.

Podczas przygodnej gawędy z tutejszymi gospodarzami natrafiłam na takiego rezoluta, który już przed 20 laty w krowy orać zaczął pierwszy.

Rozpytuje go o szczegóły zaprowadzania tej nowości.

— „Zapewne sporo przykrości miał pan gospodarz z tego powodu?”

— „Trudno opowiedzieć, jak mi ludziska, a moi sąsiedzi dokuczali za to zrazu. Boże Święty, co się też ludzie ze mnie nie naśmiali, aż się sam teraz, jak to wspomnę, dziwuję, że to człowiek mógł wytrzymać.”

— „Ale skąd pan pierwszy na taki pomysł wpadł?”

— „A ja w wojsku służyłem i na manewrach jesiennych w Czechach zobaczyłem u małorolnego obróbkę w krowy, no i jak z woj-ska wróciłem, zaprowadziłem na swojej gospodarce taki porządek i konia - złodzieja z moich 4-ch mórg pozbyłem się raz na zawsze.”

— „Więc tak panu dokuczali ludzie, jak tę nowość zobaczyli, a teraz pewno już nie jeden takiej krowiej siły pociągowej u siebie w gospodarstwie używa”, — podpytuje go dalej zaciekawiona.

— „E, dzisiaj już mi prawie wszyscy słuszność przyznają, a z połowa gospodarzy w krowy już u nas orze”.

Wcale dobry wynik prześmiewań! Łoniowy liczą 280 gospodarzy.

Z tego faktu widać, że byli między tutejszymi gospodarzami ludzie śmielsi, którzy się ku światu garnęli już oddawna.

Akcyę hodowlaną popiera tutaj energicznie „Spółka producentów bydła i trzody”, płacąca doskonale ceny za świnię, a że hodowla świń, na większą skalę handlowo prowadzona, nie daje się pomyśleć bez mleka odtuszczonego, więc włościanie starają się o lepszą wydajność mleka, które wieś ta odstawia do mleczarni spółkowej, położonej w sąsiedniej wsi, oddalonej o 2 kilometry drogi od Łoniowych.

Kółko rolnicze czuwa tutaj nad tem, aby gospodarze prowadzili racjonalną gospodarke w polu i hodowli, ale zwraca ich uwagę i w kierunku sadownictwa, mającego w Galicyi doskonałe warunki do rozwoju i troskliwą opiekę ze strony wydziału krajowego.

W tej wsi w ciągu ostatnich trzech lat pchnięto naprzód sprawę sadownictwa, bo właścianie tutejsi po sadkach, obrywkach, a nawet przy drogach, wysadzili 1800 drzewek jabłoni i czereśni.

Niezależnie od tego, Kółko rolnicze, chcąc zaznaczyć jeszcze wyraźniej swoje poparcie dla tego rodzaju działalności, zakupiło ze swych funduszków i rozdało 140 drzewek owocowych tym członkom, którzy w ciągu roku pilnie i akuratanie uczęszczali na zebrania łoniowskich instytucyi.

Drzewka te otoczone są specjalnie troskliwą opieką.

Stoją one w pobliżu chat, otoczone koczykowem ogrodzeniem, aby czasem jakiegoś uszkodzenia nie doznały.

Członków Kółka łoniowskie liczy 84.

W przeciągu ostatnich 3 lat ci członkowie mieli 2 dłuższe kursy hodowlane, przez najlepsze siły w tej dziedzinie prowadzone, a wykładów treści gospodarczej i społeczno-oświatowej wysłuchali 41.

Jednym z dowodów, świadczących o żywotności tego Kółka, jest duża ilość posiedzeń.

Za przeciąg 3 lat jest ich 56.

Są to posiedzenia zarządu, nadzwyczajnych walnych zebrań jest 12, zwyczajnych 3.

Gospodarcze życie wsi zostało skierowane w łozyska organizacyi właściwych.

Takie zrzeszenia, jak „Spółka producentów bydła, trzody i jaj”, „Spółka rybacka”, „Pie-karnia spółkowa”, „Straż pożarna” i „Drużyna

Bartoszowa", zostały omawiane i początkowane uprzednio na zebraniach Kółka Rolniczego.

Było więc ono w Łoniowych nie *tylko* rozsądnikiem wyższej kultury rolnej, ale i *kuźnicą myśli*, zapładniających wolę do czynu, przejawiającego się w działaniu na polu kooperatywnem.

Kółko rolnicze ciągle coś robi pożytecznego dla całej wiejskiej gromady.

W tym czasie, gdy odwiedzałam Łoniowy, korzystano z takiej krótkiej chwili przerwy, jaką ma rolnik po skończeniu siewów, a przed zaczęciem sianokosów, i na dwóch krańcach wsi budowano pod dozorem Zarządu Kółka dwie wzorowe gnojownie.

A ponieważ dobrze posadzone, starannie pielęgnowane sady, rosą jak na drożdżach, a i stare drzewa, otoczone właściwą opieką, lepszy plon nieść zaczynają, więc rzecz prosta, że — baczny na wszystkie potrzeby wsi — Zarząd Kółka radzi już w najlepsze o suszarni owoców i o spółce owocarskiej.

I przezornie czyni, tak robiąc, bo za lat parę wieś będzie już miała dużo tego produktu, a wstyd byłby dla Łoniowiaków, nawykłych już obywać się bez pośredników, gdyby sady swoje wydzierżawiać mieli żydom, kiedy oni umieją już zboże sprzedawać własnej piekarni, a bydło, trzodę i jaja własnej spółce.

Tutejsi rolnicy, uświadomieni już handlowo na zebraniach Kółka rolniczego, przystąpili jedni z pierwszych do zorganizowania „*Spółki do zbytu bydła, trzody i jaj.*”

Jaki cel stawiają sobie takie spółki? Oto po pierwsze, *uświadamiają producenta o wartości jego produktu*, po drugie, *wprowadzają w zetknięcie producenta wiejskiego z wielkim rynkiem zbytu, unikając wszystkich pośredników*, a tem samem zapewniają mu lepszą cenę

za wyprodukowany artykuł handlu, po trzecie, przez samą możliwość uzyskiwania lepszych cen *podnoszą stan wytwórczości, zachęcając członków spółki do racjonalnej hodowli bydła, trzody chlewnej i drobiu*; po czwarte, *wyzwalają producentów z zależności od handlarzy pośredników*; po piąte, *umoralniają ten handel w powiecie i kraju*; po szóste, *regulują spedy na targach, zaopatrują miasta w taką ilość towaru, jakiej istotnie każde z miast potrzebuje, znosząc tym sposobem giełdę targową i regulując ceny*.

Wreszcie w ostatecznym wyniku *dążą do zakładania własnych rzeźni i masarni wywozowych*, znosząc i w tym zakresie całą falangę pośredników, stojących na drodze, prowadzącej od rynku do konsumenta i osiągają ten piękny cel szlachetnych zasad kooperatywnych, — zeknięcie wytwórcy ze spożywcą.

Włościanie łoniowscy rozumieli już dobrze te zasady organizacyi spółek tego typu, bo organizator życia gospodarczego w ich wsi, dziedzic łoniowski, był siewcą tych spółek w całej Galicyi.

W rozmowach z nim, na posiedzeniach instytucyi łoniowskich słyszeli oni od niego wyjaśnienia, zachęcające do wiązania się w takie spółki.

Młody kooperatysta, nietylko przykładami z życia zachodnich narodów posługiwał się, mówiąc o korzyściach i zadaniach takich organizacyi, — ale sięgał do skarbcza naszej ekonomicznej wiedzy i słowami wielkiego naszego ekonomisty, Józefa Supińskiego, z przed lat czterdziestu przekonywał włościan: „że organizacya gospodarcza, spółki rolnicze, wszystkie stowarzyszenia nasze, niosą przytułek opuszczonym, chleb zgłodniałym, poprawę zepsutym, zapomogę początkującym, opiekę osieroconym,

naukę zaniedbanym. One to podnoszą temperaturę społeczną, przywołują 'do życia' uśpio-nych, niepoprawnych samolubów znaczą piętnem pogardy powszechnej,<sup>f</sup> wydobywają z ma-łoletności, oduczają szukać łaski i opieki, pod- noszą godność jednostek, potęgę ciała zbioro-wego. One tworzą nowe życia społecznego prądy, dawne zasycają życiem nowem. One połączonemi siłami wznoszą olbrzymie dzieła, one pokrewnieniem pracy z wiedzą, wolnością i uczuciem, przebudowują zwolna świat pogwał- cony, a szerząc się i gęstniejąc, zdusić raz mu- szą między sobą to, co jest kłamstwem lub pogwałceniem praw Bożych."

Jak widzimy, wcale dobrze pod względem ideowym byli już przygotowani tutejsi włościa- nie, gdy w liczbie 51 członków 3 lata temu za- brali się do sprzedawania swego bydła i trzody przez spółkę.

Rozpoczęli z 51 członkami, obecnie mają ich 58.

Udziały są małe po 10 koron. Wolno je składać ratami i to tak rozłożonemi dogodnie dla członków, że np. łoniowska spółka posiada dotąd 30 członków, którzy wnieśli dopiero po 5 koron.

Na próbę chcąc zachęcić nowych człon- ków, tym, co się spółce z boku, z niedowierza- niem i drwinami nieraz przypatrują, robią u- przejmości takie: oto przyjmują im „z grzeczno- ści” jedną lub 2 sztuki do sprzedania, a tak za- chęcony chłop w następstwie przychodzi zapi- sać się na członka, by tym sposobem stwier- dzić swoje uznanie dla spółki.

W Łoniowych, choć spółka istnieje zale- dwie 3 lata, zdołała wyrobić sobie już dość wielkie wpływy w okolicznych wsiach i w na- stępstwie powstało tam już 3 filie (oddziały) w sąsiednich wioskach.

Ciekawe, jak tam praktycznie poradzono sobie, by przygotować jednego z dyrektorów spółki do prowadzenia jej ze znajomością rzeczy.

Wiadomo, że włościanin nasz najlepiej się uczy sposobem pogładowym.

Wysłano więc jednego ze sprytniejszych gospodarzy na naukę taką do Wiednia. Siedział tam zaledwie 4 dni na głównym targu bydłym i przypatrywał się całemu przebiegowi czynności, poczynając od wyładowania świń, karmienia, mycia, sortowania i sprzedaży na wagę.

Chodziło głównie o to, aby ów dyrektor wiejskiej spółki wyrobił sobie oko i pouczył się rozpoznawać dobry materiał rzeźny, głównie świński, bo tym produktem przeważnie dotąd te spółki handlują. Wynik takiej krótkiej — ale praktycznie pojętej — nauki był bardzo dobry. Przyszły dyrektor nadzwyczaj dużo skorzystał, a to głównie dlatego, że zdawał sobie sprawę doskonale z celu, w jakim był wysłany, a przytem interesowało go to żywo.

— „Pani może nawet nie domyśla się, jak szybko w takich właśnie spółkach chłopci się wyrabiają” — objaśnia mnie dziedzic łoniowski. — Są oni tak żywo zainteresowani, że wszystko, co się wiąże z tym handlem, zaciekawia ich i do zdobywania wiadomości fachowych pobudza.”

— „I to było całe przygotowanie tego waszego dyrektora? A gdzież pojęcie o rachunkowości? Przecież i zapoznanie się z nią jest bardzo ważne, a to choćby z tego powodu, że jak niema w zarządzie choćby jednego chłopca, rozumiejącego się na rachunkowości, to jest furtka otwarta dla wszelkich podejrzeń, a to wnosi bardzo niepożądany ferment w życie stowarzyszenia, opartego przecież na zaufaniu ale i rozsądnej kontroli.

— „Wiem to, proszę pani, i odrazu chciałem, aby w spółce naszej był chłop, któryby zupełnie jasno i dokładnie zdawał sobie sprawę z tych handlowych obrotów, z jakimi ma do czynienia spółka, to też ten sam dyrektor, którego wysłaliśmy do Wiednia po praktyczną orientację, pojechał jeszcze na 2 kursy rachunkowe parodniowe dla prowadzących takie spółki do Krakowa.

A że cała rachunkowość dla tych spółek jest bardzo przejrzystą, nauczył się więc prędko posługiwać nią.”

• Ze ów dyrektor biegły jest w zakresie swego urzędowania, mogłam się o tem przekonać tegoż dnia wieczorem.

Zaszłam do sekretaryatu instytucji łoniowskich w „Domu Ludowym” i świeżo z pola od roboty przybyły gospodarz wy dostał z szafki na moje życzenie wszystkie druczki, a nawet maszynkę do stemplowania wysyłanych sztuk, oraz kolczyki, i z chłopską sumiennością, poważnie, powoli rozkładając na stole cały ten biurokratyczny aparat, zżywieniem rosnącym zaczął mi opowieść od samego początku o spółce, którą widno głęboko w sercu nosi.

A więc z początku rzecz szła o tem, jak to ludzie nijak nie chcieli uwierzyć, żeby można się było przy sprzedaży trzody obchodzić bez prowadzenia bydła na jarmark, lub sprzedaży pośrednikom.

Jak im się to wydawało niepodobne sprzedawanie spółce na wagę, a nie na oko.

Jak to wreszcie chcieli już przystać do spółki, a pośrednicy różne strachy im opowiadali, a teraz, jak do spółki należą i widzą, że to dobry interes, to i z innych wsi ludzie się garną i spółka, choć młoda, 3 oddziały w trzech wsiach sąsiednich już założyła i przez siebie obznajmionymi ludźmi je obsadziła.

Dalej opowiadał mi, jak to paru żydków w okolicy przez spółkę wynieść się musiało ze wsi, bo im ubył handel bydłem, cielętami, drobiem i jajami.

„Ale najgorzej na spółkę naszą pomstują „zgonnicy.”

Oni to na każdym jarmarku w okolicy przeklinają naszego pana, że pierwszy dla chłopów takie spółki wymyślił.

A to dla nas interes jest złoty, tylko jeden jest w nim sęk, że tam w zarządzie chcą na nas za dużo zarabiać.”

Opowiadanie swoje ilustruje pokazowo na książkach, kwitaryuszach, ustawach; objaśnia, jakie są formalności przy zapisywaniu członka, prowadzeniu rachunków, wreszcie przechodzimy do ekspedycyi transportu.

W Łoniowych wysyłka jest co 3 tygodnie w piątek.

— „Jak o takiej wysyłce zawiadamiacie członków.”

— „A chodzą „karby” po wsiach — odpowiada.”

— „Nie rozumiem — wytłómaczcie mi jaśniej.”

— „A no od chaty do chaty, a z ostatniej na drugą wieś oblatuje podawana z rąk do rąk kartka z tą wiadomością.”

Na drugi dzień po rozesłaniu zawiadomienia jeszcze do dnia koło naszej wagi, co tu wpodłe „Domu Ludowego” stoi, ruch, pisk, gwar, jak na jarmarku.

Sztuka zważona dostaje numer w ucho. Oto widzi pani tymi szczypczykami przecina się jej skórę, uważając, żeby w tętnicę nie przekłóć i zakłada się jej kolczyk z numerem.

Potem każdej wypisuje się papier, ładuje na kolej, fracht wysyła do biura Centralnego Spółek w Wiedniu, a razem z wysyłką posyła

się telegram do Biura z zawiadomieniem, jaki transport i skąd, to jest ile sztuk i jakiej wagi — wysłano.”

— „I to wszystko pan umie dobrze załatwić?”

— „A nauczyłem się, zrazu szło kulawo, teraz idzie mi gładko jak pacierz. A to widzi pani jest moja gazeta, którą bardzo uważnie czytam, bo tu są nauki dla mnie jako kierownika Spółki”—i tu podsuwa mi tygodniowe wydawnictwo galicyjskiej „Spółki zbytu bydła i trzody”, gdzie oprócz artykułów wstępnych, fachowo omawiających sprawy hodowlane, są komunikaty od spółek — wiadomości giełdowe z targów, na które galicyjski materiał rzeźny jest wysyłany, wreszcie różne informacje, które kierownik spółki wiedzieć jest obowiązany.

— „A może mi pan powiedzieć, jaki był obrót w waszej spółce za rok ostatni.”

Patrzy w książkę i odpowiada:

— „Od maja 1913 do maja 1914 r. sprzedała nasza spółka 398 sztuk świń, a za nie wypłaciła członkom 38,468 koron.”

— „Czy jest obliczone, po ile to przeciętnie wypadało na członka.”

— „Po 3 sztuki, ale trafiali się i tacy, co sprzedawali i po 5.”

— „A na jakie działy dzieli się materiał świński, którym głównie handlujecie?”

Namyśla się chwilę i wylicza.

„1-y gatunek to młode świny, mięsne, od 60 - 80 kilogramów wagi mające.

Te płacone są najdrożej po 1 koronie 50 halerzy za kilo.

2-gi gatunek to świny podpasione na szynki.

3-ci gatunek to świny opasłe na słoninę, ale te, to lepiej jest sprzedawać na krajowym targu, bo na wiedeńskim nie wytrzymują konkurencji z węgierskimi.

4) Najlichszy gatunek, najtaniej płatny, to stare lochy po prosiętach — podpasione trochę.

— Jak byłem w Wiedniu, to mogłem zauważyć, że najlepiej płacono za młode świny mięsne, a na to najlepiej nadają się świny rasy westfalskiej, więc jestem przekonany, że dobrą drogą idziemy, zaprowadzając w Łoniowych i w okolicy hodowlę świń rasy westfalskiej.

Dziękuję za objaśnienia dyrektorowi wiejskiej spółki i pomagam mu składać papiery. W czasie tego porządkowania tłómaczy się żartobliwie:

— „Nie jest tu u nas tak paradnie, jak w Głównem Biurze naszej spółki w Wiedniu, albo choćby i we Lwowie, po prostu, po chłopsku oszczędnie my się rządzymy.

Raduje nas bardzo to, że nasza spółka choć taka młoda ale sporo już pieniędzy włożyła do chłopskich kieszeni. Na okolicznych targach duże ma ona znaczenie: jest postrachem na „zgonników”. Ona to reguluje ceny, bo odkąd ona żyje i działa, to każdy chłop w powiecie może śmiało powiedzieć takiemu pośrednikowi: Nie dasz mi tyle a tyle, pójdę do Spółki i ona mi taką cenę zapłaci.”

Dowiaduję się, że w życiu tych niezbyt dawno, bo od roku 1908, istniejących spółek zbytu trzody i bydła, był znamienny zatarg między oddziałami z prowincyi a zarządem głównym. Chodziło producentom-członkom o zwrot 18 tys. koron, uskładanych z frachtów, zbyt wysoko oszacowanych.

Chłopi po tem zatrzymaniu im należnego zysku tak zahamowali swe operacye, że spółki, obracające dziesiątkami tysięcy koron, sprzedawały w roku nieufności do Zarządu towaru za 300 - 500 koron. Zaledwie obecnie zatarg ten został pomyślnie dla członków zalatwiony i dawne zaufanie wróciło.

Będąc we Lwowie, zaszłam do biura tych spółek.

Tam dowiedziałam się od jednego z kierowników, że spółki te w Galicyi powstały, jego zdaniem, zbyt prędko, że chłopci mają głowę przewróconą wielkimi zyskami, z góry im obiecany, a tymczasem dla towaru, który jeszcze produkują obecnie, trudno jest uzyskać dobrą cenę, ponieważ materiał jest tak niejednolity, że sztuki dostawiane mają wagę od 30-150 kilogramów.

Przy tem włościanie przy wysyłce popełniają stale błąd wielki, oto przepasają świnie wysyłane kolejną. Bywa, że odwożąc do stacji kolejowej sztuki przeznaczone na wysyłkę daleką, stawiają im jeszcze cebrzyk z jadem, a że jednocześnie prawie zawsze sztuki, wysyłane przez wiejskie spółki, zapakowane są do wagonu bardzo luźno, więc wskutek kołysania się podczas wekslowania wagonów obijają się, co w połączeniu z przejeźdem sprawia, że po przyjeździe na miejsce na targ wiedeński, są osowiałe i zbite drogą, co powoduje znaczny ubytek na wadze u każdej sztuki.

Zapewne, że nie wszyscy członkowie tych spółek, drobni hodowcy, stoją już na wysokości zadania, ale wielkie obroty, jakie te spółki robią, w połączeniu z podniesieniem się hodowli, dowodzą, że założenie ich nie było chyba rzeczą przedwczesną.

Uświadczenie handlowe i fachowe zdobywać będą producenci - włościanie, w spółkach tych skupieni, przy pracy — i zdobędą je w prędkim czasie, tak jak to już dzisiaj przyswoili sobie w spółce w Łoniowych.

Bywało, że nieraz na zebraniach Kółka rolniczego w Łoniowych mówiło się o tem, że

Galicja posiada wielkie przestrzenie mokrych nieużytków, które, odpowiednio wyzyskane, przynieśćby mogły wielkie korzyści biednemu krajowi.

Dziedzic tutejszy podsuwał łoniowskim gospodarzom przed oczy te cyfry, które statystyka krajowa podaje; wynikało podług tych obliczeń, że 34 tys. morgów mokrych nieużytków, podatnych pod zarybienie, przyczynia Galicyi 10 milionów 200 tys. koron rocznej straty.

— Co mamy z tych bezużytecznych moczarów, stojących po łąkach, pastwiskach gminnych, przed chatami po wsiach?— pytał ich nieraz.—Ano służą one błotniste sadzawki za kąpiel dziatwie, kaczkom i gęsiom.

— Co mamy ze strumyków i źródeł, których tyle w naszym podgórskim powiecie?—Ano żłobią one sobie rowy po łąkach i polach, czasem wytworzą formalne jary, gdzie dziw, że ludzie nóg nie łamią, a te zamulone stawiska po dalekich pastwiskach gminnych to tyle z nich mamy, że są one przytułkiem wszelakiego robactwa mniej lub więcej szkodliwego, tak dla nas samych, jak i dla gospodarstwa, jak np.: szczurom i larwom różnych owadów, dającym się doktliwie we znaki bydłu na pastwisku.

A przecież wszystkie te mokre nieużytki dają się doskonale zarybić karpem galicyjskim, tak zwanym „lustrzeniem”, a i my w Łoniowych mamy takie nieużytki, tylko do zarybienia zdadne, a w sąsiedztwie mamy wielkofolwarczne gospodarstwo rybne, które może nam dostarczyć „kroków”, a od r. 1873 istnieje w Austrii ustawa, dozwalająca gminom wiejskim tworzenie rolniczych spółek rybackich.

Takie cierpliwe a umiejętne przedstawienie rolnikom łoniowskim zaniedbanego źródła dochodu osiągnęło w końcu ten skutek, że po-

wstała tam pierwsza na całą Galicyę włościańska spółka rybacka.

Jaki cel stawia sobie taka spółka?

Przedsiębiorstwo tego rodzaju ma na celu wspólną sprzedaż i zakup ryb oraz wszelkich produktów gospodarki stawowej, będących własnością członków. Zaliczkowanie ryb, dostawionych oraz zgłoszonych, będących własnością członków, a jeszcze nie dostawionych do sprzedaży. Zakupuje ona ryby hodowlane (a więc narybek lub kroki) oraz karm sztuczny do tuczenia ryb.

Spółka obejmuje swoją działalnością cały powiat brzeski, dopóki nie powstanie osobny związek spółek rolniczo-handlowych. Spółka na mocy swego statutu poddana jest pod nadzór Związku stowarzyszeń zarobkowo-gospodarczych we Lwowie, oraz opiece i nadzorowi Tow. Rybackiego w Krakowie. Na mocy tej spółki rybackiej położono kres istnieniu różnych dołków i kaluż z wodą, jakie były w Łoniowych. Najmniejsze zagłębienie zarybiono karpami lustrzeniami.

Zdarza się, że gdy w Łoniowych przebywa jaka wycieczka, gospodarze tamtejsi, prowadząc ją nad stawki, z których zupełnie susznie mogą być dumni, dają wycieczkowiczom bulki ze swojej piekarni spółkowej, aby i ryby też coś na pobycie miłych gości skorzystały.

Ponieważ dobre rzeczy równie, jak złe, są zaraźliwe, więc do Łoniowskiej „Spółki rybackiej” poczęły się garnąć i okoliczne wsie.

Obecnie Spółka ta ma 32 członków, a ci przedstawiają ilość 27 stawków.

Stawki te maleńkie wynoszą zaledwie 5 mórg austryackich (10 magdeburgskich) ogólnej przestrzeni.

Sposób ich zakładania jest bardzo prosty i niekosztowny. Zarząd Spółki w Łoniowych

jest za najprostszem urządzeniem tych stawków, by włościan, nie lubiących prowadzić gospodarstwa nakładowo, nie zrażać kosztami większymi.

To też sposób zakładania tych stawków jest niekosztowny; każdy gospodarz jest w możności sam to zrobić bez wielkiego nakładu. Dokładny opis, jak zarybiać stawki włościańskie, zawarty jest w broszurze p. Jasińskiego p. t. „Wyzyskanie nieużytków polnych przez zarybianie”.

Używane przez tę Spółkę do zarybiania karpie lustrzenie, poszukiwane w handlu, odznaczają się szybką zdolnością wzrostu i opasania.

Zarobek na nich jest duży: w rybnem gospodarstwie folwarcznem w sąsiedztwie płaci się za kroczek 40 halerzy, a na jesieni tegoż roku sprzedaje się też same ryby po 2 korony za kilo a zatem czysty zysk wynosi na sztuce 1 koronę 60 halerzy. Zarobek, jak widzimy — duży, a zachód koło tej produkcji — nieznacznym.

Oczywiście ryby ze wspólnych stawków spółki, rozrzuconych w kilku wsiach sąsiednich, idą do wspólnej sprzedaży.

Organizacya w tej wiejskiej Spółce jest taka:

Zarząd Spółki udziela objaśnień fachowych członkom, odbywa lustrację nad stawkami, a więc i nad robotą przygotowawczą. Jeśli członek nie stosuje się do regulaminu, jest usuwany.

Ciekawe są ostatnie uchwały Spółki rybackiej w Łoniowych. Wypisuję je z księgi protokołów.

„Postanowiono, że Spółka brać będzie nieużytki zdatne pod zarybienie i u takich gospodarzy, którzyby sami tego nie zrobili, i oddawać im je następnie gotowe do użytkowania.

Postanowiono urządzić stawki u gospodarzy, nie chcących się zupełnie tem zajmować, gospodarować na nich, w imieniu Spółki, a gdy gospodarz, zachęcony zyskiem i przekonany o niewielkim trudzie, podejmie się zarządzać stawkiem u siebie, zwracać mu go z potrąceniem za koszt urządzenia i administracji.

Uchwalono wydać popularną broszurkę o wielkich zyskach, płynących z wyzyskania mokrych nieużytków, przez zarybianie ich.

Zwrócono się też z prośbą do starostwa w Brzesku o ogłoszenie w „Dzienniku urzędowym starostwa”, że spółka w Łoniowych zarybia okoliczne stawki w całym powiecie, udziela fachowych porad i wysyła własnych delegatów z referatami na zebrania rolnicze, zarówno kółek rolniczych, jak i czytelników wiejskich, jakoteż i zebrań gminnych. Wnieść podanie do ministerjum rolnictwa z prośbą o zasiłek na budowę stawków produkcyjnych w Łoniowych.

W sprawie budowy stawków produkcyjnych upoważnić dyrekcję Spółki do zrobienia kontraktu z gminą Łoniowy na mający się wziąć w dzierżawę grunt od gminy na lat 25, poczynając od r. 1915.”.

Z uchwał tych widać, że ta jedna z pierwszych w kraju chłopska Spółka rybacka mądrze i przewidująco się rządzi. Myślą też tam o wyrabianiu sobie sił fachowych z pośród członków spółki.

Syn dyrektora Spółki rybackiej został wysłany do Suchodołu \*) na naukę rolnictwa, aby potem mógł pełnić funkcję wiejskiego instruktora w rodzinnej wsi.

Ten sam chłopiec ma później przejść dodatkowo kurs rybacki w dużym gospodarstwie

---

\*) Średnia szkoła rolnicza pod Krosnem.

rybnem, bo Łoniowiacy, widząc rozwój rybnego gospodarstwa w swej Spółce, przewidują, że w niedalekiej przyszłości ich własne siły nie będą mogły tym potrzebom zaradzić.

W Łoniowiakach, tych, co są już zrzeszeni i uspołecznieni, widać rozbudzoną gorącą chęć dzielenia się swoim doświadczeniem i sposobami dochodzenia do dobrobytu z sąsiadami z innych wsi.

— „Proszę pani, taki stawek z karpiami to doskonały interes. Roboty po urządzeniu go jest bardzo mało, a z jednej ósmej morgi mam co roku 50 koron zysku. To na nasze drobne chłopskie gospodarstwa warte przecież zachodu. Godzi się więc do tak dobrej rzeczy, jak zarybianie mokrych nieużytków, namawiać naszych braci,” — mówił mi jeden z takich gospodarzy, który ma stawek zarybiony i dobrze na tem wychodzi.

W Łoniowych istnieje stary domowy przemysł, który uprawia cała wieś w jesienne i zimowe wieczory.

Jest to wyrób prostych koszyków i kobiałek różnych wielkości, wyplatanych z korzeni sosnowych.

Dzieci w szkole już się tego uczą i bardzo zgrabne kobiałeczki wyplatają.

— „Jak się jedzie zimą wieczorem przez naszą wieś, to wszędzie widać światło w chatach.

Kobiety przędą, a mężczyźni i dzieci starsze koszyki robią” — opowiada mi w czasie wędrowki po wsi łoniowskiej mój przewodnik, u-przejmy dziedzic miejscowy. — „Może to zasługa tego przemysłu, że wieś nasza posiada ciekawe typy bardzo zmyślnych, zręcznych do każdej pracy gospodarzy.”

— „Może pani chce choć jednego z nich poznać? właśnie dochodzimy do jego chaty, a mam do niego interes.”

— „Ależ bardzo chętnie zajdę zobaczyć takiego „wiejskiego majstra od wszystkiego”, to są zazwyczaj mili gawędziarze” — odpowiadam.

— „A tak i mają co opowiadać, bo się między ludźmi więcej zwykle obracają”.

Zachodzimy więc do chaty 7 morgowego gospodarza.

Na galicyjskie stosunki jestto średnio za-  
możny wieśniak, ale cóż, roli on nie pilnuje,  
gospodarzy jego żona i dzieci, on zarabia na  
chleb dla rodziny jako blacharz, dekarz, ślu-  
sarz, tokarz i stolarz.

Kocha się w narzędziach, ma ich dużo,  
porządnie ułożonych, pozawieszanych, nieraz  
samodzielnie i bardzo pomyslowo własnoręcznie  
odrobionych. Uchodzi w okolicy za „znachora”  
od różnych trudnych rzemieślniczych przed-  
sięwzięć, przychodzą do niego i majstrowie, by  
im różne narzędzia robił, a czasem coś dora-  
dził. Pracuje przy budowie kościołów, dworów.

Jednym słowem człek z tego gospodarza  
w świecie bywały, wymowny. Pobożny bardzo,  
z kompaniami jako przewodnik do miejsc świę-  
tych chadza.

Kocha się w obrazach, figurkach Świętych.

Ma alkierzyk obstawiony tem wszystkim,  
podobny do kramiku ze świętościami, syna  
kształci na rzeźbiarza w szkole w Bochni. In-  
teresuje go wszystko, ale co się tyczy gospo-  
darki rolnej, to choć zdaje się rozumieć różne  
nowości w tym zakresie, bo jest nieprzeciętnie  
inteligentny, to jednak nie myśli ich wprawa-  
dzać w życie u siebie.

I tak: zastałam u niego jeszcze żarna  
w użyciu, a budynki gospodarcze bardzo za-  
niedbane.

Widząc, że się na tem rozumiem trochę —  
zaczyna mi objaśniać.

— „Bo to proszę pani u mnie się kobieta głównie całym gospodarstwem trudni; ja co „inszego” mam na głowie” — tłumaczy się.

„Pełno obstalunków tak, że nie wiem kiedy co skończę, ot i panu na ten przykład na „festyń” mam zrobić karuzel, a tu i ksiądz proboszcz gwałtuje o wykończenie mu ozdoby, ot takiej, na wieżę kościelną, a to to, a to drugie wykończyć trzeba, tak że czasem człowiek nie wie, czego się chwycić.”

Ślucham go, oglądam warsztat i wszystkie co ciekawsze porządki rzemieślnicze, ale swoją drogą dogaduję mu niezgorzej za podwórzową gospodarzkę, a więc za okropną, do pudelka szczególnie zamkniętego podobną chlewnię, za oborę ciemną, jak piwnica i gnojownię dziurawą, jak rzeszoto.

Nie obraża się w swej miłości własnej gospodarza, tak mocno przezemie poniewieranej, przeciwnie, widocznie uwagi moje zaczynają go zastanawiać, bo mnie ciągnie za język, bym mu obszerniej objaśniła, dlaczego to a to ganię w jego obejściu.

Dziedzic popiera mnie też zlekka, jeno w sposób bardziej delikatny, bo mówi:

— „Pan Kuraś jest przecie mądry człek i pojęcie dobre ma o wszystkim, na zebraniach Kółka rolniczego bywa, a tak jakoś nic u siebie nie stosuje tych porad gospodarskich, które słyszy.”

A ja widzę, że chłop się zaczyna jakos dobrze mienić w oczach, gnębię go dalej.

— „Niechno pan weźmie na rozum, jakby to było ładnie i dobrze, żeby ci wszyscy ludzie, którzy w różnych interesach do pana zachodzą tak często, widzieli, że pan ma wielki porządek nietylko w chacie i w warsztacie, ale i w całym swoim obejściu, w sadzie i w podwórzu, w każdym budynku i na każdym kawałku ziemi w polu.”

Słucha tego jakoś spoważniały, co u niego rzadko się trafiać musi, bo to typ optymisty, pogodnie i lekko biorącego życie, w końcu przy pożegnaniu powiada mi serdecznie.

— „Rad jestem, żeś poznał taką kobietę, co tak chłopską biedę ratować i podierać by rada. Jak panią Pan Bóg przyprowadzi jeszcze kiedy do nas, to tu już u mnie inne porządki w gospodarstwie zobaczy.”

— „Ej, jak pan tak obiecuje, to jeszcze z pana dobry gospodarz być może.”

Swoją drogą biorę dziedzica na świadka ego przyrzeczenia, a ten obiecuje mi uroczyscie, że przypilnuje, by p. Kuraś dał duże okna w chlewach i w oborze i pobielil jedno i drugie. Wiejski „majster od wszystkiego” śmieje się z tego oddania go pod kuratelę, ale mam wrażenie, że uważa się za zobowiązanego moralnie wobec mnie i chyba udzieli trochę światła, powietrza i wapna swojej chudobie.

— „Co to za „festyn” pan organizuje, na który Kuraś ma jakiś karuzel robić?” — pytam mego przewodnika po wyjściu na wiejską drogę z chaty „majstra od różnych osobliwości”.

— „Dobrze, że się pani o wszystko pyta, bo mógłbym był zapomnieć, a to też jedna z właściwości naszej wsi.

Widzi pani, mamy tutaj takie rzeczy, które, musimy utrzymywać, jak np. „Straż ogniowa” i „Czytelnia”. Otóż na dochód tych instytucy rok rocznie odbywa się „festyn ludowy”.

Będzie on u nas w tym roku 7-go czerwca jeśli pani by mogła odwiedzić nas w tym czasie, bardzo prosimy, taka wiejska zabawa mogłaby być interesującą dla pani.”

— „Dziękuję za zaproszenie, ale o tej porze będę zajęta poznawaniem limanowskiego

powiatu, więc może w swej niewyczerpanej dobroci zechce mi pan choć opowiedzieć, jak to się odbywa.”

— „A no spróbuję. Występują w odświeżonych mundurach strażacy, kaski na ten dzień mają doskonale wyczyszczone, buty również mają podobne do lakierów, miny tęgie.

Oni na festynie pełnią rolę gospodarzy, pilnują porządku.

Orkiestra miejska rznie do tańca od ucha, chwilami usiłuje grać do słuchu, co jej się mniej udaje oczywiście, ale słuchacze są poślizgliwi.

Młodzież mieszana, a więc chłopcy z „Drużyn Bartoszewych” z dziewczętami, dają jakieś przedstawienie teatralne i żywe obrazy, kieruje tem moja żona z córkami. Są bufety, gonitwy, ćwiczenia gimnastyczne, ognie bengalskie, kosze szczęścia, tańce.”

— „I gdzież to wszystko się odbywa, przecież nie w ogrodzie, przed dworem, chyba.”

— „Nie, tam byłoby za ciasno. Na festyn przychodzą tłumy z kilku okolicznych wsi. Możemy wrócić do domu przez pastwiska górskie, to pani pokażę to miejsce naszych ludowych zabaw.”

Skręcamy z szosy na zarosłe olchami i wierzbami pastwiska, płynie tam jakaś rzeczka, szemrzają strumyki, zielenią się łąki, mieni się barwami wysoko ku górze łamaną linią wyciągnięta szachownica poletek. Idziemy szybko, za chwilę wchodzimy na wielką polanę, po bokach zadrzewioną wierzbami u stóp ładnego wzgórza, tarasami łagodnie schodzącego ku równi, odsłoniętej części pastwiska.

— „Na tym placu odbywa się zabawa, z tego wzgórza robimy sobie naturalną scenę.”

— „A ten plac ogradzacie?” — pytam, rozglądając się po ładnym miejscu wiejskich zabaw.

— „Tak, naturalnie, przed festynem kwestujemy u gospodarzy, gromadzimy tarcice na ogrodzenie, lawy, płachty i t. p. rzeczy.

Szyją się chorągiewki, wiają wieńce, na drzewach wieszają się lampki i tak małym kosztem robi się zupełnie mile tło zabawy.

Nasze festyny mają już u ludu dobrą markę, chętnie na nie nawet z dalekich wsi zjeżdżają rodziny włościańskie.”

— „A jak o nich zawiadamiacie?”

— „Miejskim zwyczajem, drukujemy afisze i rozlepiamy je na tydzień przed festynem w kilkunastu wsiach.”

— „Czy macie poważne dochody?”

— „Do tyła poważne, że zamierzamy z „festynowych dochodów” spłacić dług, wynoszący 6,000 koron, którym obciążoną była nasza straż. Sporo już spłaciliśmy z tego długu, mamy nadzieję niezadługo spłacić i resztę.”

— „Możeby mi pan jeszcze coś opowiedział o łoniowskiej straży - ogniowej” — pytam dalej mego przewodnika.

— „Najpierw wyluszczę moją ideologię na zadanie straży wiejskich. Nie wiem, czy się pani ze mną zgodzi, ale ja uważam straż pożarną za robotę, podnoszącą na wyższy poziom moralny mężczyzn w danej wsi.

Pierwiastek poświęcenia i gotowości żołnierskiej jest bardzo dobrym czynnikiem wychowawczym dla nich, a daje się doskonale wyzyskać w takiej właśnie organizacji.”

Jako powód, że najzupełniej solidaryzuję się z tym jego poglądem na wpływ umoralniającej straży ochotniczej, opowiadam fakt z życia pewnej wsi w Królestwie, bardzo rozhultajonej, gdzie udało się jednemu instruktorowi rolniczemu założyć straż i energiczne a dobre nadać jej kierownictwo.

Cała energia młodzieży męskiej znalazła tam godziwe ujście, a po jakimś czasie, wieś ta zupełnie zmieniła się pod względem obyczajowym.

Z dalszego opowiadania mego przewodnika i z opowieści włościan okolicznych, które potem mnie doszły, okazuje się, że łoniowska straż ma dobrą markę.

Chłopi, rezolucyjni z usposobienia i dziarscy, przywiązali się tam do swego niebezpiecznego zajęcia, wyrobili w sobie posłuch i karność wojskową, odwagę i wytrwałość przy akcji ratowniczej — niepospolitą.

— „Gdyby nie to, że zwykła orędowniczka ich, a żona moja, tłumaczy mi, że są obecne pomęczeni pilną robotą w polu, zrobiłbym pani nocny alarm: zobaczyłaby pani wtedy na własne oczy ich sprawność.”

Oświadczam, że zadowolają mnie w zupełności fotografie, przedstawiające ćwiczenia łoniowskich strażaków i że na słowo wierzę w dobre wyćwiczenie drużyny, poznawszy ich naczelnika.

— „Może pani chce zobaczyć miejsce, na którem stanie nasza strażnica, którą właśnie po skończeniu pilnych robót wiosennych zaczniemy budować?” — proponuje mi uprzejmy organizator łoniowskiej straży.

— „Bardzo chętnie.”

Idziemy drogą, a jest nią doskonale utrzymana szosa, wysadzona z obu stron drzewkami owocowymi, porządnie opalikowanymi, mijamy młyn, Dom Ludowy, wagę, należącą do Spółki producentów bydła, prosty krzyż dębowy, z napisem takim, jak na krakowskim pomniku grunwaldzkim, na kurhanie, usypanym przez mieszkańców wsi, wznoszący błogosławiące ramiona; idziemy dalej drogą ku olszynie, na gromadzkim pastwisku rosnącej.

Tam widać już stos budulcu, który właśnie zwożą.

Zatrzymujemy się, a p. komendant straży objaśnia, że plac ten pod strażnicę, na przybory strażackie i spory placyk na ćwiczenia niezbyt dawno otrzymała straż ogniowa w darze od gminy.

W chwili, gdy rozglądamy się po tym placu, przechodzi jakiś gospodarz, dziedzic wita się z nim i bardzo energicznie zaczyna mu się przymawiać o dwa chojaki na strażnicę. Tak zagadnięty zniecka wieśniak, tłómaczy się pokornie, że on sam dużo budulcu teraz potrzebuje, bo się właśnie po spaleniu świeżo odbudowuje.

— „Ale gdybyśmy wam, nie wymawiając, nie odratowali innych budynków, mielibyście jeszcze więcej do stawiania teraz.”

— „Dyć prawda, ale w lesie mało już co mam drzewiny budulcowej.”

— „Pozwólcie nam wybrać tylko ze 2 chojaki, już my tam sobie wyszukamy. Wszyscy dają, to i wam należy się wspomódz straż” — mówi kwestarz stanowczym tonem.

— „Ano to kiej trza, to trza, w tym tygodniu czasu nie mam, na przyszły przywiozę wam sam.”

— „Ja też byłem spokojny, że nie na próżno do was sobie język strzępię. Bóg zapłać za wspomóżenie,” — chłop idzie dalej swoją drogą, a ja mówię do naczelnika straży łoniowskiej:

— „Z bólem serca dał panu tę ofiarę. Czy to zawsze tak trudno idzie?”

— „A z nim tak, bo to taki spekulant, on mało co we wsi siedzi, choć ma duże 20 morgowe gospodarstwo, spuszcza się na żonę, parobka, i dzieci drobne, a sam po jarmarkach ciągle jeździ, końmi handluje, ponieważ się

jeszcze doszczętnie nie rozpił, a na koniach istotnie się zna, więc nawet dużo zarabia.”

— „Ale gospodarstwo zaniedbuje napewno.”

— „No naturalnie, on do gospodarki tylko mimochodem się wtrąca, to też dlatego tak długo musiałem go przekonywać, żeby się poczuł do obowiązku dania trochę drzewa na strażnicę.

Sam pierwszy powinien to być nam zaproponować, bo przecież tak niedawno jeszcze parzyliśmy się przy ratowaniu jego zagrody.

Niech pani sobie wyobrazi, w kwadrat zabudowane ciaśniętym podwórko, na którym zajęły się stodoła i szopa, iskry tak padały gęsto, że nie można było myśleć o ratowaniu żadnego z budynków, jedynie udało nam się wyprowadzić inwentarz, ocalić sporo budulcu i uratować dom mieszkalny.

Strażacy, siedzący na dachu chaty, ciągle byli polewani wodą, bo inaczej trudnoby im było wytrzymać.

A potem przez noc całą do rana piłowaliśmy zgliszcz, żeby się nie zatliły.

I po tem wszystkim, on nam myślał się wykpić i na budowę strażnicy nic nie dać. A nie doczekanie jego!”

Mijamy młyn.

Jakiś młody gospodarz zdejmuje właśnie worki ze zbożem z woza.

— „Przepraszam panią—to gospodarz z Porąbki - Uszewskiej, a tam świeżo właśnie założyłem straż ogniową, muszę się spytać, czy załatwili formalności.”

Podchodzimy.

Widzę, że na widok komendanta straży Ioniowskiej twarz wieśniaka rozjaśnia się; stawia worek, otrzepuje dłonie i w postawie wyprostowanej odpowiada bardzo przytomnie na krótkie pytania.

Okazuje się z tych odpowiedzi, że załatwili wszystko, co im było na zebraniu organizacyjnym polecone. Na dokładkę melduje radośnie, że w ciągu tygodnia po zebraniu organizacyjnym przyłączyło się do nowej straży kilkunastu chłopców z ich wsi.

— „To doskonale! — a mówiłem wam, — aby zacząć choć z małą garścią, inni się przyłączą zaraz.

Powiedźcie tam swoim, że w niedzielę po Sumie przyjadę z drużyną tutejszą, aby was przeciwzyć. Zobaczmy, jak się ruszać będziecie” — zapowiada komendant wesoło.

— „A no będziemy się starali, dyć u nas dużo takich, co w wojsku byli, ruchu dobrego jeszcze nie zapomnieli.”

— „Ja się po was dużo spodziewam i cieszą się bardzo, że „moi Łoniowiaczy” będą mieli tak blisko w was „potuchę” do starania się o coraz lepsze wycwiczenie.”

Taka wieś, jak Łoniowy, nie mogła się rzecz prosta, obejść bez Domu Ludowego, stał się on też ogniskiem tamtejszego życia. Wielka sala ze sceną służy jako sala posiedzeń i miejsce przyjęć dla wycieczek, z dalekich stron nieraz przybywających, by tę wieś idącą wytrwale naprzód obejrzeć.

Tam odbywają się rocznice narodowe, których Łoniowy urządziły już 14, tam czytelnia i biblioteczka „Tow. Oświaty Ludowej” ma swoje pomieszczenie, tam w małym pokoiku mieści się sekretaryat różnych instytucji łoniowskich, tutaj obradują zarządy Spółek.

Na dole jest pomieszczenie dla piekarni, a że sala zebrań nie często jest potrzebna, więc w zwykłym czasie korzysta z niej piekarnia i po upieczeniu chleb jest rozkładany do studzenia na stolach i ławach w tej sali. Trochę to dziwnie, a nawet rażąco, wygląda,

w sali przybranej zielenią, chorągiewkami i reprodukcjami obrazów miłych sercu Polaka, widzieć chleb, poukładany rzędami, ale nie darmo robił mi uwagę jeden z kierowników spółek łoniowskich:

— „My się rządzymy oszczędnie, po chłopsku i na dorobku jeszcze jesteśmy, więc proszę wybaczyć nam, że nie wszystko jest jeszcze u nas tak, jak być powinno”.

Mimo drobne braki, w Łoniowych znać na każdym kroku postęp, zdrowo rozumiany.

W niedzielę, chodząc po wsi, nie widziało się pijaków, a natomiast sporo było ludzi, zajętych czytaniem.

Książki ludność miejscowa czerpie z czytelnicy Tow. Oświaty, z dworu i od ks. wikarego z sąsiedniej wsi, bo kościoła w Łoniowych niema.

Wieczorem, w niedzielę, słyszało się dolatujące ze wsi dźwięki kapeli, grającej młodym do tańca i śpiewy; — pijackich wrzasków, tak często rozlegających się po wsiach galicyjskich, nie było słychać.

Obok „Domu Ludowego”, który w Łoniowych jest sekretaryatem tamtejszych Spółek, wznosi się spory młyn, zbudowany przez osobę, należącą do rodziny dziedziczki; młyn więc jest przedsiębiorstwem prywatnem, ale przy młynie zawiązała się piekarnia, założona na zasadach współdzielczych, do której należą włościanie.

Piekarnia mieści się w „Domu Ludowym”, wypieka sporą ilość pieczywa dla całej okolicy, a nawet w dalszych stronach spotykałam ten chleb, można go też dostać i w Krakowie.

Wsie okoliczne i rynki miasteczek, podczas jarmarków i odpustów, są w niego zaopatrzone.

Spółce piekarskiej w Łoniowych, gdy ona powstała, żydzi-piekarze proponowali sporą sumę pieniędzy, byle po jarmarkach i odpustach

z chlebem tym nie jeżdżono. Naturalnie, że ta propozycja żydów utwierdziła tylko Spółkę w jej przedsięwzięciu i wysyłka chleba po jarmarkach i odpustach stale się tam odbywa.

Młyn w Łoniowych przerabia na dobę 10,000 kilogramów zboża.

Piekarnia wypieka różnego pieczywa z 20 centnarów mąki dziennie. Do Spółki piekarskiej należy 48 członków, kapitał zakładowy wynosił zaledwie 3.200 koron, a całkowite urządzenie piekarni kosztowało 14.000 koron. W pierwszym roku założenia Spółki piekarnia pracowała z niewielkim niedoborem, jednakże już w drugim roku czysty zysk wynosił 900 koron.

Piekarnia tamtejsza założoną tam została ze zbyt małym kapitałem i to jest „grzech pierworodny”, jaki na niej ciąży. Jeden z piekarzy bardzo nadużywał położonego w nim zaufania i zrobił duże sprzeniewierzenie.

To też piekarnia była tam dość kosztownym doświadczeniem.

Ale ponieważ Łoniowy, jako wieś, tworząca własny byt na nowoczesnej zasadzie ekonomicznej, jest w zakresie spółkowego działania półkiem doświadczalnym dla całej Galicyi, więc i te doświadczenia z piekarnią mają tam pouczające znaczenie szersze.

— „Już teraz każdemu będę odradzał, na mocy zdobytego doświadczenia, by się z takim interesem, jak piekarnia, nie gorączkował, ale na zimno, długo i starannie grunt pod takie przedsięwzięcie przygotowywał” — mówi o tej spółce dziedzic-kooperatysta.— „Każdemu teraz radzę, by przedtem starał się sam praktycznie obznajmić z takim interesem, by nie być na łasce piekarza.

Dzisiaj my po licznych stratach przekonaliśmy się, że i piec postawiliśmy wadliwie i piekarzowi zbyt długo pozwoliliśmy się okradać.

Ale to wszystko było dla nas nauką, na-  
byłą drogo okupionem doświadczeniem. Obec-  
nie trudno jest nas już podejść, bo znamy się  
już na tym interesie.

Piekarza mamy teraz uczciwego, dobrze  
go wynagradzamy, a on dobrze się ze swych  
zobowiązań wywiązuje. Mamy też 2-ch termi-  
natorów porządných chłopców miejscowych,  
tych sobie przygotowujemy na przyszłych pra-  
cowników.

Czy nas nie opuszczą po zdobyciu wiedzy  
fachowej, tego oczywiście trudno przewidzieć,  
ale robimy swoje.

Staramy się dobrze wynagradzać pracow-  
ników i warunki pracy dawać im dobre."

Rzeczywiście, po zwiedzeniu piekarni w ru-  
chu będącej, gdy się naocznie przekonałam, jak  
czystym jest całe otoczenie i odzienie piekarzy,  
z jeszcze większym apetytem zajadałam chleb  
łoniowski i doskonałe bulki.

Nieraz już tę piękną w podgórskiej oko-  
licy położoną, a gospodarczo rozwiniętą wieś,  
nawiedzały wycieczki różne.

Byli tu kiedyś Słoweńcy, był parę razy  
biskup tarnowski ks. Wałęga, w r. 1913 zjawiła  
się tam liczna wycieczka poznańskich wło-  
ścian, członków Kółek rolniczych z redaktorem  
„Poradnika Gospodarskiego” na czele.

Wynikiem takich miejscowych uroczysto-  
ści było wyrobienie sobie przez wieś tę pewnego  
programu przyjęć wycieczek. Odbywa się ono  
z pewnemi zmianami mniej więcej tak:

Wyjazd konno na spotkanie wycieczki kil-  
kunastu włościan do granic wsi.

Brama powitalna koło „Domu Ludowego,”  
a przy niej spotkanie wycieczki przez gromadę  
wiejską z sołtysem, podającym kierownikowi  
wycieczki chleb i sól na tacy. Krótkie prze-  
mówienie powitalne.

Dla biskupa Wałęgi zrobili bardzo niezwykłą bramę powitalną: oto zbudowali ją z dużych kobiałek do obroku, jakie tutejsi włościanie wyrabiają, białe kobiałki przybrali zielenią i polnemi kwiatami, których o wczesnej wiosennej porze w obfitości dostarczyły tutejsze łąki.

Słoweńców przyjmowano z dużym nakładem pracy, bo wystawą lokalną Kółka rolniczego, tak urządzoną, że goście z innego kraju przybyli mogli się po obejrzeniu jej uważnem zorientować łatwo, jak żyje, mieszka i co produkuje jako rolnik i hodowca włościanin łoniowski.

„Dom Ludowy” służy wycieczkom za miejsce zebrań i spotkań z „Łoniowiakami”, tutaj gromadzą się wszyscy na posiłek, tutaj słuchają przedstawień Kółka dramatycznego, chóru, orkiestry, tutaj gawędzą o różnych sprawach.

W czasie wycieczek występuje z ćwiczeniami próbnymi i straż ogniowa.

I w takich chwilach ujawnia się jednomyślność i duża już ogląda towarzyska łoniowskiej gromady.

Widzi się jakby jedną rodzinę.

Słoweńcy, zarówno jak Poznańczycy, byli szczerze zdumieni tem, co w tej wsi galicyjskiej zastali, po tak krótkim, bo zaledwie 6 lat trwającym okresie pracy łącznej, przebudzonej z letargicznego snu gromady wiejskiej, z uspołecznionym dworem.

Każda wieś, która żyje pełnem życiem i coraz większe zadania wykonuje, potrafi myśłą śmiałą wybiegać w przyszłość. Podobnie i Łoniowy.

Idą one w rolnej kulturze po bardzo dobrej drodze, podnoszą wydajność swych gospo-

darstw, tworzą spółki do zbytu bezpośredniego swych płodów.

Przewidując, że za lat parę z sadów powiększonych mieć będą dobre plony, myślą tam już dzisiaj o spółce, któraby przerabiała i suszyła owoce, i w tej przerobionej formie wysyłała je na rynek krajowy, przyczyniając się w części do usunięcia z niego konserw węgierskich oraz czeskich i bośniackich suszenin.

Pragnąc stworzyć pracę dla młodych chłopców, którzy nie mogą znaleźć zajęcia na małych działkach ziemi i emigrują do Ameryki \*), szukając pracy po świecie, noszą się też tam z myślą założenia szkoły przemysłowej z warsztatami: ślusarskim, kowalskim, stolarskim i rygarskim. Starania o taką szkołę, wychowującą wiejskich rzemieślników i dającą pracę zarobkową w warsztatach, są tam w pełnym biegu, dziedzic miejscowy uzyskał już nietylko od swojej wsi, ale i od sąsiednich gmin zobowiązania zapomogowe i plac pod przyszłą zawodową uczelnię.

Takie tam plany mieli tamtejsi ludzie na przyszłość najbliższą, na parę miesięcy przed wybuchem wojny.

---

## Sułkowice.

(*Wieś rzemieślników*).

Jest to duża, parę tysięcy dusz licząca wieś, zamieszkała przez rolników—kowali.

---

\*) W miarę rozwoju gospodarstw i uprzemysłowienia wsi emigracja do Ameryki i na roboty sezonowe do Prus — maleje.

Wieś ta, trudniąca się jednym rzemiosłem i mająca po temu całą organizację dobrze obmyślaną, leży w pow. myślenickim, w zachodniej części Galicyi, o 2 godziny z minutami jazdy koleją od Krakowa, oddalona jest od stacyi kolei w Kalwaryi Zebrzydowskiej tylko o 10 wiorst drogi, doskonałej szosy.

Rzemiosło, którem się tutejsi mieszkańcy trudnią, jest odwiecznem ich zajęciem, od paruset lat z ojca na syna przechodzi ono, wytwarzając zdolnych i rozmiłowanych w swym fachu majstrów i czeladników.

Podobno przed wiekami, w lasach, jakie tutaj rosły, cyganie lubili na czas dłuższy rozbić swe obozowiska i kowalskiem rzemiosłem się trudnili, oni to podobno tej umiejętności nauczyli tutejszych kmieci.

Ale jest i drugie podanie, opowiadające,— że rzemiosła kowalskiego nauczyli tutejszych ludzi rzemieślnicy niemieccy, których pewien wielki pan polski z dalekich krajów sprowadził, by mu na wyniosłej górze zamek we wsi Lanckoronie stawiali.

Nie wiadomo, które z tych podań jest prawdziwe, gdyż oba mają cechy prawdopodobieństwa.

Jakkolwiek było z tą nauką w przeszłości, faktem jest, że śnać nauczyciele byli dobrzy, bo potrafili nietylko nauczyć danego rzemiosła większe skupienie ludzi, ale co ważniejsze, potrafili wszczepić w nich umiłowanie dla tego rodzaju pracy.

Sułkowice, to duża, malowniczo na wzgórzach nad parowami, niby u nas w okolicach Nałęczowa, rozłożona wieś.

Dużo zieleni, sporo sadów, jakieś wielkie, wspaniałe murowane gmachy obok małych chat i jakichś dziwnego kształtu, niby to szop, niby domków mieszkalnych, stanowiących do-

pełnienie każdej wiejskiej zagrody. Jeszcze przed skruceniem w wiejską drogę, zdala na szosie, a już słycać rytmiczne uderzenia setek młotów, walących w kowadła, — istna kapela ludzkich dzieciółów.

Przed 20 laty Wydział Krajowy, troszczący się o podniesienie rzemiosł w całym kraju, upatrzył tę wieś na miejsce dla szkoły, kształcącej kowali i ślusarzy.

Trzeba przyznać, że miejsce było doskonałe dobrane po temu, bo to ludzie z dziada pradziada w rzemiosle kowalskiem rozmiłowani, kolej i szosa pod bokiem, okolica rolnicza, potrzebująca wyrobów tego rodzaju, jakie kowale wyrabiali.

Idę zwiedzić szkołę.

Oprócz zajęć praktycznych, wykonywanych w dobrze urządzonych warsztatach szkolnych, w szkole zawodowej kowali i ślusarzy są tam wykładane rysunki techniczne, z zakresu konstrukcyi maszyn, geometrya i specjalne wykłady handlowe, geografia, prawo handlowe i stosunki ekonomiczno-polityczne.

Uczniowie przychodzą do tej szkoły, ukończywszy szkołę początkową, a czasem i tacy, którzy skończyli 3—4 klasy gimnazyum.

Obejrzawszy klasy, duże, widne, idziemy do kuźni szkolnej, gdzie pod okiem majstrów—nauczycieli pracują grupami kowale i ślusarze. I tam warunki pracy są dobre. Jest w tych pracowniach widno, wentylacja dobra, są różne udogodnienia techniczne dla pracujących. Maszyn dużo.

Inaczej było na początku, gdy biedna szkoła przed 20 laty zaczynała stawiać pierwsze kroki, wtedy brakowało wielu rzeczy.

Opowiada mi o tem jeden z panów majstrów, który te czasy pamięta.

Trafiłam na radosny dla warsztatów szkolnych dzień; prowadzą mnie do świeżo sprowadzonej lśniącej maszyny motorowej, o sile 50 koni, która ma zastąpić inną dawniejszą o sile 4-ech koni zaledwie.

Wszyscy, poczynając od dyrektora i nauczycieli — majstrów, kończąc na uczniach — czeladnikach, są uradowani, że nareszcie u-  
pragniona maszyna jest już w ich posiadaniu.

Snać ci ludzie rozumieją powiedzenie amerykańskich pracowników: „że dobre narzędzie—to połowa pracy”.

Dowiaduję się, że w szkole uczą się teorii rzemiosła, a w warsztatach ślusarsko - kowalskich praktykuje 40 uczniów synów włościan—kowali miejscowych przeważnie, którzy dzięki świadectwom szkolnym dostają potem dobre posady mechaników.

Pytam się, jaki wpływ na wieś uprzemysłowioną wywarła szkoła kowalsko - ślusarska. Przyczyniła się do wyzwolenia miejscowych kowali z zależności od żydów, u których byli w niewoli i założyła „Spółkę kowalską”.

Wytwórczość „Spółki kowalskiej” w Sułkowlcach\*) jest dość niezwykłą, jest to przetwarzanie w warsztatach szkoły kowali i w warsztatach „Spółki kowalskiej”, oraz po licznych kuźniach prywatnych, rdzą zjedzonego, napozór bezużytecznego szmelcu, kupowanego p o niskiej cenie od zarządu kolei w postaci szyn, kotłów i innych części żelazniwa kolejowego taboru, na drobne narzędzia, przedewszystkiem przez włościan używane.

Mój przewodnik majster - nauczyciel, wyznaczony mi do oprowadzania przez uprzejmego dyrektora Rusina, a będący na tem stano-

---

\*) Jest to stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką, istnieje od r. 1908.

wisku od lat 20, z dumą oprowadza mnie, pokazując majątek włościańskiej spółki. Przedstawia się on bardzo zasobnie.

Pokazuje mi szopy i podwórza zawałone stosami starego, podziurawionego żelastwa, objaśniając, że do użytku kolei używane jest żelazo w przednim gatunku, i że nawet ten szmelc swoją wartość gatunkową posiada w dużym stopniu. Metodą pogładową jest mi okazywane, ile to setek guldenów zarobili tutejsi woźnice, drobni rolnicy i kowale na zwózce, nawet niewielkiej ilości tego żelaziwa i na odstawie do kolei towaru, wyprodukowanego przez Spółkę.

Pytam się, czy w warsztatach „Spółki” mają stały zarobek miejscowi kowale. Odpowiadają mi, że tak. — „U nas ludzie gruntu mają mało, bo nasza wieś ma prawie same karłowe gospodarstwa, ale biedy i tak u nas niema teraz, bo tydzień roboty w kuźni przyniesie takiemu więcej dochodu, niż morga ziemi przez pół roku.

Pracując w kuźni „Spółki”, lub swojej własnej, albo furmaniąc przy dostawach i odstawach do kolei, może zarobić tygodniowo 18 koron, a morga ziemi, przez cały rok, da gospodarzowi naszemu zaledwie 30 koron dochodu.

To pani wytłómaczy, dlaczego u nas chłop innego zarobku się chwytą, a na babę i dzieci obróbkę ziemi zwala.”

Zapotrzebowanie duże na furmanki, odwożące gotowy towar do stacji kolei i przywożące materiał surowy i części pomocnicze do wytwórczości potrzebne, oraz na węgiel, rozwinęły ogromnie w Sułkowicach ruch furmański, co wpłynęło na zaprowadzenie tam do brych koni.

Nie podniosło to jednak hodowli miejscowej, bo tutejsi włościanie ani umiejętności, ani zamięłowania w tym kierunku nie mają. Chcąc

nabyć dobrego konia do furmańskiego procederu, bardzo tutaj w tej uprzemysłowionej wsi popłatnego, jeżdżą do znanych w Galicyi hodowców koni — włościan, w powiecie wielickim, i tam kupują konie piękne, silnie zbudowane.

Trzeba przyznać, że, kupiwszy dorosłego konia, dbają jednak o dobre utrzymanie go, czyszczą i stroją go w chomonta, bardzo suto nabijane mosiądzem.

Takie to objaśnienia o miejscowych ludziach i rzeczach, uzupełniających naocznie moje spostrzeżenia, udziela mi gruntowny znawca stosunków miejscowych, ów majster - nauczyciel, który mnie oprowadza.

Po drodze w tej wędrowce zagarniamy i dziarskiego, o młodej jeszcze twarzy, a siwych włosach, z pękiem kluczy pana magazyniera, który z humorem i rzetelną werwą pokazuje mi bogactwa, wyrobione przez tutejszych majstrów z tego niepozornego, zardzewiałego żelaza.

Tu dopiero w sposób pogładowy widzę, co przy pomocy wielkiego dobroczyńcy ludzi — ognia — i pracy rąk, a pod kierunkiem fachowym ludzi praktycznych, można wyrobić dla pożytku drobnych gospodarzy z odpadków żelaza.

Migają mi przed zdumionemi oczyma całe szeregi korytarzy w dużych składach, w których na dwie strony rozmieszczone są komory, a w nich na półkach lub w przegrodach leżą porządnie poukładane widły, i zęby do bron, luśnie, łańcuchy do spinania i hamowania wozów, zawiązki, haki, klamki, skoble, wrzeciądze, hufnale, podkowy w 10-u chyba odmianach, używanych przez lud galicyjski w różnych okolicach kraju. — Nie brak też obcęgow, młotków itd. itd.

A że to w kraju, bogatym w kopaliny różne, znajduje się owa „Spółka”, więc jęła się i wyrobów i narzędzi żelaznych, używanych przez górników.

Oglądam okucia do kilofów, oraz nieznanne mi wielkie gwoździe, zwane „pieskami” i w rzeczywistości podobne do rysunku głowy psa, jakie rysują male dzieci po ochronkach.

Idą te gwoździe, „pieskami”, zwane, z onej wiejskiej „Kowalskiej spółki” całymi wagonami do spajania szyn w kopalniach węgla i soli, do kolejek wążkotorowych i t. p.

Nie zapomniano też i o narzędziach dla straży ogniowych, tak licznych w Galicyi: są tu dla nich: łopatki do ognia, haczyki, osęki, toporki strażackie, jednym słowem, cały ich rynsztunek bojowy, do walki ze strasznym żywiołem niezbędnym.

Jedne po drugich, jak w bajce, otwierają się drzwi komór i stopy narzędzi drobnych, użytecznych dla małych gospodarstw, a w części i dla górników, piętrzą się przed memi oczami.

Wszędzie porządek wzorowy, a magazynier urasta mi do postaci czarodzieja, bo, nim otworzy drzwi, wywołuje nazwę tego działu produkcji, jaka się za nim kryje.

Wyrażam szczerą podziw dla wielkiego ładu, panującego w składach, i dla pamięci pana magazyniera.

„Ja o 12 w nocy, ze snu zbudzony, muszę wiedzieć, co i w jakiej ilości, w której komorze leży. A gdyby pani mnie zobaczyła, jak mam 100 kowalów w ciągu 2 godzin wydać żelazo i węgiel i przyjąć od nich robotę, albo transport duży wysłać na kolej, ej! toby pani wtedy dopiero zobaczyła, jakiego to ruchu człek nabiera, ale od tego wszystkiego, to mi i łeb przed czasem posiwał”.

— Za tę przedwczesną siwiznę ma do naszej „Spółki kowalskiej” największy, choć skryty, żal,” objaśnia mnie p. profesor na stronie.

Oględziny skończone.

Dziękuję za ten pokaz p. magazynierowi, a majstra-nauczyciela pytam jeszcze.

— „Czy nie mogłabym dostać sprawozdania z działalności Spółki za ostatni rok?”

— „A i owszem, zaprowadzę panią do kantoru, dyrektor polecił nam udzielić pani wszelkich informacji.”

Wchodzimy do biura, młodzi urzędnicy z całą powagą udzielają mi objaśnień i dają drukowane sprawozdanie.

Pytam ich, jak żyli kowale sułkowieccy przed zorganizowaniem „Spółki”.

— „A no był tu raj dla żydów, trudniących się handlem żelaznym. Oni tu byli jedynymi panami położenia, oni jedni dawali tutajszym kowalom zarobek. Działo się to w ten sposób. Przedsiębiorcy żydzi dostarczali tutajszym kowalom materiału, węgla, narzędzi a potem nabywali od nich wyprodukowany towar, płacąc za niego niskie ceny i to nie wszystko pieniędzmi, jak to obecnie robi „Spółka”, ale w części kwitami, które się realizowały w miejscowych sklepikach towarem, wybranym przez kowali.

Oczywiście żydzi oszukiwali ich haniebnie, pozatem nękali lichwą, a sami bogacili się szybko i domy wielkie murowane sobie tutaj stawiali.

A że liczne karczmy też nie próżnowały, więc w tych warunkach życie sułkowieckich kowali-rolników drobnych nie było godne zażdrości, oczywiście pieniędzy brakło im często, przednówki zaczynały się dla wielu z nich zaraz po żniwach, ale wtedy z pomocą spieszył im oczywiście za wysoki procent usługny żyd-

lichwiarz, no i rzeczy tak stały, że w chwili założenia tutaj „Szkoły kowali” przez Wydział krajowy, tutejsi kowale ubożeli, zadłużali się, rozpijali z rozpaczy i marnieli.

Z czasem za wpływem „Szkoły kowalskiej” powstała kasa, urwały się więc znacznie dochody lichwiarzy; teraz znów „Spółka kowalska” odbiera im tych, którzy na nich dotąd w pocie czoła pracowali.

Ale siła nawyku choćby najgorszego i oczywiście zgubnego jest wielka, to też pomimo paroletnich usiłowań, nie udało się dotąd „Spółce” zjednoczyć wszystkich sulkowickich majstrów, i część ich pracuje jeszcze po staremu u żyda i na żyda. W każdym razie w czasie paroletniego istnienia naszej „Spółki” usunęliśmy 4 żydów, a jeszcze mamy 3 do pokonania.

Przedsiębiorstwo nasze przedstawia się już dość poważnie, udziały w r. 1913 wyniosły sumę 58.361 koron.”

— „A ile wyniosła produkcja roczna w tym roku sprawozdawczym?”

— „316.771 koron” — brzmiała odpowiedź.

— „Ile materiału żelaznego przerobiliście w tym czasie?”

— „96 wagonów.”

— „A jaki jest obecnie moralny poziom tutejszych mieszkańców?”

— „O, nie świetny jeszcze, ale w porównaniu z tem, co tu było dawniej, jak niebo do ziemi.

Toż tu się roilo od nożowców i kandydatów na kryminalistów.

Teraz jest już znacznie lepiej, budzi się zrozumienie rzetelnej uczciwości i poszanowanie dla lepszej opinii w gromadzkiej społeczności.

W Sulkowicach jest duża emigracja na „Saksy” i do Ameryki, są chaty takie, z któ-

rych i po dwoje wychodzi do obcych po pracę i zarobek. Tacy po sezonie, spędzonym na „Saksach”, przynoszą 100 guldenów (1 g. = 80 kop.) zarobku, a z Ameryki znaczne nawet pieniądze przysyłają niektórzy.

Porządniejsze zabudowania zaczęli tu budować ci, którzy z obczyzny wracali.

Zaczęli oni popierać ogniotrwałe budownictwo, domy stawiali o większych oknach z lufcikami, budowali je wyższe, z podłogami, kobiecy ich, napatrzywszy się w świecie lepszego porządku, utrzymywały obejście domowe w większym ładzie. Z racyi tych wypraw do Ameryki było w Sułkowicach niezwykle zdarzenie, pięknie świadczące o przywiązaniu do rodzinnej wioski jednego z jej synów.

Było to tak:

Pewien syn gospodarski koniecznie chciał być księdzem, a że nauki potrzebnej do tego nie miał, a w latach już był, więc długi czas w Krakowie na Wawelu przy katedrze jeno siedział i różne posługi czynił.

Ale, że to wytrwały chłop był, to ciągle się jeno oto starał, aby go na księdza wyświęcono, no i wreszcie biskup krakowski, widząc jego gorącą chęć i żarliwą pobożność, polecił go na księdza wyświęcić i wkrótce potem do polskich emigrantów do Ameryki go wysłał.

Tam żył on ksiądz lat kilkanaście, a jak umarł, to się okazało, że o swojej wsi rodzinnej pamiętał, choć i z oddalenia, bo cały zebrany majątek, 60 tys. koron\*) wynoszący, zapisał w testamencie Sułkowicom, na budowę nowego kościoła.

Kościół mieli Sułkowiczanie niedługo zacząć budować, a przyda im się on bardzo, bo

---

\*) Korona na pieniądze rosyjskie znaczyła przed wojną około 40 kop

ten, który tam jest, mały i bardzo zniszczony. Śnać zachęceni ofiarnością owego księdza, uchwalili też oni pobudowanie „Domu Ludowego”, aby mieć dobre pomieszczenie dla kasy Raiffeisena, kółka rolniczego, sklepu Kółka, czytelni i t. p.

— „Czy macie już na to pieniądze?” — pytam.

— „A uskladało się 40.000 tys. koron i budowę niedługo zaczniemy. Potrzebny nam bardzo taki Dom wspólny, nietylko na pomieszczenie naszych wiejskich instytucji, ale chodzi nam bardzo o dużą salę na zebrania, odczyty, teatry, które u nas jest komu grać, boć mamy na miejscu dużo nauczycieli i dużo młodzieży ze szkoły kowalskiej,” — opowiada mi jeden z gospodarzy tutejszych. — Sulkowice posiadają też dużą wiejską szkołę, mieszczącą się w okazałym piętrowym gmachu.

Podchodzę do tej uczelni w chwili, gdy dyrektor szkoły zamyka ją właśnie po skończonych zajęciach. Przedstawiam mu się, okazuję swoje listy polecające, by mu wyjaśniły z kim ma do czynienia, a p. nauczyciel choć, jak powiada, pilną robotę ma w polu, zostaje chwilę, by mi pokazać budynek szkolny. Jest to gmach duży, bo ta wiejska szkoła ma 600 uczniów.

Skład nauczycieli z księdzem i dyrektorem tworzy 9 osób.

Klasy są duże, wysokie, widne, w miarę czyste. Siadamy na chwilę w kancelarii szkoły.

Ów nauczyciel - dyrektor, jak się okazuje pracuje również w zarządzie kasy Raiffeisena; ta się dobrze tutaj sprawia, ma blisko 1 milion koron obrotu rocznie, lichwę przegnała ze wsi i dużo ludzi z biedy wyciągnęła, a innych uczy, jak mają w sposób mądry i twórczy posługiwać się kredytem tanim i dogodnym. Pan nau-

czyciel jest też w czytelnianym zarządzie i w Kółku rolniczym.

Członkowie Kółka postanowili założyć u siebie mleczarnię spółkową, ale że chcą, by swojego człowieka mieć za mleczarza, więc świeżo wysiali właśnie chłopca ze wsi swojej na naukę mleczarstwa do Rzeszowa.

Pytam się o warunki pracy.

Zdaniem pana nauczyciela są one trudne tutaj.

Lud tutejszy ma być nieufny, zbyt do grosza przywiązany, brak mu jakoby ruchliwości w kierunku społecznej pracy.

Jest to dziwne, bo tradycje oświatowe są w tej wsi — stare: szkoła np. istnieje w Sulkowicach od lat 100.

Lud tutejszy mówi odrębną gwarą, ciekawą dla badaczy, to też niedawno sposób, w jaki Sulkowiczanie posługują się mową, badał skrętnie jeden ze znawców tego działu nauki, profesor Magiera z Krakowa.

Chętnie o tutejszych stosunkach pogawędziłabym jeszcze dłużej z p. nauczycielem, ale spostrzegam, że jemu się do obredlania ziemniaków śpieszy, więc podprowadzam go tylko kawałek drogi w stronę jego mieszkania i pytam mimochodem, czy nie będzie jutro w Myślenicach na uroczystości zamknięcia kursów w szkole gospodarczej. Odpowiada mi na to dość uszczypliwie, że jak kto ma rodzinę i 100 koron miesięcznie, to sobie na podróże pozwalać nie może.

Słucham tych wywodów cierpliwie, ale swoją drogą trwam przy swoim, że wyprawa, wynosząca jakieś 8 wiorst do powiatowego miasteczka, nie jest połączona z kosztami, bo przecież człowiek młody, zdrowo wyglądający, a tak się przedstawiał ów nauczyciel — może ją śpiewający odbyć pieszo.

Przychodzi mi na myśl przez porównanie, że u nas w Królestwie na te święta ludowe; po szkołach gospodarczych urządzone, przybywają nieraz nauczyciele ludowi po strasznych wyboistych drogach z miejscowości oddalonych o 5 mile w trzaskający mróz, — sama szłam z nimi kiedyś na taką uroczystość i nikt sobie nie krzywdował.

Przychodzi mi to na pamięć, to też szczerze mnie bawi błysk wielkiego zdumienia w oczach p. dyrektora, wywołany mojem powiedzeniem, że tak jak mnie widzi, idę oto prosto z Sułkowic na jutrzejszą uroczystość do Myślenic — pieszo.

Próbuje mnie zastraszyć, ale go zbywam żartem, idę dalej, bacznie rozglądając się po tej niezwykłej wsi.

Przypomina mi ona wsie lubelskie, w jarach zbudowane; przyglądam się maleńkim, z okrągłaków skleconym kuźniom, arcyprywatnie urządzonym wewnątrz, a stanowiącym część składową każdej zagrody chłopskiej.

Od tych maleńkich warsztatów kowalskich dolatuje mnie wesóły stuk młotów

Zaglądam do jednej z tych maleńkich kuźni — gadam z ludźmi — słyszę odpowiedzi wcale do rzeczy — ludziom z oczu nieźle patrzy.

— Ejże — myślę sobie, — czy aby do tych ludzi umięją się brać ich oświeciciele. Wyglądają na rezolutów, z którymi cudów dokazaćby można, gdyby ich umieć zażyć.

Idę dalej, znów niezwykły widok: widzę nowiutki, żywiczną wonią pachnące chaty, gotowe do zabrania z przed domu, w którym mieszka wiejski cieśla.

Wiem z dziejów, że to stary, jeszcze czasów Kazimierza Wielkiego sięgający, przemysł

ludności Podgórze. Były tu ongiś całe wsie, trudniące się wyrobem chat, które potem roz-bierane, wodą splawiano w dalekie okolice ni-zinne. Widzę z radością, że ta umiejętność ciesielska nie zaginęła do szczętu.

Staję przed ładną, o mieszkaniu na dwie strony, nowiutką chatą w ogródku, sztachetka-mi ogrodzonym. Wycackana jest ta chata i po-nętna. Staję chwilę i patrzę na nią. Historię jej powstania opowiedział mi jeden ze starszych gospodarzy, a takiej opowieści nie usłyszała-bym jeszcze w opłotkach wsi w Królestwie, choćbym je zesła od chaty do chaty.

Historia tej ładnej chaty jest taka:

Pewien gospodarz, ożeniwszy się, mieszkał czas jakiś z matką staruszką dożywotniczką.

Zaczęły się spory między kobietami, jak zwykle, i zgoda psuć się zaczęła.

Nie chcąc dawać przykładu zgorszenia, syn matce osobny domek zbudował i żyje sta-ruszka w wygodzie i gospodynią się czuje na własnej zagrodzie.

---

## Wrażenia z kursów gospodarczych dla dziewcząt wiejskich.

Wyszędłszy z Sułkowic, dochodzę do szo-sy, idę nią rażnym krokiem. Szosa równiutka, idzie się doskonale; od czasu do czasu wysy-łam oczy ciekawe na zwiady w różne strony.

Pięknie tu, choć dopiero wiosna pąki roz-wija i zawilce po leśnych haszczach podnoszą białe główki. Wsie wielkie ciągną się z obu stron drogi nieprzerwanie...

Uderza w oczy straszne rozdrobnienie ziemi. Głód ziemi żre tu ludność, to też nie dziw, że idą stąd tłumnie do Ameryki i na „Saksy”. Widać zagrodników, wiozących nawóz taczkami w pole.

Uprawa odwieczna, w małe zagonki; wąskie pasemka pól ciągną się hen! — Szachownica nęka tu ludzi, a zcałać się nie chcą; podobno jednym z głównych powodów jest ten, że taki, którego grunta leżą blisko drogi, szosy, za nic ruszyć się z miejsca nie chce.

Ludzie w polu pracują, kończą siewy i ziemniaki sadzą, starym sposobem. Śpiewu nigdzie nie słyhać. A prawda, słyszałam go raz w ciągu dwugodzinnej drogi. Mijając jedną karcznię przydrożną, zobaczyłam jakiegoś człeka o twarzy owrzodzonej, zamiatającego pod-sienie.

Zdziwił go widać bardzo mój widok, bo miotłę z rąk wypuścił i wydał jakiś dziki zwierzęcy okrzyk.

W chwilę potem, gromadka młodych chłopaków ze śpiewem wysypała się z karczmy na drogę.

Widno, że było im wesoło i nogi im się plątały trochę. Zrobiło mi się niemiło, przyspieszyłam kroku.

Nie chcąc się z nimi zetknąć, skręciłam w bok i zatrzymałam się przy rodzinie chłopskiej, pracującej w polu, która właśnie podwieczorek spożywać miała. Sama na sobie doświadczyłam, że musi tu być istotnie duża nieufność do inteligencji, bo zachowywali się tak, jakby mnie nie widzieli, z tą wspaniałą, jedynie z arystokratyczną dającą się porównać, chłopską dezynwolturą.

Nie zważając na to, próbowałam zawiązać rozmowę z różnych beczek.

Wspomniałam o celu mojej wycieczki — wtedy ożywili się, dali mi dokładny adres ulicy i domu, gdzie te kursy się mieszczą. A że zbyt weseli, przygodni śpiewacy, z którymi wolałam się nie spotkać zblizka, skręcili w boczną drogę, poszłam dalej.

Tak wędrując, widziałam jeszcze parę ładnych nowych szkół, a obok nich duże sady, racjonalnie założone. Co zaś do sadownictwa u włościan tutejszych, to jest ono jeszcze w stanie oplakany, choć prawie wszędzie koło chat są już ogródki.

W czasie tej drogi miałam też taką przygodę. Idzie kobieta wiejska starsza, otoczona gromadką dzieci, jedno płacze, aż się zanosi. Słyszę, jak matka straszy je: „bo cię oddam tej pani, co hań tam idzie”.

Dzieciak oczywiście kryje się w fałdy spódnicy, krzycząc, ile ma sił.

Mijamy się, kobieta zwraca się do mnie:

— „Może go sobie pani weźmie”.

— „Żeby nie płakał, tobym go może i wzięła, ale z takim krzykaczem, cobym robiła?”

Zaczyna się gawęda, w rezultacie położenie polepsza się o tyle, że malec ciszej chlipie, a cała gromadka zostaje obdzielona resztą mego żywnościowego zapasu.

Widocznie turyści są tu jeszcze dziwem, bo gdzieś w chacie przydrożnej zamknięta dziatwa, przez okno na drogę wyglądająca, pokazuje mnie sobie palcami z wrzaskiem: pan pani!

Jest jeszcze zupełnie widno, gdy wchodzę do miasta powiatowego Myślenic.

Idę do kresu mej wycieczki na ulicę Reja do starego sądu, bo tam się mieszczą owe kursy gospodarcze dla włościanek.

Za chwilę jestem w staroświeckiej o grubych murach komnacie. Zastaję tam dwie ko-

biety o twarzach, ujmujących mądrym i dobrym wyrazem; porządkują rachunki i kończą dziennik szkolny.

Wymiana nazwisk, a wkrótce potem wzajemne szczere ucieszenie się sobie. Kobiety są zmęczone trudem przedsięwzięcia, pięknie doprowadzonego do końca, ale połączonego z niezwykłymi niewygodami. Jedna z nich starsza, o męskiej, energią tchnącej twarzy, p. Teresa Leszczyńska, wychowała drugą młodą p. Gawlikowską, kierowniczkę tutejszych kursów. Łączy te dwie kobiety przyjaźń, wyrosła na tle długiego współżycia i wzajemnego ukochania jednego ideału.

Ile razy widzę taki stosunek, łączący dwie kobiety, nabywam wiary w trwałość kobiecej przyjaźni, która, pięknie pojęta, może być wielkiem i twórczym uczuciem.

Kierowniczką jest bardzo zajęta, bo to jutro egzamin prowadzonego przez nią kursu, przygotowania do tej uroczystości są w pełnym biegu.

Przybycie moje napewno robi im trochę kłopotu ale z całą serdeczną gościnnością chcą dla mnie zmieniać porządek dnia i jakies nadprogramowe jadło zarządzić.

Oświadczam stanowczo, że znam porządek dnia w takim środowisku, głodna nie jestem i poczekam cierpliwie na kolację o zwykłej porze, proszę tylko o wodę, aby się z kurzu unyć i napomykam przezornie o noclegu.

— „Będzie pani spała w urzędzie powiatowym, jest tam duży pokój, zwykle zajmowany przez powiatowego instruktora rolniczego, który nam dla naszych gości ustąpiono.”

A więc, rzecz załatwiona, mam dach nad głową i dobrych, dzielnych ludzi koło siebie.

Wodę wnoszą mi dziewczęta do klasy. Ma ona ławki szkolne i tablice po ścianach

widzę rozwieszane, do drzwi dobrane dydaktyczne napisy, dużo zieleni, obrazów, wstążek z kolorowego papieru, ale, mimo usiłowania nadania środowisku temu przytulnej cechy, wygląd sali jest ponury.

Dziewczęta kończą ostatnie przygotowania: porządkują notatki, dopisują coś w zeszytach, naradzają się między sobą, a jedna z nich w czysty papier okłada zeszyty koleżanek.

Myję się wśród tej gwarnej gromadki dorodnych dziewcząt, rozmaicie ubranych, zespolonych jeno chusteczkami czerwonej barwy.

Wchodzi p. Leszczyńska, wydaje różne rozporządzenia tonem stanowczym.

Zwraca się i do mnie.

— „Może pani chce przejrzeć kajety z notatkami uczenic.”

Przeoglądam różne ćwiczenia, wzory listów rodzinnych, handlowych, z podaniami lub zawiadomieniem do władz, uderza mnie celowość i praktyczność ćwiczeń.

Podają mi stos kajetów od rysunków.

— Co to? A to znów cały kurs kroju z patronami, starannie odrysowanymi.

I to mnie dziwi.

— „Kiedyż panie miały czas te dziewczęta nauczyć tego wszystkiego?”

— „A miałyśmy 10 tygodni, przecież i to kawałek czasu, starałyśmy się go wykorzystać.”

Dziewczęta rozchodzą się do zajęć wieczornych, wracam więc do pokoju, który jest kancelaryą i siadam przy biurku, przy którym pracuje p. Leszczyńska. Odkłada pióro i powiada.

— „Robię sobie na chwilę święto, chciałym się dowiedzieć, w jakim celu zwiedza pani Galicyę.” Odpowiadam.

Słucha, potem czyni uwagę.

— „A więc czeka panią cały rok poniewierki, rok zawodów, radości, smutków! Niech się pani pilnuje, aby nie zmarnowała zdrowia. To tak łatwo w podobnych warunkach.

Ja też przez 2 lata ostatnie podróżowałam w takim forsownem tempie po ziemiach całej Polski.

No i widzi pani, od kilku miesięcy nic mi robić nie wolno. Byłam czas dłuższy w Zakopanem, prowadziłam kurację, teraz jeszcze forsowne odżywianie prowadzę, do żadnej roboty na seryo doktor brać mi się nie pozwala. A rwałam się do wszystkiego tak, jak i pani... Mam za sobą lata długich wysiłków i tyle jeszcze chciałabym zrobić, a tu sił brak.”

W mądrych, głęboko patrzących oczach odbija się ból tak wielki, że aż trudny do zapomnienia.

— „No ja się tak nie zapracowywam znowu...” — mówię tonem usprawiedliwienia.

Patrzy mi chwilę badawczo w oczy i mówi serdecznie:

— „Niech pani pamięta i zdrowie szanuje, nie dla siebie, ale dla tej sprawy, którą najwięcej miłuję.”

Po takim odskoku osobistej natury, zwracamy i zaczynamy gawędzić o szkolnictwie ludowem, gospodarczem w Galicyi.

Pytam się o szkoły tego typu, słyszę parę nazw i krótkie, a treściwe objaśnienia.

Dowiaduję się, jak powstało seminaryum dla nauczycielek takich szkół w Snopkowie. Okazuje się, że inicjatorką i właściwą twórczynią tej placówki była p. Leszczyńska, która jako kierowniczką szkół gospodarczych w Białym-Kamieniu, a potem w Pietrzychach zbierała komplety nauczycielek ludowych i uczyła je ego, co umieć musi nauczycielka szkoły gospodarczej ludowej.

To przyniosło dobre wyniki. Z takich kompletów wyszło parę dobrych sił do kierowania szkołami tego typu.

Dalszym etapem było seminaryum w Snopkowie, którego wprowadzenie w życie jest główną zasługą p. Leszczyńskiej. Osobiste nieporozumienia uniemożliwiły pobyt w Snopkowie jego organizatorce i duchowej jej córce p. Gawlikowskiej.

— „My obie chcemy razem pracować, bo się dobrze dopełniamy. Może znajdzie się dla nas odpowiednia praca w Królestwie. \*) Choć wątpię, tam się nas pewno będą bali, — a to głównie z tego powodu, że w zakresie pojmowania zadań szkoły gospodarczej między nami, a kierowniczkami szkół gospodarczych w Królestwie, jest duża różnica.”

— „Może mnie pani objaśni, na czym ona polega”.

— „Widzi pani — my w szkole gospodarczej chcemy uczyć przedewszystkiem tego, co jest niezbędnie potrzebne dla kobiety jako gospodyni i matki.

Opieramy wychowanie na gruncie chrześcijańskim, w tym duchu kształcimy charakter.

Królestwo robi ze szkół tego typu w pewnym zakresie i odłamie tych szkół — uniwersytet ludowy. Chcąc nauczyć w krótkim czasie za dużo — uczy wadliwie i powierzchownie.

U nas mają dużą rację bytu kursy krótkie, bo wtedy dziewczyna wraca do domu na wieś, po dłuższych kursach zdobywa już tyle wiedzy, że pragnie ją zużytkować na innem stanowisku i nieraz wykoleja się... Zresztą zobaczy pani jutro, podczas egzaminu, czego my uczymy, choć sprawdzianem tej nauki będzie dopiero życie.”

\*) Taka praca znalazła się: obie te działaczki pracują razem w szkole gospodarczej w Żyżynie w Siedleckiem.

Proszę o pokazanie mi szkolnego budynku.

— „Pomieszczeniem tych kursów nie będzie pani zbudowaną, bo trudno wymyśleć mniej odpowiednie i bardziej niehygieniczne: dano nam przecież na ten cel dawne więzienie.”

— „Czyż podobna? Jakżeż to być może?”

Uśmiecha się dyskretnie i odpowiada:

— „Galicya jest krajem wszelkich możliwości.”

Jakoż dowiaduję się, że Zarząd Kursów dla 27 dziewcząt wiejskich, organizowanych przez Tow. Rolnicze okręgowe, koło pań wiejskich, przy pomocy tych czynników plus Wydział krajowy i Rada powiatowa, uznał za zupełnie odpowiednie pomieszczenie dla tego typu uczelni ruderę więzienną, zżartą przez grzyb, wilgoć, pełną cuchnących wyziewów, nie dających się usunąć.

Pozatem, organizując kurs i robiąc dość kosztowne przeróbki gospodarcze, nie uznano za właściwe porozumieć się uprzednio z kierowniczką kursów i rozmieszczenie kuchni, jadalni, sypialni rozplanowano w sposób, nie przynoszący dobrego świadectwa praktycznemu zmysłowi organizatorów.

Zwiedzając to niezwykle pomieszczenie uczelni ludowej, zdawało mi się, że śnię jakiś przykry, do zmory gniotącej podobny sen! Długie więzienne korytarze, zimne ponure celki, zakratowane, użyte na gospodarskie schowanka; przejścia do klas, do jadalni, oddalone, niektóre przez podwórze prowadzące; wreszcie rozrzucenie tego całego aparatu na wielkich przestrzeniach ponurego, wilgocią tchnącego gmachu — dziwne się wydaje.

Grób pobielony! Młoda kobieca energia i pomysłowość starała się zwalczać to wrażenie, za pomocą wody, szczotki, mydła, wapna,

zieleni i wstążek z barwnej bibuły, ale było to strojenie trupa, tem tragiczniejsze robiące wrażenie.

— „Niech pani sobie wyobrazi, w jakim stanie oziębienia zimą przychodziło na stół jądro, przyniesione z tak daleko położonej kuchni” — robi uwagę moja przewodniczka, prowadząc mnie z jadalni do kuchni wązkim korytarzem więziennym.

— „A jeszcze było gorzej na początku. Urządzono nam sypialnię na dole, gdzie jest grzyb i wilgoć taka, że w nocy bieliznę miałyśmy tak mokrą, że można ją było wyżąć. Dopiero przeniosłam sypialnię do górnej sali, która stała pustką, tam było już suszej, słoneczniej” — opowiada p. Gawlikowska.

— „A gdzie panie miały gospodarstwo kobiece do praktyki?”

— „Musiałyśmy chodzić do miejscowego burmistrza praktykować na jego gospodarstwie mleczarstwo, dojenie krów, oprzątanie i zadawanie paszy krowom, świniom i kurom.”

— „To było niewygodne.”

— „No, wygody tośmy tutaj nie użyły, to tylko całe szczęście, że komplet był do nauki chętny i bardzo nam się dobrze żyło razem. Niech pani weźmie pod uwagę jeden fakt, który zdarzył się pod koniec kursu. Oto dziewczęta nasze tak pragnęły się uczyć, że prosiły w specjalnem podaniu organizatorów, aby się mogły jeszcze przez miesiąc uczyć dalej.

My, to jest cały personel nauczycielski, chętnie godziliśmy się na taki projekt; zapasów żywności mieliśmy na dwa tygodnie jeszcze. Chodziło tylko o gażę dla personelu.

Tej nie przyznano i kurs kończy się w oznaczonym z góry terminie.”

Dowiaduję się, że siły nauczycielskie po takich szkołach w Galicyi są dosyć dobrze

wynagradzane. Nauczycielki biorą miesięcznie po 100 koron, kierowniczką 150.

Zespół sił nauczycielskich jest zwykle dostateczny, przepracowanie nie grozi.

— „Tu w Galicyi—mówią mi—nie wymagają już od nauczycielki szkoły gospodarczej, by pracowała za pół darmo i nad siły i jadła wstrętne jadlo, do którego jej organizm nie jest przyzwyczajony, bo tak naogół w waszych szkołach tego rodzaju kuchnia jest bardzo licha, a u nas zupełnie znośna.”

Prawdziwość ostatniego zwłaszcza twierdzenia sprawdzam w praktyce sama, zając się wkrótce potem smaczną kolacją, jaką nam podano przy osobnym stoliku, czystym obrusem nakrytym, uczennice siedziały przy osobnym stole i jadły co innego. Jest to odmienny zwyczaj, niż w szkołach w Królestwie.

Wcześniej się rozchodzimy na spoczynek, bo—prócz mnie—wszyscy są tu bardzo pomęczeni przygotowaniami do jutrzejszej uroczystości, a nazajutrz ranne wstanie ich czeka.

Ale i ja, mimo, że mam pomieszczenie arcywygodne, budzę się o g. 6½ i idę do myślenickiej uczelni dla dziewcząt wiejskich.

Naturalnie tam już dawno wszyscy wstali i pracują w najlepsze.

Prowadzą mnie do dużej sali, gdzie z jednej strony na stole i wieszakach, przeciągniętych skośnie w powietrzu, na ramiączkach z drucików widzę rozwieszona bluzki, suknie proste, niewymyślne, bieliznę porządnie uszytą, poznaconą, wypraną dobrze i porządnie poprasowaną; są też też fartuchy i ubranka dziecięce, a tyle tego, że u nas w Królestwie i po rocznym kursie takiej ilości robót z zakresu krawiectwa i bieliznierstwa nie zobaczy. Tylko robótek szydelkowych, haftów i mereszek, tyle czasu

zabierających naszym wychowankom w niektórych szkołach, tutaj niema zupełnie.

Naprzeciw grupy, przedstawiającej roboty dziewcząt, widać stół wielkanocny, zastawiony jadłem; z zadowoleniem spostrzegam, że niema i tu rzeczy zbytkownych. Rozpatrzywszy się w biegu przygotowań, ofiaruję swoje usługi do przybrania sali z pokazami, przyjmując moją propozycję bardzo chętnie. Dostaję stos zielonej jedliny, pęki gałązek, borówek i barwinku, szpilki i białą bibułkę.

Robota miła i wdzięczna idzie mi szybko. Robię to dość wprawnie, bo nieraz w ten sposób pomagałam organizatorom takich uroczystości w Królestwie.

To ukończywszy, idę nakrywać do stołu, potem na chwilę zachodzę do kościoła. Spóźniłam się, bo ksiądz już „Pater” mówi—dziewczęta na chórze śpiewają dźwięcznie patryotyczno-religijne pieśni.

Wracamy z kościoła gromadą dużą, bo na nabożeństwo zeszli się rodzice i krewni uczenic, przybyli też dygnitarze, występujący tutaj z urzędu.

Przybył już i pan marszałek powiatu, miejscowy ziemianin, i ten mnie żywo rozpytuje o podobne szkoły w Królestwie, cechy ich wspólne i różnice; jest i inspektor szkół rolniczych na całą Galicyę, wychowaniec Dublan \*), na którego zaginam parol, co mi się udaje, bo siedzimy razem przy stole podczas obiadu i dużo rozmawiamy, o ile pozwala na to miłe sąsiedztwo z drugiej strony, które przedstawia dzielna i ruchliwa ziemianka p. Szmydtowa z Krzywaczki, a z tą osobą jeszcze w Krakowie polecono mi poznać się na myślenickiej uroczystości.

---

\*) Wyższa szkoła rolnicza w Galicyi pod Lwówem.

Od niej dowiaduję się, że ziemianki w Galicyi dopiero w ostatnich czasach za pośrednictwem Kółek rolniczych lub organizacji religijnych, takich np. jak Matki-Chrześcijańskie, próbują zbliżyć się do kobiet wiejskich i — organizować je w celu podniesienia kultury i dobrobytu rodzin wiejskich, ale to praca dopiero w początkach i takich kółek wiejskich gospodyń jest jeszcze w Galicyi bardzo mało. Z dalszej rozmowy okazuje się, że p. Szymdtowa ma u siebie dobrze postawione gospodarstwo kobiece; idzie w kierunku dużej hodowli kur zielononózek, ostatni np. transport na sprzedaż wynosił 10 kóp takich zarodowych jaj. Rozkupują je głównie włościanki.

Stara się też pani S. wyzyskać ogród w kierunku hodowli drobnych owoców, jak maliny, truskawki, poziomki. Ponieważ te owoce hoduje na wielką skalę, więc i kwestya wyzyskania miejscowych sił roboczych dla wysyłek delikatnego owocu nie była dla niej obojętną. W tym celu dziedziczka, mająca uprzemysłowione gospodarstwo, na swój koszt wysłała dwóch chłopców na Morawy do szkoły koszykarskiej. — Jeden z nich został tam jednak i dziś jest kierownikiem szkoły koszykarskiej, drugi wrócił i całą wieś nauczył robić koszyki różnego kształtu.

Pani S. przywiozła na szkolną uroczystość dla kierowniczek kilkadziesiąt bukietów fiołeków, wspaniałej odmiany, o wielkich płatkach i mocnym fioletowym kolorze, i drugą odmianę niezwykle piękną purpurowego koloru, nazwaną przez nią „kardynałami”. To wiosenne kwiecie oddano mi do przybrania stołu w sali jadalnej, a przywiezione ono było w koszyczku, nasładowującym pudełko rozkładane — podłużne.

Przy obiedzie dowiaduję się, że takie delikatne owoce, jak maliny, truskawki i poziom-

ki, są nakładane w takie właśnie koszyczki określonej wielkości, których znowu pewna ilość mieści się w dużym, bardzo solidnie zrobionym koszu. Takich koszyków dużo potrzeba w czasie sezonu owocowego, ludność męska na wsi w Krzywaczce wyrabia ten rodzaj koszyków wieczorami przez całą zimę, mają z tego niezły zarobek, a miejscowa dziedziczka ma lekkie i racjonalne opakowanie dla drobnych owoców i kwiatów.

Tak, bo i kwiaty są dużemi partjami wysyłane z tego uprzemysłowionego dworu do Krakowa.

— „Dzisiejszy transport fiolków do Krakowa wynosił np. 1000 wiązanek”, — objaśnia mnie p. Szmydtowa.

Sadzą je tam między drzewami owocowymi starszemi, gdzie już nic innego by nie rośło.

Ze stosunków rolnych, niezwykle u nas pogmatwanych, dowiaduję się od p. S., że choć z Galicyi setki tysięcy ludzi emigruje do Ameryki i na „Saksy”, państwo S. z powiatu myślenickiego sprowadzają na sezon robotników rolników z Królestwa, z ziemi Kieleckiej.

Podczas tych rozmów gromadzą się ludzie w wielkiej sali szkolnej.

Przy stole, założonym książkami na nagrody, zeszytami dziewcząt, świadectwami dla nich, zasiadają pan marszałek, inspektor szkolny, ksiądz prefekt, jakiś pan z powiatu, burmistrz i t. p.

Proszą najpierw księdza o przeegzaminowanie dziewcząt z religii.

Uczennice z wypiekami na twarzach siedzą w ławkach szkolnych.

Ksiądz egzaminuje bardzo umiejętnie.

Robi z religii wykład o moralności praktycznej, bierze przykłady z życia ludu, stawia wobec tych zagadnień dziewczęta i pyta: — A co

byś zrobiła w takim wypadku?, a jak postąpiłabyś w takim razie?

Zainteresowanie obecnych rośnie, bo dziewczęta odpowiadają przytomnie na umiejętności i jasno postawione pytania.

Potem przez instruktora rolniczego są pytane o urządzenie gnojowni i studni.

Z kolei weterynarz zapytuje je, po jakich oznakach należy poznawać choroby u bydła i jak sobie na nie radzić w pierwszych chwilach, w końcu fizyk \*) miejscowy pyta o wiadomości z anatomii i higieny.

Bardzo interesująco wypada egzamin dziewcząt z gotowania i pieczenia chleba.

Uczennice umiały objaśnić doskonale zawartość składników różnych środków odżywczych, opowiedzieć, co i w jakiej ilości potrzebne jest naszemu organizmowi, potrafiły zestawić parę obiadów tak postnych, jak i mięsnych, któreby warunkom racjonalnego odżywiania odpowiadały, a nie były zbyt wymyślne dla mało zasobnej i dość ubogiej szpizarni gospodarstwa włościańskiego.

Doskonale też wypadł egzamin z umiejętności pieczenia chleba, były tam podane i środki zaradcze w latach, kiedy o mąkę niezrośniętą trudno, i trzeba sobie radzić, aby, mimo to, chleb dobrze się udał.

Egzamin wypadł wprost świetnie, wiele pań z pośród ziemianek i inteligencji miejskiej, siedzących blisko mnie, szeptało z odcieniem żalu:

— Nas tego nie uczono.

— Co za szkoda, a jakby nam się przydała nieraz taka praktyczna znajomość chemii, zastosowana do gospodarstwa.

---

\*) Doktor powiatowy

A ja sobie robię na boku uwagę, że z temi dziewczętami wejdzie na wieś posiew rzetelnej kultury, dobrobytu i lepszej, wyższej moralności.

Zaczynają się mowy. Niektóre z serca płynące, inne urzędowe i sztuczne. Z galicyjską pompatyczną swadą dziękują sobie po kolei wszyscy, że doprowadzili do skutku taki czyn obywatelski.

W końcu jedna z dziewcząt w krótkich, prostych, z serca płynących, słowach dziękuje organizatorom i tak kończy drżącym od wzruszenia głosem: „A teraz,—i tu głos się jej łamie od wzruszenia—to mi już słów brak, na podziękowanie pani kierownicze, która dla nas dobra była, jak matka, i zdrowie nam swoje oddała”. Nie było przesady w tych słowach, młoda kierowniczką, zagrożona poważną chorobą, krzątała się do ostatniej chwili i wszystkim kierowała składnie, a cicho i sprawnie.

Rozdano świadectwa i nagrody w książeczkach, była między nimi i broszura „Ogniwo”, wydana przez Ziemiarki z Królestwa. Dziewczęta, wywoływane po nazwisku, wstawały z ławek szkolnych i podchodziły do stołu komisji egzaminującej. Migwały więc twarze młode, wzruszone, oczy płonące mniej lub więcej rozbudzoną myślą, niektóre śliczne i bardzo wytworne w całej postaci w strojnych, pięknie nazywanych gorsetach.

Na zakończenie dziewczęta odśpiewały parę pieśni religijnych i patryotycznych.

Potem wszyscy przeszli do sali jadalnej, obok sali; mieszczącej pokaz robót uczennic.

W jednym pokoju, skromniej zastawionym, dziewczęta częstowały swych gości ze wsi. W drugim, przy stołach lepiej nakrytych, zasiadła inteligencja.

Wyglądało to inaczej, niż w Królestwie na takich uroczystościach, gdzie obowiązuje zupełne równouprawnienie.

W sali szkolnej po egzaminie zostały jeszcze nauczycielki i rozdawały dziewczętom takie nagrody, jak: jajka zarodowe zielononózek, szczepy drzewek owocowych, krzewów ozdobnych, naczyń kuchennych, miednice i t. p., każda uczenica otrzymała też po kilka książek z zakresu rolnictwa, organizacyi spółek. Rzućmy okiem na te hojne nagrody, nieprzyjemnie poruszona tym widokiem, wracam do sali jadalnej, i w rozmowie z panem marszałkiem powiatu mówię, co o tem myślę i to dość ostro:

— „Po co obdarzacie lud takimi hojnemi nagrodami? dlaczego nie uczycie ich tego, żeby naukę przedewszystkiem w takiej szkole cenili? Rozumiem rozdawanie książek, ale po co ten deszcz nagród pozatem?”

— „Więc pani uważa, że to zbytuczne, ale my właśnie w ten sposób zachęcać chcemy do nauki. Gdybyśmy to skasowali, prawie niktby nie przysłał nam dziecka.”

— „To dowodzi tylko, jak przyzwyczajono tutejszy lud do subwencyi i wszelkich darowizn. Należy zerwać z tym systemem wychowywania chłopca, napewno dobrych rezultatów on nie daje!”

.....

W podróży bywa czasem, jak na wojnie, jest się pod wozem i na wozie, tak było i ze mną. Na kursy do Myślenic przybyłam piechotą, wyjeżdżam z nich doskonałym samochodem marszałka powiatu, w towarzystwie inspektora szkół rolniczych.

Nie pomijam dobrej okazji, aby się od tego urzędnika dowiedzieć sporo szczegółów o szkolnictwie rolniczem średnim.

Udziela mi chętnie objaśnień. Ale mówimy i o różnych innych rzeczach.

Schodzimy i na zatarg polsko-ruski; zdaniem p. inspektora, który sam jest rodem z okolic o ludności mieszanej, kwestya rusińska to kwestya socyalna, a nie narodowościowa; nienawiści między ludem polskim, a ludem ruskim niema, jest w rzeczywistości jeno niechęć klasowa chłopu ruskiego do pana ze dworu, a że tym jest Polak najczęściej \*)...

Takie samo zdanie w kwestyi rusińsko-polskiej wypowiedział i uczony znawca Galicyi, prof. Bujak, w swej cenionej książce p. t. „Galicya”.

Pytam dalej o szkolnictwo ludowe, o seminarya.

W ostatnich czasach był tutaj taki zwrot znamieny: nauczyciele ludowi przerzucali się masowo na inne bardziej popłatne zawody, a natomiast kobiety zajmowały ich miejsce.

Ale jest tendencya rządowa, aby nie powiększać seminaryów żeńskich. — Kobiety, jako nauczycielki, są zawsze żywołem mniej pewnym na stałej służbie rządowej od mężczyzn.

Mój towarzysz podróży ożywia się i opowiada mi istne dziwy o niepraktyczności wiejskich nauczycielek ludowych.

Panu inspektorowi przypominają się miłe wrażenia z egzaminu dziewcząt wiejskich, z którego wracamy, i mówi:

— „Jakżeby się naszym ludowym nauczycielkom przydały te wiadomości praktyczne, które te dziewczęta na kursie myślenickim zdobyły.”

\*) Są powiaty w Galicyi, gdzie większa własność jest w dużej ilości w rękach żydów, np. powiat zaleszczycki ma 88 proc. żydów dziedziców.

— „Jedyna chyba na to rada zaprowadzić w seminaryach ludowych kurs gotowania najprostszych potraw i wogóle nadać im cechę praktyczną” odpowiadam.

— „Pewnie — pewnie, że toby się bardzo przydało.”

Samochód mknie szybko dobrą szosą.

— „Macie już tutaj sporo dobrych dróg,— robie uwagę — władze powiatowe więcej o nie u was teraz jakoś dbają.”

— „A tak, od jakiegoś czasu marszałkowie powiatowi współzawodniczą między sobą co do budowy i dobrego utrzymania dróg.”

Ale oto już Mogilniki, kominy fabryk i typowe przedmieście robotnicze. — Jesteśmy w Krakowie, samochód zwalnia.

Pan inspektor robi uwagę:— „Za mojej pamięci, jak studyowałem rolnictwo w Krakowie 10 lat temu, nie było tutaj ani jednego fabrycznego komina, teraz ich pełno, tylko smutno pomyśleć, że stworzyły je kapitały obce...”

— „A swoi?” — pytam.

— „Są zbyt ostrożni, boją się ryzykować kapitały w przedsiębiorstwach tego rodzaju.”

Żegnamy się, bo oto już dom, w którym chwilowo mam swoją kwaterę.

## Szkoły rolnicze.

### Suchodół.

Z Jodłownika udałam się do powiatowego miasta Krosna koleją, a stamtąd końmi do pobliskiej szkoły rolniczej w Suchodole.

Jadąc dobrą szosą z Krosna, oglądać można niezwykle staranną uprawę na włościańskich polach.

Nie śmiem tego wpływu przypisać szkole, ale swoją drogą na wszelki wypadek zapytuję dyrektora p. Neumana o to, czy szkoła stara się wywierać jaki wpływ na gospodarstwo drobne w okolicy.

Z odpowiedzi, jaką otrzymuję, nie trudno wywnioskować, że odkąd on tam jest, a datuje się to od lat 4-ch, w szkołę tę wstąpił jakby inny duch; przestała być uczelnią, wychowującą dobrych oficjalistów dworskich i urzędników, a stała się pośrednio uczelnią, wychowującą ludzi, mających dane na wiejskich działaczy kulturalnych.

Widziałam przy wiejskiej robocie paru uczniów tej szkoły i mieli pracy dużo, przeszkód do zwalczenia nie mało, a dawali sobie radę z ich usuwaniem doskonale.

Dyrektor należy do Zarządu powiatowego Kólek rolniczych okręgu Krośnieńskiego, i jako pracownik w Kólkach, a dyrektor średniej szkoły rolniczej, gorliwie pracuje nad podniesieniem kultury rolnej wśród włościan okolicznych, to też trudno nie przyznać, że szkoła ta, pod tym względem, w latach ostatnich robi więcej, niż niejedna stacya doświadczalna.

I tak:

Szkoła rolnicza męska w Suchodole urządziła łącznie z Kólkami rolniczemi 2 kursa zimowe dla włościan, trwające po 2 miesiące, od października do grudnia.

Szkoła udziela ludności rolniczej porad fachowych z zakresu rolnictwa, hodowli i weterynaryi; takich porad w roku ubiegłym dyrektor szkoły udzielił włościanom 906, nie licząc przygodnych udzielonych na rynku w Krośnie lub w drodze.

Dyrektor szkoły w Suchodole w ciągu roku wygłasza po kilkadziesiąt pogadanek rolniczych na różnych kursach i zebraniach Kólek. Szkoła ma do użytku sąsiadów-włościan siewnik, który też bywa wypożyczany i pod dozorem uczniów pracuje na chłopskich poletkach. Wyjednano fundusz zapomogowy w sumie 700 koron i z tego zakupuje się drzewka owocowe, a następnie drzewko wartości 1 korony sprzedaje się po 25 centów.

Z inicjatywy szkoły i przy pomocy ze strony uczniów, okoliczni włościanie założyli 30 sadów wzorowych, powysadzano też drzewami owocowymi drogi.

Jak racjonalnie sady zakładać i jak je trzeba prowadzić, jeżdżą z objaśnieniami do włościańskich gospodarstw okolicznych — uczniowie.

Bywają też wycieczki uczniów do włościańskich gospodarstw w celach lustracyjnych.

Jednym słowem, szkoła w Suchodole od lat 4 pod dyktando obecnego kierownika weszła na dobre tory.

Uczelnia ta istnieje lat 17, ale dopiero w latach ostatnich włościanie mają z niej rzetelną korzyść. To też znać to już na uprawie rolnej i wyglądzie pól, otaczających Krosno.

Tak prowadzona szkoła rolnicza stała się dla wszystkich rolników okolicznych źródłem żywego przykładu w zakresie gospodarki rolnej.

Szkoła ta pamięta i o kobietach, które też z jej pomocą czerpią wiedzę fachową.

Kobiety wiejskie po kursie gospodarstwa, urządzonym dla nich w suchodolskiej szkole, pobieliły chaty, uprzątnęły je gruntownie, założyły sobie ogródki lub uporządkowały te, które miały.

Szkola sama utrzymana jest z wytworną czystością, jest w niej rygor wielki, ale rygor racjonalnie pojęty.

Przyjechałam tam bez żadnej zapowiedzi, dyrektor po krótkiej wymianie paru zdań, prosto ze swego gabinetu, poprowadził mnie przez zabudowania szkolne, gospodarskie, w ogród a w końcu i w pole. Nie było więc czasu na jakąś inscenizację.

A jednak wszystko było w porządku, pomimo niedzieli, która zwykle pewną dezorganizację w takie życie szkolne wprowadza.

Dyżurni byli na stanowiskach w budynkach gospodarskich tam, gdzie być powinni, w klasach niektórzy chłopcy robili notatki i uczyli się, bo za tydzień miał być egzamin, inni pisali listy do rodziny.

W milej, zielenią i obrazami przybranej sali zebrań szkolnych, gdzie się mieści biblioteczka, radzili skauci szkolni. Ci, co po egzaminie wychodzili, zdawali rachunki, inwentarz wycieczkowy i ideowe kierownictwo młodszym następcom.

Chłopcy mieli miny skupione; zdrowie i siła fizyczną były od nich.

Te młode siły są tam umiejętnie użyte i wyzyskane.

Otoczenie szkolne tchnie ładem, porządek nieco pedantyczny, niemiecki, wprowadził tam p. Neuman.

Skarży mi się, że ten porządek najtrudniej jest chłopcom sobie przyswoić, snąc polskiej naturze zdaje się on być przeciwny.

Stawiam im spluwaczki i tyle razy upominam, by z nich korzystali, gdzie tam! długo trzeba o to wojować, by się wzwyczaili do przestrzegania porządku.<sup>2</sup>—Pomimo tych wyrzekań, widzę jednak porządek wzorowy, cpraw-

da jest wszystko, by go ułatwić, choć niepotrzebnych szyków niema.

Szkola robi wrażenie dobrze zaopatrzonej w tablice i pomoce naukowe. — Ma na 50 uczniów 3 profesorów i dyrektora. Kurs trwa lat 3. Oplata wynosi 360 koron rocznie. Przeważnie jednak są tam sami stypendyści.

Widziałam tam 2 Litwinów; Królewiaków niechętnie przyjmują, ponieważ, jak się wyraził dyrektor: „Są duchem buntu zbyt przesiąknięci i w zwierzchności szkolnej widzą zawsze swego wroga”.

Chłopcy, przychodzący do Suchodolu, to synowie włościan i oficjalistów dworskich.

Do niedawna po wyjściu z tej szkoły szli na posady dworskie i urzędnicze, — obecnie idą i na posady instruktorów włościańskich do Kólek rolniczych, — na kontrolerów obór w związkach włościańskich.

Gospodarka szkolna w Suchodole na 64 morgach jest tak prowadzoną, żeby uczeń mógł potem dobrze gospodarować i na gospodarstwie małorolnem.

Krowy chowa się rasy polskiej i mleko od nich przerabia na masło; świnie prowadzone są „systemem cyckowym”, (westfalskie), na chów, jako materiał hodowlany.

Widziałam tam bardzo racjonalną dezynfekcję naczyń z mleczarni i korytek świńskich.

Oto po przepuszczeniu mleka, umyte naczynia wystawiane były na dworze, w miejscu przewiewnem i słonecznem.

Wisiało to wszystko na pnii, wysokim z powbijanymi koleczkami.

Na wietrze i słońcu wietrzą się tam po każdorazowym wymyciu bardzo dokładnem i korytka wysuwane dla świń.

— „Wapno — powietrze, słońce i woda, to najlepsza dezynfekcja—mówi dyrektor.— Stale się tego trzymamy i dotąd nie mieliśmy jeszcze zarazy w chlewach.”

Choć szkoła jest męska, jest jednak i gospodarstwo drobiowe na małą skalę, jest warzywnik, ogród owocowy i dużo, dużo kwiatów.

Poczucie estetyczne chłopców może się rozwijać w ładnym i mile urządzonej otoczeniu. Podziwiam piękne, kwitnące właśnie pelargonie w klasach.

— „Kwiaty kwitnące w klasach widziałem w rolniczych szkołach zagranicą i wprowadziłem u siebie,” — odpowiada dyrektor.

. . . . .

— „Czy pan dyrektor stara się o danie posad swym uczniom?”

— . Prawie wszyscy, wychodząc ze szkoły, są już pozamawiani na posady. Dużo ich idzie do Królestwa i w Poznańskie. Zresztą spory procent przychodzi tu już z myślą o upatrzonej posadzie.

Od jakiegoś czasu mam i takich, których Kółka rolnicze wysłały, aby mieć potem fachową siłę rolniczą instruktorską na miejscu”.

Przypominam sobie, że znam ojca jednego z takich, gospodarza z Łoniowych.

Pytam się o niego.

Dyrektor chwali mi go, jako porządnego chłopca i dobrego, poważnie pojmującego swoje obowiązki, ucznia.

Proszę go o poznanie mnie z tym chłopcem.

Za chwilę staje przedemną ów „Łoniowiak”.

Opowiadam mu nowiny z jego wsi, którą właśnie zwiedzałam niedawno. Chłopak, któremu rzeczywiście dobrze z oczu parzy, wyraża tęsknotę za wsią rodzinną.

Dyrektor wtrąca nagle.

— „Jak się będziesz dobrze uczył, to na tydzień, na żniwa pojedziesz do domu”.

Chłopakowi twarz kraśnieje z uciechy, a ja sobie robię uwagę na stronie, że ten dyrektor, tak napozór surowy, nie jest jednak bez serca.

Wychodzimy w pole.

Wszystko dorodne — wypieszczone — pola poobsadzone żywopłotem z grabiny, dużo doświadczeń polowych, jeno z pszonakiem wojna nie wygrana. Dowiaduję się, że w tym roku zrobiono nad tym wrogiem galicyjskich pól potrójne doświadczenie, a między innymi i z kainitem.

— „Z ciekawością czekamy na rezultat,” — objaśnia p. Neuman.

Dzwonek na obiad. Wracamy. Pan dyrektor przedstawia mnie swej żonie. Poznaje i syna kilkunastoletniego, ucznia szkoły realnej w Krośnie, skauta, który wprowadził tę organizację na teren szkolny i kieruje nią.

Dowiaduję się, że córka pp. Neumanów, przygotowawszy się uprzednio zagranicą w odpowiednich szkołach, objęła niezbyt dawno kierownictwo w szkole gospodarskiej z fundacji hr. Skarbka w Grzędzie pod Lwowem.

Jest to duży teren pracy. Do niedawna wychowywano tam dziewczęta sieroty, (nieślubnego pochodzenia), na poczciwe niedołęstwo, które lokowano następnie jako panny służące po domach arystokratycznych, ale wychowanie ich było tego rodzaju, że jak gdzie takie dziewczętko przyjechało na posadę, to raczej niem się trzeba było zająć, bo litość brała, jakie to było nieporadne i — głupiutkie.

— „Teraz moja córka wprowadza tam różne reformy i — z dobrym wynikiem — jak dotąd,” objaśnia mnie p. dyrektor.

Pytam się, jak długo przygotowywała się do takiej pracy.

Odpowiadają mi, że 2 lata była zagranicą, po kilka miesięcy w 5 różnych gospodarskich szkołach

— „Wie pani? Jestem zdania, że to dla kierowniczkii taką szkołą, najwłaściwszy sposób poznawania systemu i tworzenia sobie syntetycznego poglądu z różnych dobrych rzeczy, które w szkołach różnych podpatrzeć można.”

Zgadząmy się na jedno i dalej idzie ożywiona rozmowa o stosunkach galicyjskich.

Pan Neuman widzi wady szkół rolniczych średnich w Galicyi, ale twierdzi, że już tu i owdzie ludzie krytyczniej usposobieni podejmują walkę z niemi i nie obrażają się za wytykanie błędów, popełnianych dotychczas.

Pod dodatniem wrażeniem zegniam tego dyrektora szkoły rolniczej, który — po za obowiązkami zawodowymi — znajduje czas na służeńie ludowi wiejskiemu swą wiedzą umiejętnie podaną i — do stałego współzycia z wsią uczniów swej szkoły wciąga — a własnym przykładem uczy, jak należy chlebem wiedzy fachowej dzielić się z ciemniejszymi współrodakami.

## Miłocin.

Po Suchodole zwiedzam drugą tego samego typu szkołę średnią rolniczą w Miłocinie, pod Rzeszowem.

Urządzenie jej przedstawia się o wiele piękniej.

Budynki większe i okazalsze znaczą, — że umyślnie w tym celu budowane. Ładne zadrzewienie, piękne kwietniki. Duży obszar ziemi na fermę szkolną przeznaczony, piękne, kosztowne bu-

dynki gospodarskie, a w urzędzeniu gmachu szkolnego wielka dbałość o higienę, bardzo zasobne muzeum szkolne.

Ciekawą i piękną jest historia tej miłocińskiej szkoły.

Powstała z fundacyi, którą przed laty uczynił dobry obywatel, lekarz miejski z Rzeszowa p. Jan Towarnicki; wymarzył on sobie taką szkołę rolniczą, krzewiącą kulturę rolną wśród włościan i uspołeczniający wpływ wywierającą na całą okolicę.

Postawił dla niej mieszkanie piękne, — wygodne, celowe, założył ogród — zadrzewił, uposażył szkołę bogato, dał 120 morgowe gospodarstwo pod szkolną fermę.

Tylko nie przewidział zapewne, w co się obróci jego fundacya, Pragnął, by przez tę szkołę podźwignął się drobny rolnik w jego okolicy, a tymczasem szkoła w Miłocinie, podobnie jak inne, z wyjątkiem Suchodolu od niedawna, wychowuje młodź wioskową na urzędników, konduktorów, oficyalistów dworskich a nawet na żandarmów; jeno nie na gospodarzy mało-rolnych. \*)

Tak to człowiek nie wie nieraz, sam pod co fundamenty kładzie.

Tymczasem obecnie Miłocin *oficyalistów dworskich wychowuje* w tej szkole starannie, — to fakt!

Sądząc z tego, co się widzi, hodowla i gospodarstwo rolne stoją wysoko.

Ale i tam można jednak zauważyć drobną zmianę na lepsze: oto kasuje się w hodowli szkolnej krowy simenthalery, a wprowadza tak

\*) Korpus żandarmski składał jednej ze szkół rolniczych średnich w Galicyi oficyalne podziękowanie za dobre przygotowanie wychowawców. Bez komentarzy!

odpowiednie dla hodowli włościańskiej u nas czerwone bydło polskie, a stadnik miejscowy służy i dla użytku drobnych gospodarstw.

Sąsiednia mleczarska szkoła w Rzeszowie korzysta z sił naukowych z Miłocina.

Dyrektor dojeżdża tam z wykładami hodowli.

Od lat kilku, gdy do armii austriackiej wprowadzono na wzór armii japońskiej, wykłady popularne z zakresu rolnictwa, hodowli, weterynaryi, dyrektor z miłocińskiej szkoły wyklada te przedmioty ułanom, stojącym w Rzeszowie.

Wykłady te są nieobowiązujące, odbywają się w wielkiej sali ćwiczeń muzycznych, bywa na nich po 200 słuchaczy, młodych chłopów galicyjskich, którym się nieraz w czasie służby w pułku „cni za rolą”.

Niezadługo siłom fachowym, któremi ta uczelnia rozporządza, przybędzie jeszcze jedno pole pracy.

Oto w blizkiem sąsiedztwie Miłocina, a w pobliżu szkoły mleczarskiej w Rzeszowie, powstaje pierwsza w Galicyi wyższa szkoła rolnicza dla kobiet z gimnazyalnem przygotowaniem.

Teren dla tej szkoły rolniczej żeńskiej, w pięknej, zdrowej okolicy podgórskiej, blisko kolei i miasta powiatowego (Rzeszowa), między dwoma szkołami rolniczą i mleczarską, jest bardzo szczęśliwie wybrany, umożliwi bowiem rolniczej szkole żeńskiej korzystanie z muzeów, pomocy naukowych, doświadczeń polowych i sił fachowych profesorskich obu sąsiednich szkół.

Gdy wracałam z Miłocina, pokazywano mi plac, na którym ma stanąć tu rolnicza szkoła żeńska.

Pracowano tam właśnie nad zakładaniem studni artezyjskiej.

## Szkoła mleczarska w Rzeszowie.

W pobliżu powiatowego miasta Rzeszowa mieści się szkoła mleczarska, która tak dobrze zapisała się już w dziejach naszego ruchu mleczarskiego w Galicyi i w Królestwie.

Fomieszczenie bardzo skromne, prawie biedne.

Szkoła istnieje od lat 14. Już w chwili otwarcia jej były siły krajowe przygotowane do prowadzenia tej uczelni. Nauczyciele obecnie są dobrani w taki sposób, że są to wszystko koledzy szkolni i przyjaciele, — złączeni jedną wspólną myślą; mogą więc pracować harmonijnie.

Zapotrzebowanie na mleczarzy — w miarę rozwoju ruchu mleczarskiego — wzrasta.

Połowa uczniów idzie na posady do Królestwa, bywa też, że z Królestwa jest więcej uczniów, niż z Galicyi: Królewiaczy są w Rzeszowie przyjmowani na tych samych warunkach, jak i Galicyanie.

Uczniów bywa od 30 — 67.

Mleko do przeróbki biorą z 8 dworów i z 7 okolicznych włościańskich spółek mleczarskich.

Dzienna przeróbka mleka wynosi od 3 - 4 tysięcy litrów.

Połowę dowożonego mleka przerabiają na masło, druga połowa idzie na przeróbkę serów.

Na maśle tracą, sery pokrywają różnicę, a nawet dają zysk do 4 z górą tysięcy koron rocznie.

Oprócz wyrobu masła w różnych gatunkach, a nawet masła z maślanki, wyrabiają wszystkie gatunki mleka leczniczego. Z serów wyrabiają ser polski, tak zwany ser kartuzów,

ser żuławski, litewski, holenderski, szwajcarski i różne deserowe.

Ciekawe jest wznowienie wyrobu staropolskiego sera żuławskiego; jest on smaczny, w smaku łagodny a więc w guście polskiego podniebienia; praktyczne bardzo jest wznowienie jego produkcji, daje bowiem możliwość spożytkowania mleka chudego, bo  $\frac{3}{4}$  mleka chudego idzie na wyrób żuławskiego sera

Dowiaduję się, że matka obecnego dyrektora szkoły pochodzi z Żuław z pod Gdańska, i stąd w rodzinie jego przechował się przepis tego staropolskiego sera.

Dyrektor szkoły rzeszowskiej jest wielkim zwolennikiem przemysłu serowarskiego, uważa, że w całej Polsce grunt pod ten przemysł jest zupełnie jeszcze nie wyzyskany. Uważa dalej serowarstwo, z wyjątkiem produkcji sera szwajcarskiego, jako zawód dla kobiet bardzo odpowiedni.

Pan Licznerowski, oprowadzając mnie po szkolnych oddziałach, żywo i barwnie udzielał mi różnych objaśnień.

Jestem rada, że pozwalają mi podpatrzeć codzienne życie szkoły, — pokazując mi ją w wirze powszedniej pracy.

Widzę więc odbiór mleka, — przepuszczanie go, wyrób sera i nakładanie go do foremek, następnie widzę pakowanie masła, wyrób paczek w stolarni szkolnej, jakąś reparację przez uczniów robioną w kuźni. Okazuje się, że ta szkoła po skautowski wychowuje swych uczniów i do samoradzenia i samostarczalności ich zaprawia. Wszystkiego, co im potrzeba w zakresie pomocniczym, uczą się tutaj robić.

Uczą się więc już w szkole zwalczać praktycznie różne trudności, na które jako mleczarze wiejscy, zdani nieraz na wiasne tylko sły i pomysłowość, będą napewno narażeni. —

Dobrze więc, że szkoła uczy ich zawczasu pokonywać te trudności, że wychowuje ten zastęp zawodowców do życia praktycznego.

Warsztaty: stolarski, kowalsko - ślusarski oraz składy różne zostały bardzo pomysłowo tanim sposobem zbudowane przez uczniów z desek z pak różnych.

Jest to okropna łatanina—ale służy swemu celowi. Wogóle w szkole rzeszowskiej wiele potrzeb wielkim głosem woła o zaspokojenie. A choć bardzo czysto jest w każdym kąciuku, ale te kąciuki są wyzyskane do ostatnich granic możliwości. Rzuca się to w oczy, że ci ludzie duszą się poprostu już w zbyt małym gmachu.

Okazuje się, że już i Wydział Krajowy zebrał fundusze na przebudowanie i rozszerzenie tej tak pożytecznej szkoły.

Na jesieni r. 1914 miały się tam zacząć roboty, — czy nie przeszkodziła im wojna? — nie wiem tego.

Przedewszystkiem potrzebną im jest tam sztuczna chłodnia i pracownia bakteryologiczna, bo pierwszej nie mają wcale, a druga jest bardzo ciasna. Pomocę naukowe w narzędziach, tablicach, podręcznikach mają ale w niedostatecznej mierze.

Wszystko to jest im niezbędnie potrzebne, bo starają się iść z postępem swego zawodu. Szkolna pracownia wykonywa kontrolę masła dla związku mleczarskiego, na wzór duński i holenderski. W szkole wychowują się też ludzie dla Biura Mleczarskiego ogólnokrajowego.

Zapamiętałam sobie to, co o tej szkole powiedział dyrektor:

— „Największą i bodaj że jedyną zaletą naszej szkoły jest to, iż umiała się przystosować do potrzeb miejscowych, brała wzory obce, ale na swoją modłę przetwarzała, tego

samego życzę z serca bratniej szkole mleczarskiej w Królestwie, świeżo otwartej u was w Liskowie.

A to tak łatwo poddać się ślepeму naśladownictwu obcego wzoru. Ja sam—opowiadał—jak tu przyjechałem przed 4-ma laty, myślałem na sposób niemiecki wprowadzać wymagania różne i obostrzony regulamin. — Nie dało się, byłbym został bez uczniów.

Choć i tak, jak pani widzi, z brudem nie żyjemy w zgodzie, a za odruch u naszego wiejskiego chłopca tak zwykły, jak dłubanie w nosie, idzie się u nas do karceru na chleb i wodę.

Ale z drobnych pedanteryi, do których Niemiec nawyka prędko w takiej szkole, trzeba było zrezygnować, bo to jeszcze nad siły polskich uczniów.

Czy pani da wiarę, że nawet wyrzucania śmieci we właściwe miejsce muszę doglądać sam?”

Tak gawędząc, zachodzimy do piwnic, gdzie w chłodnem a wilgocią przesyconem powietrzu, dojrzewają różnych odmian sery.

Wchodzimy z kolei do niewielkiego składu, gdzie na półkach jaśniej słuźnicie ubarwione na wiśniowy kolor główki sera litewskiego.

— „Nigdyby pani nie zgadła, z czego przerobiliśmy na przechowywanie serów ten składzik. Oto z takiej ubikacyi, o której się nie mówi w mieszanem towarzystwie.

Wycementowało się to, wyszykowało i serki dojrzewają sobie tutaj w spokoju.”

— „Widzę, że się nie dajecie biedzie i umiejętnie sobie z nią radzicie.”

— „A co mamy robić? my na biadania próżne nie mamy czasu, praca i to praca ciężka w kółko nas pogania i na spoczynek nie wiele miejsca zostaje, a już na melancholię, to absolutnie miejsca u nas niema.

Wchodzimy do działu, gdzie rozebrani do bieliźnianych strojów, w białych fartuchach, zaczerwienieni od zmęczenia, chłopacy, zwijają się, jak muchy w ukropie, nad wielkimi kadziami z serwatką, wylawiając z nich twaróg.

— „Niech pani zgadnie z wyglądu—ja nie powiem, gdzie tu między nimi jest skończony dublańczyk, Rusin, który praktykuje na instruktora mleczarskiego” — mówi dyrektor u progu, zniżając głos.

Przeglądam się, a potem, po wyjściu do drugiego oddziału, odpowiadam:

— „To zapewne ten, który pracował tak żarliwie, że nawet gdyśmy weszli, nie oderwał oczu od pracy”.

— „Zgadła pani. — Ci Rusini, cośmy ich tu mieli, to dobrzy, tędzy pracownicy. Wie pani? — metropolita Szeptycki przysłał tu kiedyś 6 alumnów na praktykę”.

— „To ciekawe, — no i dobrze się sprawiali?”

— „A naturalnie,—to już byli ludzie z pewną kulturą, inteligentni przytem, żywo ich wszystko obchodziło, pracowali bardzo sumiennie i całemu regulaminowi z żołnierską karnością się poddawali. Wynieśli dobre świadectwa, bo w zupełności na nie zasługiwali. Po tym fakcie arcybiskup Bilczewski przysłał na naukę do nas 6 swoich seminarzystów, — ci jednak, przyjechawszy do nas, czuli się jakby zdegradowani, niezbyt ich interesowały zajęcia praktyczne, no i ostatecznie nie skorzystali tyle, ile, by mogli w innych warunkach. Oczywiście, z tych pojedynczych faktów nie można jeszcze wyciągać ogólniejszych wniosków.

Ale wie pani, że kobietom na naukę do nas utorowała drogę też Rusinka; przyjęto ją, bo miała jakąś wysoką protekcję.

Potem zaczęły się zgłaszać Polki, — Wydział Krajowy nie chciał się długo zgodzić na przyjmowanie ich. Ale wtedy ja przypomniałem ów epizod z Rusinką, i wypomniałem, że jesteśmy względniejsi dla obcych niż dla swoich i to jakoś poskutkowało.

Dzisiaj mamy i uczennice, kobiety pracują u nas jako eksternistki.”

Wracamy z lustracyi szkoły do kancelaryi dyrektora.

Tam dostaję do przejrzania ciekawą korespondencyę uczniów, którzy szkołę ukończyli, skierowaną do dyrektora.

Jeden chłopiec, wysłany do półdzikich Huculów, by ich nauczyć, jak mają robić bryndzę czystą i bez domieszki robactwa, opisuje w sposób plastyczny swoje pasterskie życie na „połoninach” huculskich.\*)

Ten to chłopak, gdy p. Licznerowski odwiedził go na stanowisku w szalasie huculskim, wybiegł do niego ze szczotką do szorowania w rękę i z dumą pokazywał mu, że już nauczył pastucha posługiwać się nią przy myciu naczyń mleczarskich.

Przy tej okazji dowiedziałam się, że połowa „połonin” huculskich jest w rękach żydów, że bryndza przez Huculów wyrabiana, która mogłaby w części rugować z targów galicyjskich węgierską, jest z powodu niechlujstwa tak niedbale przygotowaną i zanieczyszczoną, że jedynie żydzi, jako najtańszy towar tego rodzaju, kupują ją za marne pieniądze.

Ów mleczarz z rzeszowskiej szkoły pojechał tam właśnie, by krzewić wśród Huculów wyższą umiejętność serowarską.

W jednym z listów, jakie pisał zaraz po przyjeździe na miejsce, był zwrot taki:

---

\*) Żyzne — górskie pastwiska.

„Chwilami podziw i obrzydzenie bierze mnie nad dziką i straszną swobodą tego ludu,— a czasami jak siedzę przy ognisku obok tych dzikich postaci, tak pięknych mimo swą dzikość, to zdaje mi się, że jestem watażką nad nimi.

Mam u nich posłuch, który zdobyłem stanowczem i krótkim wydawaniem rozkazów.”

Przejrzawszy listy ciekawsze, z których widać, że dzielny dyrektor umiał sobie młode serca jednać i ufność w nich wzbudzić, mówimy jeszcze o mleczarskim ruchu w Galicyi.

Ma on przed sobą coraz lepszą przyszłość, bo chłop galicyjski jest dobrym materyałem na hodowcę, a ponieważ ten drobny hodowca coraz bardziej się cywilizuje, staje się przez to sam podatniejszym, na członka mleczarni.

W chłopskich mleczarniach galicyjskich wyrabia się już dobre masło, czystość i urządzenia coraz w nich lepsze. Nie można tego jeszcze powiedzieć o mleczarniach rusińskich, niższa kultura ludu powoduje, że rusińskie masło ma nieprzyjemny zapach, nie dano mu bowiem tych warunków elementarnych, których jego produkcyja potrzebuje.

Na ostatnim, najniższym szczeblu cywilizacji stoją w ruchu mleczarskim Huculi.

Mówimy jeszcze o tem i owem. Do kancelaryi zachodzą profesorowie; nasuwa się temat do rozmowy o duchu szkoły i o uczniach. Dyrektor, choć syn Polaka - wychodźcy, wychowany w Nadrenii, jest człowiekiem zupełnie dobrze orientującym się w stosunkach galicyjskich: biada nad rozpolitykowaniem i zbiurokratyzowaniem społeczeństwa.

Mówi o młodzieży, że nie pociągają jej zupełnie zawody praktyczne, bardziej samodzielne, a natomiast nęci urząd i karyera polityczna.

Stąd wypływa zaniechanie całych działów pracy w dziedzinie gospodarki krajowej.

W przeciwieństwie do tego prądu, oni tutaj na terenie szkoły pracują realnie i starają się wychowywać w uczniach poczucie rzeczywistości przedewszystkiem i praktyczny patriotyzm dnia codziennego.

Uczniowie, po za zajęciami fachowemi i wykładami z zakresu swej specjalności, mają swoje Kółko samokształcenia, piszą referaty głównie o zagadnieniach ekonomiczno-rolnych i społecznych. Chłopcy dyskutują też z ożywieniem na takich zebraniach koleżeńskich, a szkoła stara się wprowadzić ich do mówienia, aby potem na zebraniach wiejskich, gdy im wypadnie przekonywać ludzi o potrzebie zakładania mleczarni, — umieli mówić łatwo i dobrze, i przekonania swoje uzasadniać wymownie a logicznie. — Uczniom, przez młodego dyrektora dana jest znacznie większa swoboda, niż ją dotąd mieli, ale pod warunkiem, że nadużyć nie będzie. Jakoż dotąd ich niema, choć taki stan rzeczy trwa już od lat 4-ech.

Wracając do praktycznego wyszkolenia uczniów, — ważnym pod tym względem czynnikiem pomocniczym dla szkoły jest sklep z produktami mlecznymi, który od 2 lat szkoła na swój rachunek prowadzi w Rzeszowie. Uczniowie, odbywając praktykę w tym sklepie, obznajmniają się ze stroną handlową, i z prowadzeniem takiego przedsiębiorstwa.

Warunki, na jakich przyjmuje się uczniów tej szkoły, są następujące:

Kandydaci, starający się o przyjęcie, powinni wnieść podanie na ręce Dyrekcyi Szkoły do 10 sierpnia i dołączyć:

- 1) metrykę lub inne wiarogodne świadectwo na dowód, że ukończyli 17 rok życia;
- 2) świadectwo ukończenia z dobrym postępem niższej szkoły rolniczej lub powinni pod-

dać się egzaminowi wstępnemu z czytania i rachunków;

- 3) świadectwo zdrowia;
- 4) " moralności;
- 5) " dotychczasowych zajęć;
- 6) piśmienne pozwolenie rodziców lub opiekunów, jeśli kandydat nie jest pełnoletni;
- 7) zobowiązanie, poręczające regularną wypłatę należności za naukę i utrzymanie;
- 8) świadectwo ubóstwa, jeśli kandydaci starają się o przyjęcie na koszt funduszu krajowego.

Kandydatom, mającym dłuższą praktykę mleczarską lub serowarską, przyznaje się pierwszeństwo w przyjęciu na kurs.

Uczniom zwyczajnym udziela się nauki bezpłatnie. Opłata za całkowite utrzymanie wynosi 35 koron miesięcznie, jednakże uczniów niezamożnych Wydział Krajowy może uwolnić w całości lub części od opłaty.

Prócz uczniów zwyczajnych mogą być przyjęci na kurs także uczniowie nadzwyczajni (hospitanci), którzy zadość uczynią warunkom wymienionym pod 1 - 4 i 6, lecz ci utrzymują się własnym kosztem i uiszczają opłatę za naukę w kwocie 24 koron miesięcznie. Niezamożnych uczniów nadzwyczajnych Wydział Krajowy może uwolnić od opłaty za naukę, jeśli przedłożą świadectwo ubóstwa i jeśli pilnością i nienagannym zachowaniem się na tę ulgę zasługują.

## Pawlikowice.

Cudnie położona na wzgórzach podkarpackich, wśród śmiejących się do słońca wzgórz i dolinek, stara szlachecka siedziba w sąsiedztwie Wieliczki.

Jest tam spory cienisty ogród, są piękne kasztanowe aleje, — kiedyś było to siedlisko aryan polskich.

Mieli oni tutaj swoją kaplicę i cmentarz grzebalny. Dzisiaj i śladu z tych pamiątek po nich już niema. Praktyczny a snać o pamiątki z dziedziny starego budownictwa niedbały dziedzić jakiś, grube mury kaplicy, w której ci błędnowiercy modły swe w ukryciu sprawowali, przerobił na spichlerz, a obecni właściciele zburzyli i ów, niezwykłego pochodzenia spichlerz, by na jego miejscu zbudować dom mieszkalny.

Czemże są dzisiaj Pawlikowice?

Od lat 11 są one przytulkiem i domem wychowawczym opuszczonego, osieroconego dzieciństwa, prowadzonym w myśl zasady ks. Bosko.

Są tam warsztaty: szewcki, ślusarski, kowalski, stolarski, jest praca na roli, hodowla inwentarza, praca w ogrodzie, pasiece, warzywniku.

Gospodarstwo prowadzone jest na przestrzeni folwarczku, wynoszącego 130 mórg ziemi — wykrojonej z dawnego, dziś rozparcelowanego majątku. Ziemia daje zboże na chleb, paszę dla inwentarza, dostarcza też jarzyn i owoców.

Chlewnia i królikarnia krasi skromny stół omastą i kawałkiem mięsa, który podawany jest tu rzadko i uważany za zbytek.

Obora dostarcza mleka, sera, masła.

Gospodarstwo rolne i podwórzowe prowadzi wychowanek zakładu, który na jego koszt skończył kurs w szkole rolniczej średniej w Suchodole. Radzi on sobie nieźle, trudno wymagać lepszych plonów na ziemi, domagającej się wielkim głosem zdrenowania, które też miano podjąć wkrótce.

Teren mieszkalny i folwarczny są skanalizowane, to też mali chłopcy z łatwością obsługują inwentarz, boć nie przedstawia dla nich trudności odkręcenie kurka i napuszczenie wody do żłobu.

Starsze wyrostki czyszczą konie i pracują nimi. Na polu w takich pracach, jak pielenie lub sadzenie, biorą udział i malcy.

Ubrane to wszystko licho, tak jak chodzili zwykle, tylko od święta ma to bractwo jednostajne cągowe szare kurtki, ale na zbytki tutaj nie stać.

Zakład ten robi wrażenie rodzinnego domu ubogich, na dorobku będących ludzi. Głodu jednak i braku rzeczy najniezbędniejszych w zakładzie tutejszym nie znać.

A więc chłopcy, pozbierani z suteren, poddaszy, z ulicy i dróg wiejskich, — mają duże widne sale na warsztaty, z okien wszędzie piękne widoki na wzgórza, doliny, lasy i szumiące łany zbóż, tuż obok stoją, zaglądając ciekawie do okien mieszkalnego domu, stare drzewa parku, jakby zdziwione zmianami, które w pawlikowskim dworze zachodzą.

Sypialnie czysto utrzymane, trochę zanadto zastawione łóžeczkami, nakrytymi kocami jednej barwy, ale okna były w nich otwarte na przestrzał i fale żywicznego, słońcem nagrzanego powietrza, wlewały się do wnętrza tej internatowej, — nieco sztywnej w wyrazie — sypialni.

Zaszłam tam w porze, gdy dzwonek zakładowy wzywał jego mieszkańców na obiad.

Pokazano mi więc salę jadalną i spożycie posiłku, złożonego z zupy grochowej z chlebem i kwaśnego mleka z ziemniakami. Jadło to spożywali razem wychowawcy z wychowaniami, każdy z własnej aluminiowej czyściutkiej menażki.

Patrzę się po twarzach zebranych chłopców od 8-letnich do pełnoletnich.

W niektórych ze starszych spostrzegam mistyczny wyraz, czyżby to był materiał na apostołskie jednostki, — nie wiem — może. Działwa ma twarzyczki rumiane — pyzate — zdrowe, oczy figlarne, jednym słowem wygląd całkiem normalny, rusza się to wszystko żwawo i swobodnie; ma się wrażenie, że każdy z tych malców czuje się tutaj, jak u siebie w domu.

Pokazawszy mi jadalnię, której brak internatowego urządzenia, bo połączenia z kuchnią za pomocą okienka, — prowadzą mnie do kuchni.

Krzążają się tam mali dyżurni w fartuchach i parę starszych kobiet.

Pytam się o nie i dowiaduję, że są to Siostry z tego samego stowarzyszenia o charakterze bractwa, które kieruje zakładem.

Ubrane są zwyczajnie, widać, że to kobiety z ludu; pełnią prace gospodarcze, a więc: gotują, piorą, krowy doją, szyją i t. p. jednym słowem wszelkie prace, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące, spełniają.

Po obiedzie jest krótki odpoczynek, potem podział na grupy i rozchodzenie się wszystkich do pracy im wyznaczonej. Kierownik zakładu, — a jest nim owego dnia jeden z nauczycieli, zastępujący chwilowo nieobecnego dyrektora, — prowadzi mnie na górę do gościnnego pokoju, z którego roztacza się ładny widok na ogród i małe podwórze.

Mój przewodnik wychodzi na chwilę, by mi przynieść album, będące małą kroniką zakładu.

Wychylam się przez okno i przyglądam się zabawie w piłkę dwóch malców.

Są opaleni jak cyganięta, świeżo najedli się do syta, mają chwilę odpoczynku, — świat więc wydaje im się bardzo pięknym, a życie

wspaniałą rzeczą. — Bose nożęta, dobrze domyte, jeno powierzchownie zakurzone, zwinnie biegają, co chwila śmiech wesoly przerywa zabawę.

Słyszę, jak jeden z nich mówi:

— „No, jutro się wyświętujemy i wybawimy porządnie, jak to dobrze, że to niedziela!”

Za chwilę z sieni domu wysypuje się na to podwórko grono podobnych malców, fantastycznie obsiada wielką ławę i gawędzi zżywieniem. Nie ruszają się z miejsca, jakby na coś czekali.

Za chwilę rozumiem to ich spokojne zachowanie się. Oto dwie starsze kobiety przynoszą im kosz ziemniaków — naczynie z wodą i koziki.

Widocznie ta grupa malców ma dla wszystkich obrać ziemniaki na wieczerzę.

Biorą się rażno do tej pracy, ale gwar rozmowy trwa dalej, ręce obierają łupiny, — a języki malców nie próżnują także, naturalnie nogi ich nie zachowują się wzorowo, ale przecież to nie są „dobrze ułożone” dzieci „porządnych rodzin”. Tuż obok grupy pomocników kucharki zakładowej kilku malców zabiera się do gracowania uliczek między rabatami kwiatów, jeden z nich ciągle napędza drugich, a sam najmniej robi.

Snać urodzony „prowodyr”, a jak się okazuje, mały cygański chłopiec, zgubiony przez bandę, znaleziony na drodze, w zimie, w stanie pół przytomnym z zimna i głodu.

Drzwi skrzypnęły lekko, — zwracam głowę od okna i widzę, jak bosy wyrostek z uroczystą miną wchodzi do pokoju, przynosząc mi na tacy kwaśne mleko, chleb czarny i masło.

Zaczynam z nim gawędę o rozkładzie dnia.

Odpowiada śmiało, patrzy się na mnie reżolutnie.

Po posiłku i obejrzeniu albumu z fotografiami z życia zakładu, między którymi nie brak grup doskonale obmyślonych w układzie, a odtworzających codzienne życie Pawlikowic, podpisuję się w księdze gości, dostaję sprawozdanie i parę kartek pocztowych, wydanych przez Tow. „Powściągliwość i Praca”, kierujące Zakładem. Kartki te są z aforyzmami, między którymi znajduję i cytuję z Ksiąg Pielgrzymstwa, tej treści: „Zasiewajcie miłość Ojczyzny i ducha poświęcenia się, a bądźcie pewni, że wyrosnie Rzeczpospolita wielka i piękna”.

Zaczynam się pytać o program, podług którego wychowuje się tutaj małych opuszczonych chłopców na rzemieślników i rolników.

Dowiaduję się, że młodzież ta uczy się w zakładzie przedmiotów, objętych planem szkół ludowych oraz praktycznie gospodarstwa na roli, ogrodnictwa, stolarstwa, szewctwa, krawiectwa i ślusarstwa.

W chwili, gdy zakład zwiedzałam, chłopców było w nim 140.

Zazwyczaj około 100 wychowuje zakład za darmo, a kilkudziesięciu płacą coś za swoje utrzymanie; opłata jest nierówna, wynosi od 2-15 koron miesięcznie.

Chłopcy, którzy skończą naukę rzemiosł, wyzwalani są na czeladników i — idą na swój chleb.

Nauka, tak zawodowa, jak i umysłowa, przeplatana jest ćwiczeniami fizycznymi.

W ogrodzie jest dość duży plac na ćwiczenia gimnastyczne, na wzór sokolskich, są niezbędne przyrządy do gimnastyki, jest altanka dla orkiestry zakładu, plac do krokieta na dawnym cmentarzyku aryańskim. Chłopcy grają, śpiewają, urządzają przedstawienia teatralne, na które przychodzi i ludność ze wsi, brak im jeno bardzo większej ilości pism dziecinnych i zasob-

niejszej biblioteki, zwłaszcza ksiązek z działu historycznego i przyrodniczego.

Ale na to niema środków na razie.

Obecnie po roku klęskowym, jakim dla Galicyi był r. 1913, wszystkie wysiłki skierowywali tam ku temu, by przeżyć i odzisać 140 wychowañców zakładu.

— „A co się potem dzieje z tymi odchowanymi?”

— „O, wtedy to już o nich niema kłopotu, taki sierota mały biedny, póki nie odchowany i nic nie umie, nie ma zazwyczaj rodziny bliższej, któraby się o niego troszczyła. Ale niechno wyrośnie — niech się poduczyczego — wyzwoli na szewca, kowala, ślusarza, stolarza, zaraz jakaś rodzina i to zupełnie formalnie przyzna się do niego i bierze go siebie”.

— „Czy zakład utrzymuje stosunki z dawnymi uczniami?”

— „Naturalnie, ciągle mamy takich, co do nas wracają na czas jakiś, jak do swego domu.”

Przypominam sobie nagle, że to i ja znam jednego z ich wychowañców, który się nau czaniem prywatnem po wsiach lubelskich trudnił.

Pytam się o niego. Owszem wiedzą o nim, jest w wojsku i pisuje do nich.

— „Ale nie wiem, czy pani wiadomo, że my z tej samej wsi mieliśmy już 3 wychowañców, a obecnie mamy jednego z tej okolicy”.

— „Nic dziwnego, że aż tu do Was pod Wieliczkę przyjeżdżają, przecież u nas takich zakładów niema, a przydałyby się w każdym powiecie dla sierot bez opieki”.

— „O Waszym zakładzie dużo pochlebnych rzeczy mówił mi p. K. z Wieliczki, poczytuję Wam za największą zasługę, że nie wytwarzacie wykolejeñców lecz ludzi zadowolonych z losu.”

— „O, to nasz wielki przyjaciel, zdaje się, że głównie szanuje nas za to, że otaczamy wielką dbałością sad zakładowy stary i rozszerzamy go, że drogi polne wysadzamy jabłoniąmi, a robiąc to wszystko, zwracamy się po radę fachową do p. K., jako do ogrodnika powiatowego zakładu sadowniczego dla włościan”.

— „Macie w nim szczerze życzliwego sobie sąsiada.”—Tak gawędząc, wracamy z pola, gdzie idzie praca około obredlania ziemniaków i pielenia jarzyn.

Spotykamy dorodne bydło, starannie zgrzebłami wyczyszczone, prowadzą je na powrózkach wyrostki z zakładu i gwizdzą wesoło. Zachodzę do domu zakładowego, aby zabrać torebkę podróżną, ale okazuje się, że panuje tutaj „piastowska gościnność”, bo po drugim śniadaniu dano mi jeszcze obiad jarski bardzo smacznie przyrządzony.

Następuje spacer po parku, potem gawęda na temat: „Co się też w Królestwie dzieje? jak tam pracujecie?” z młodym wychowawcą, który okazuje się też królewikiem i wychowawcą jednego z naszych seminariów dla nauczycieli ludowych.

Odprowadzona zostaje aleją, jabłoniąmi wysadzoną, do kopców granicznych pawlikowskiego zakładu, i idę ku Wieliczce, myśląc o tem, jak wiele dobrych uczynków spełnia się u nas po cichu bez rozgłosu.

Bo bez kwestyi dobrym uczynkiem jest urządzenie warsztatów rzemieślniczych dla sierot opuszczonych, na wsi, w ładnem otoczeniu starej, dworskiej siedziby, tak nadającej się na taki cel, a niestety! w praktyce tak często burzonej przez zawieruchę parcelacyjną, a jak obecnie to i wojenną.

---

## Drobne gospodarstwo hodowlane.

Na wyjeździe z Łoniowych usłyszałam od p. Jasińskiego mniej więcej taką radę:

— „Ponieważ panią żywo interesuje to wszystko, co może być skutecznym lekarstwem na chłopską nędzę, — radzę pani zwiedzić małeńkie gospodarstwo hodowlane mego szwagra w Okocimiu Dolnym.

To stary pracownik w Kólkach rolniczych, rad będzie serdecznie z poznania Królewianki, która przyjechała do nas po naukę.”

Naturalnie wypytałam się zaraz o bliższe szczegóły i zamiast do stacji kolei do Słotwiny, wybrałam się koźmi państwa Jasińskich do Okocimia Dolnego.

Państwo Nadachowscy mieszkają tam część roku (p. N. jest poczmistrzem) w Okocimiu Dolnym, a lato spędzają w Nadachówce, małej posiadłości, w której oprócz letniska mają drobne gospodarstwo hodowlane, prowadzone dochodowo i sad handlowy.

Ludzie ci okazali mi wiele życzliwości, otoczyli taką serdeczną opieką, tyle mi rzeczy ułatwili, że najmiłsze wspomnienie wyniosłam z parodniowego pobytu w ich gościnnym domu. Pan Nadachowski w lot się zorientował, o co mi chodzi, i co mnie może interesować, — ułożyliśmy szybko plan działania i okazało się, że w Nadachówce powinnam zostać dłużej, by doczekać się i posiedzenia wiejskiego sądu rozjemczego.

Nie zmartwiło mnie to wcale, czułam się znużoną a zwiedzanie tutejszych osobliwości — dobrze i nie forsownie rozplanowanych, uważałam raczej za odpoczynek, niż za pracę.

Przypadła mi bardzo do gustu atmosfera tego domu wiejskich inteligentów, pracą i myślą o innych wypełniona, pogodna i rzeźka.

Małżeństwo młode jeszcze, wystarczające sobie — coś z pięcioro dzieci bardzo dobrze chowanych, w urządzeniu domu dużo prostoty, kwiatów, dużo swojskich motywów. Zamiast solennego mieszczańskiego salonu np. największy słoneczny pokój oddany dzieciom, te i tym podobne rzeczy bardzo dobrze mnie usposobiły do nowych moich znajomych. Przy pierwszym śniadaniu dowiaduję się, że pan domu razem z całym dziecinnyim drobiazgiem jedzie za chwilę do Nadachówki.

Dzieci jadą tam do swoich zwykłych obowiązków, a on, by skontrolować pracę w ogrodzie, i wydać niektóre rozporządzenia służbie.

— „Jeśli pani nie czuje się zmęczoną, prosimy zabrać się z nami.”

Naturalnie, że jadę.

Za chwilę siedzimy wszyscy na małej bryczuszce, zaprzęgniętej w dobrze utrzymanego kuca; — dzieciaki świergocą jak wróble, jedno trzyma paczkę z drugim śniadaniem, które mamusia przezornie dała na tę wyprawę swoim „pociechom”.

Droga trwa zaledwie kilkanaście minut.

Dojeżdżamy do dużego sadu, wysokim żywopłotem z krategusu dokoła drutu obsadzonego. Przez bramę w zieleni ukrytą wjeżdżamy na podwórze.

Małeńki dworek, — a raczej duża chata o paru stancyach, z dwoma gankami, drewniana, gontem kryta, świeżo pobielone ściany, otwarte na przestrzał okna — pomyte podłogi. Domek pusty jeszcze, prawie nie urządzony, oporzędzony trochę po zimowem osamotnieniu, czeka na przyjęcie mieszkańców na czas letni. Parę grup bżów i drzew dzikich, małeńki stawek, na nim rzucony brzozowy mostek, obok ocieniona winem altanka, — na długich rabatkach kwiaty proste, — ale obficie kwitnące.

Dalej kwatery z rzędami drzew owocowych, głównie jabłoni. Pod drzewami jeszcze młode mi widać buraki pastewne, owies, mieszanę, kartofle i trochę różnych jarzyn.

Wszystko odznacza się bujną siłą wegetacyjną — ziemia w wysokiej kulturze ogrodniczej. Rzuciwszy okiem na sad, idę w podwórze.

Gospodarstwo o maleńkich budynkach, bardzo prostych — ale racjonalnie zbudowanych i dobrze rozplanowanych.

Inwentarza dużo. Jest kuc, który nas przywiózł, krowa i cielę rasy polskiej, 4 kozy i kozioł, maciora z prosiętami, królików 11 samic i 2 samce, kilkadziesiąt kur minerek i zielononózek.

Oprząta ten inwentarz kilkunastoletni chłopiec wyrostek z pomocą starej służącej; prace lżejsze, a więc sprzątanie u królików i kur, spełniają dzieci państwa Nadachowskich.

To też zaledwie przyjechaliśmy, — dziatwa bierze szczotki, łopatki, śmietniczki — czyści, zamiata, wynosi śmiecie, myje naczynka do wody, napelnia je, zadaje paszę, a wszystko to robi składnie — uważnie, snać zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką dźwiga.

Miły obrazek przedstawiają dziewczynki, gospodarujące w klatce z królikami lub w kurniku. Najmłodszy pięcioletni chłopczyk opiekuje się ptaszkiem niewiadomej nazwy, który ze złamanem skrzydelkiem przybłąkał się tam i w dużej klatce w ogrodzie zawieszony — snać z losem swym pogodzony, wesoło ćwierka.

Gospodarz, załatwiwszy różne domowe sprawy, podchodzi do mnie i pyta z uśmiechem.

— „Jakże się pani czuje w tej zagrodzie krasnoludków, — bo co do mnie, to ja się tu trochę wstydę swego dużego wzrostu.”

— „A wie pan, że istotnie w tem otoczeniu najkorzystniej przedstawiają się pańskie dzieci i ten ruchliwy drobny zwierzęcy światek.”

— „Bo też z myślą o moim kochanym drobiazgu robiłem tu wiele rzeczy z początku, potem przyszło mi do głowy, że mogę na tych 2 i pół morgach założyć coś, co w pewnym zakresie będzie pogładową nauką i dla kolegów - włościan z Kólek rolniczych. Nasz chłop galicyjski jest doskonałym materiałem na hodowcę, tylko trzeba go w tym kierunku kształcić i pouczyć, by wiedział, co i jak, na małym kawałku ziemi powinien chować, a czego się strzedz.”

— „Wiem, że pan musiał setki razy historię Nadachówki opowiadać od początku ale i ja bym jeszcze o tę opowieść prosiła.”

— „Jest ona mniej prosta, niż się zdaje nie jednemu, bo ten kawałek ziemi był wychowawcą i moim i mojej żony, — a teraz wychowuje nasze dzieci.

Mieliśmy całego majątku 60 koron, gdy przed 10 laty rzuciliśmy się na kupno tego kawałka ziemi, wynoszącego 2 i pół morgi.

Przyznam się pani, że ja się wahałem, bo wydawało mi się nieuczciwością rzucać się z tak małą sumką na kupno, za które trzeba było dać 425 reńskich, ale żona miała dobre przeczucie, namówiła, zachęciła i dziś po 10 latach pracy, dają nam za ten kawałek ziemi 16 tys. koron.”

— „W jakim stanie objęli to państwo w posiadanie?”

— „Tutaj zarząd dóbr kameralnych w Słotwinie parcelował część swych dóbr, ten skrawek, któryśmy kupili, to były mokradła, w których krowy się topiły, chodząc po pastwisku.

Ludzie się ze mnie śmiali, przepowiadając, że pieniądze w błocie utopię, a ono błotem

pozostanie, — ale Bóg poszczęścił; zacząłem roboty wiertnicze i prędko znalazłem 3 źródła bardzo obfite.

Jedno zużyłem do studni — drugie i trzecie ściągnąłem do stawku, który z czasem zarybiłem, zyskując dochód z ryb, a grunt wkrótce o tyle mi podsechł, że możliwą stała się jego uprawa. Dzisiaj jestto gospodarstwo drobnego rolnika, jakich my tu mamy krocie tysięcy, a a więc takie, którego głównymi źródłami dochodu są: sad i hodowla drobnego inwentarza.”

— „Czy włościanie często zwiedzają pańskie gospodarstwo?”

— „Naturalnie, oddawna pracuję z nimi — jako członek zarządu kółka rolniczego w Okocimiu Górnym urządzam tu wycieczki i lustracye, pokazuję drobno rolnym gospodarzom na żywym przykładzie, jak poważne dochody można ciągnąć z sadu i z hodowli drobnego inwentarza, a że moja zagroda leży przy drodze i na jarmarku i do kościoła często tędy ludzie jeżdżą, więc na gości, ciekawych oglądać moją gospodarzę, urodzaj jest.

Światlejsi wiedzą już, że to wszystko zrobił nakład, umiejętnie zastosowany, i wytrzymała, nieustanna praca, — większość jednak podejrzewa mnie o nieczystą pomoc.

W każdym razie zrobiło się z tej mojej gospodarki półko doświadczałe dla największej biedoty bezrolnej i małorolnej.

Kozę, kurę i królika może chować i robotnik, czy wyrobnik, — całość może zastosować w swej gospodarce i chłop małorolny, a tacy to u nas ogół.

— Ale co najciekawsze. Nadachówka jest półkiem doświadczałym i dla samych właścicieli: pani nie uwierzy, że wszystkie oszczęd-

ności, wszystkie wysiłki nasze, szły w kierunku podnoszenia tego kawałka ziemi w kulturze.

Stał się on dla nas ośrodkiem życia, odmawialiśmy sobie i lepszego stroju, i wyjazdu i mieszkania, aby tylko pchać w ten kawałek ziemi wszystkie oszczędności.

Nauczyliśmy się żyć dla niego, uprawiać własnymi rękoma, no i kochamy go, jak coś, co nam było powodem wielu trosk, docinków, szyderstw i radości, a teraz staje się powodem żawiści wielu.

Daliśmy przykład, że taki mały warsztat rolnej pracy może sobie stworzyć każdy urzędnik; to nasz mały raik na stare lata i warsztat zdrowej pracy fizycznej dla naszych dzieci.

Tak gawędząc, mijamy klatkę z królikami, w której 8-letnia dziewczynka zadaje właśnie paszę.

— „Ta osoba bardzo porządnie zarabia sobie na futerko z królików, — które na zimę dostanie”, — mówi ojciec, pokazując na małą dozorczynię króliczarni.

Dowiaduję się, że przez całe lato, wiosnę i wczesną jesień dzieciarnia państwa Nadachowskich żyje na wsi, zajęta pracą w ogrodzie i w podwórzu, wypija imponujące ilości koziego mleka, ale też i zdrowo się chowa.

— „Wie pani, — dopóki nie trzymałem kóz, co tydzień prawie doktor był w domu, teraz tego nie trzeba.”

— „Możebyśmy zaszli obejrzeć te „lekaraki pańskich dzieci”, ciekawa jestem urządzenia koziarni”.

— „A dobrze, więc przegląd mego gospodarstwa chce pani zacząć od kóz? — Cieszę się z tego, bo trzeba pani wiedzieć: specjalną życzliwością darzę kozy.”

— „Czy to czasem nie dlatego, że z tej racyi musiał pan znieść dużo prześladowań i złośliwych docinków?”

— „Zapewne, że i to się przyczyniło do tego, że zacząłem się koziem gospodarstwem interesować, a zapoznawszy się ze sprawą tej hodowli ze strony teoretycznej, zapragnąłem wziąć się i do racjonalnej hodowli tego dobytku biedaków.

Zabierając się do tego, nie wiedziałem, jak wiele złośliwych dogadywań znieść mi przyjdzie, boć u nas przysłowiową jest pogarda dla tych gospodarzy, którzy kozy chowają. Ileż to razy podejrzewano moje porady rolnicze na zebraniu Kólek: bo to taki rolnik, „co kozy chowa.”

— „Jak naogół stoi hodowla kóz w Galicyi?”

— „Biedota chłopska chowa kozy — ale bardzo nędzne, zwyrodniałe. Chłop ma szczególny pogląd na tę hodowlę: chce on, by koza dawała mu dużo mleka, ale żeby żywiła się sama w dosłownem znaczeniu tego określenia.

Taki sposób barbarzyński postępowania z tym inwentarzem doprowadził tę hodowlę do ostatnich granic upadku.

Szczęściem, znaleźli się ludzie, którzy na to zwrócili uwagę; dzisiaj sprawa ta jest na drodze poprawy i to dość znacznej. Tow. rolnicze krakowskie w sekcji drobnej hodowli zajęło się i podniesieniem zaniedbanej hodowli kóz.

Porozrzucano w tych stronach, gdzie ludność wiejska kozy chowa, stacye z kozłami subwencyjnymi — (i ja mam takiego), a w całej Galicyi będzie takich stacyi przeszło 60. Potem w piśmiennictwie specjalnem, w broszurkach i po kursach rolniczych dla włościan, propaguje się sprawę hodowli kóz bardzo poważnie. Energicznie sprawę tę pchają naprzód hodowcy - amatorzy.

Naprzykład w Suchej, gdzie na lato zjeżdża dużo letników, miejscowy ksiądz ma dużą koziarnię.

Sprzedaje mleko na szklanki dzieciom letników, co tym dzieciom napewno dużo zdrowia przyczynia, jemu dochodu, a jednocześnie wśród chłopów idzie „pogwarka”, że sam dobrodziej chowa kozy, więc to napewno dobry interes być musi.

Po tym księdzu z Suchej, który dużo kóz chowa i racjonalnie z nimi się obchodzi, dobrą opinię, jako koziarze, mają i górnicy z Bochni.

Niedawno jechałem tamtędy samochodem naszego dziedzica p. barona Götza.

Było to niedzielnym rankiem; czy da pani wiarę, widziałem ze stu górników, pasących dobrze utrzymane kozy. To był ich świąteczny wypoczynek.

Oni patrzyli się na mnie, jak na burzuję — a nie wiedzieli, że tym samochodem pędził ich kolega po fachu, „koziarz”.

— „Czy, oprócz górników, inni robotnicy nie chowają jeszcze — kóz?”

— „Z małymi wyjątkami jeszcze nie, — a tymczasem dla tych robotników, którzy pracują w zawodach, zanieczyszczających ich płuca, mleko kozie byłoby doskonałym lekarstwem.

Pozatem chów kóz dla różnej biedoty ludzkiej wiejskiej i podmiejskiej, mógłby być rzetelnym ratunkiem przeciwko ostatecznej nędzy.

Mam tu staruszkę - wdowę, ma chatę i ogród: chowa kozę, którą nazywa poprostu „swoją dobrodziejką”, bo za mleko od tej kozy, rzeczywiście dobrej „dójki”, sprzedawane żydkom na szklanki, ma tyle pieniędzy, że jej to wystarcza na kupno soli, cukru, nafty, mydła i okrasy.

Ale ta staruszka o kozę swoją dba, dużo rzeczy, tyjących się tej hodowli, nauczyła się ode mnie i umiała zastosować.

Prowadzimy tę rozmowę o kozach, stojąc koło okólnika dla kóz, ogrodzonego wysoko siatką drucianą — ocienionego drzewami.

Stoi tam naczynie z wodą i taczki pełne trawy; zmieszanej z koniczyną.

Trzy kozy są rasy białej saaneńskiej i także koziel — jestto rasa szwajcarska, rosła, o srebrno-białej sierci; jest jeszcze i jedna koza ciemno podpalana pindzgawska z Moraw. Cały dzień stoją te zwierzęta na świeżem powietrzu, biegając i skacząc po sporym okólniku.

Zaczynam się pytać o mleczność tych zwierząt.

Okazuje się, że dobre dójki dają i po 7 litrów mleka dziennie (po okoceniu), przeciętnie dają 5 litrów.

Takim dobrym dójkom daje się do 3 kilo śrótowanego owsa dziennie, czystą trawę a w okresie lenienia, kiedy są najsłabsze, jako wzmacniający środek lekarski, daje im się  $\frac{1}{4}$  część kilo (trochę więcej niż pół funta) mąki lnianej.

W okresie 2-letnim koza może mieć i 3 razy potomstwo od 1 - 3 na raz.

Z wychowem małych niema wielkiego kłopotu, przez 2 tygodnie ssie mleko matki, potem radzi sobie już samo.

Naprzeciw okólnika koziego jest główny budynek inwentarski. Wchodzę do koziarni.

Czysta; stajenka na podłodze, ze ściekami dobrze urządzone.

Koza stoi na podniesieniu, na czystej, suchej ściółce.

Żłoby są z grubego drutu, tak urządzone, że koza na zewnątrz klatki okratowanej musi wysunąć głowę po paszę, którą zajada. Jestto celowe urządzenie żłobów takie właśnie, bo koza lubi skakać swobodnie i nieraz zanieczyszcza zwykły żłób, a potem jadła już nie tknie,

bo się brzydzi zanieczyszczoną paszą. Trzeba więc w jej własnym interesie bronić jej dostępu do żłobu.

Jada niezbyt wiele, trochę osypki owsianej i trawę, zielsko; unikać trzeba dawania ziół mocno pachnących, jak kminek, lub szczypior od czosnku i cebuli, bo to wpływa na zmianę smaku mleka.

W koziarni musi być wzorowa czystość, bo inaczej mleko nabierze zapachu nieprzyjemnego, którego przy dobrem utrzymaniu koziarni — niema.

— „Tutaj jest doskonale powietrze, czuje się jedynie zapach trawy i ziół”, robię uwagę.

— „Tak, — bo u nas bardzo się tego przestrzega.

Jak zacząłem chować kozy, miałem uprzedzenie do wstrętnego zapachu ich mleka. Okazało się jednak, — że porządne utrzymanie stajenki zupełnie temu zapobiega.”

Trafiłam na chwilę dojenia.

— „Ciekawam, jaki to z tem kłopot?”

— „O, żadnego, — informuje właściciel — nasze kozy są zupełnie dobrze wychowane. Zaraz się pani o tem naocznie przekona”.

Siadamy na małej ławeczce koło drzwi stajenki.

Mała panna Nadachowska otwiera drzwi okólnika, a wchodząca stara służąca parę razy zawołała: Wichra! Wichra!

Posłyszawszy ten głos, śliczna biała koza, z różowem nabrzmałem mlekiem wymieniem, z wielką powagą przeszła do otwartej stajenki, poczem zgrabnie wskoczyła na podwyższenie i zatopiła pyszczek w skopek z trochę otrąb owsianych.

Dojarka tymczasem umyła jej wymię, otarła czystą ścierką i zaczęła doić pieniste mleko w aluminiowy rondel.

— „O kozie mleku różne złe rzeczy się opowiada, — może pani odważy się spróbować,” — poprosił przekonywująco gospodarz.

Nie chciałam robić mu przykrości odmową, a przytem proces dojenia był tak bez zarzutu, że nabrałam odwagi, poprosiłam o szklankę i skosztowałam.

Mleko miało zapach zielny, jaki miewa i mleko krów z górskich okolic, było gęste jak śmietanka, a więc doskonale w smaku.

Przekonałam się, że tak zwany charakterystyczny zapach koziego mleka, to przesąd, a raczej to wytwór warunków, w jakich kozie to mleko wydawać każe niedbały o czyste jej utrzymanie hodowca.

— „Zrobiłem pani cały wykład o kozach — których chów, z serca i z doświadczenia, radzę pani rozpowszechniać wśród biedoty małorolnej i robotników, a teraz może przejdziemy do królików, to też inwentarz biednych ludzi.”

— „Doskonale, — jestem gotowa z całą uwagą słuchać wykładu o królikach.

Przedewszystkiem jakie rasy pan chowa?”

— „Mam te, które specjaliści w zakresie tej hodowli uważają za najodpowiedniejsze.”

Podchodzimy do klatek odrutowanych, bardzo przewiewnych i zaczyna się prezentacja:

— „O, widzi pani — to są olbrzymy wiedeńskie, lepsze od belgijskich, u nas rozpowszechnionych. Pochodzą z Moraw, ale Wiedeńczycy w swych hodowlanych pracach, przez krzyżowanie ras ciężkich, doprowadzili je do wagi 6 kilo, przyczem rasa ta daje z powodu jednostajnej stalowej barwy futro, naśladowujące popielice, a więc futro bardzo cenione.

Druga rasa, to srebrzyste jasne, — rasa to bardzo rozpowszechniona w całej Europie. — Z ich futer fałszują skiny, a więc futro także dość drogie.

Jest to królik średniej wielkości, łatwy do hodowli — przez amatorów hodowców bardzo ceniony”.

Pytam się, gdzie króliki zimują. Okazuje się, że w tych samych klatkach, jeno opakowanych słomą.

Utrzymanie klatek bardzo czyste. Jadło: osypka owsiana, trawa, liście kapusty i salaty, w zimie kartofle i buraki pastewne gotowane, siano i koniczyna jako wielki specyal.

W chwili, gdy oglądałam ową hodowlę, było 6 samic wiedeńskich, 5 samic srebrzystych i 2 samców.

W ciągu roku będzie do 200 sztuk, bo takie to mnożne. Na rzeź pójdzie 150 sztuk, kilkadziesiąt sprzeda się jako materyał hodowlany członkom Kółek rolniczych, kilkanaście zostanie na chów dla siebie.

— „Po czemu można zbyć mięso królików i jaka jest waga jednego królika?”

— „Sztuki ważą od 1½ do 2 kilo, po 1 koronie za kilo sprzedaje się mięso.

W tym roku ponieważ jest możliwe, że nie da się sprzedać na miejscu wszystkiego mięsa, żona ma ochotę spróbować robić paszety w puszkach, na sposób niemiecki i w takiej przeróbce otrzymuje się cenę wysoką 6 koron za kilo (kilo = prawie 2 i pół funtom).”

— „A futerka po czemu pan sprzedaje?”

— „Po 2 korony za sztukę.”

— „Jaki dochód w tym roku przewiduje pan ze swej króliczarni?”

Wyjmuje notes z kieszeni i robi rachunek, z którego okazuje się, że — po potrąceniu kosztów hodowli i zużytych na dom sztuk — króliczarnia w Nadachówce da w tym roku 325 koron.

— „Zarobią tę ładną sumkę dzieci — ot zabawką!”

Zainteresowanie moje w miarę tych opowieści i cyfr o okazałej dochodowości—rośnie, co widząc, uprzejmy hodowca—amator dodaje:

— „U nas sprawą hodowli królików interesują się już Kółka rolnicze. — Tow. Krakowskie ma stacye hodowlane królicze, jest już ulotna literatura, a pod Lwowem mamy u pana Szajnowicza wzorową hodowlę królików.

Tenże pan Szajnowicz jest pierwszym u nas inicjatorem tej hodowli.”

Dowiaduję się dalej, że w Dreźnie jest firma Cerbik, wyrabiająca urządzenia dla drobnego inwentarza.

Stamtąd należy sobie sprowadzać wzory klatek, żłobów, pudelek, by potem odrabiać je siłami majstrów miejscowych.

Wracając od klatek z królikami w podwórze, słyszę charakterystyczne pochrząkiwanie.

— „Chowa pan i świnię na opas, czy „systemem cyckowym?” — pytam, przechodząc do innego działu, tego szczególnego gospodarstwa.

— „Proszę pani, ja nie pozwalam sobie na żaden romantyzm w dziedzinie gospodarki w Nadachówce, — chcę, aby wszystko, co tu jest, niosło mi dochód i to dochód duży. Świnię, jak pani widzi, są rasowe westfalskie, hodowla więc głównie na prosięta, obecnie bardzo małeńka, bo świeżo, ja biedny chudopacholek na 2 i pół morgach, ratowałem swego dziedzica milionera, któremu właśnie padło 600 sztuk w świeżo postawionej chlewni.

W chwili rozgoryczenia tą wielką stratą, dwór zwinął hodowlę na dochód, ograniczając się do hodowli na domową potrzebę i na początek zakupił sztuki im potrzebne odemnie.”

— „Jak dużo pan dostał za te świnię, sprzedane dworowi?”

— „Okrągłą sunkę 800 koron. Jak ją brałem w kantorze—nie obeszło się bez docinków

urzędników — aż zniecierpliwiony palnąłem im niezbyt grzecznie:

— Moi kochani, jak wy się w panów bawicie i w „brydża” gracie, to ja mam taką fantazyę, że udaję parobka i świniom jeść zadaję i chlewy im oprzątam—no, więc słusznie mi się dochód z chlewni należy.

A teraz chce pani aforyzmu, streszczającego mój pogląd na hodowlę świń?

To złoty interes, ale to przedewszystkiem złoty interes dla hodowcy - chłopa.”

Podobną opinię usłyszałam później w jednym z najlepiej prowadzonych gospodarstw folwarcznych w Wielkopolsce.

Ale widząc, że mam do czynienia z hodowcą praktykiem, podpytuję go jeszcze o to i owo.

A więc świnię, przez lato jedzą zieleninę z ogrodu z trochę osypki, mają dużo ruchu, — cały dzień przebywają na świeżem powietrzu w okólniku.

Chlewy urządzone bez żadnych specjalnych szyków, — ot takie, na jakie każdy chłop może się bez wielkiego kosztu zdobyć — podobne urządzenia widziałam też w stajence i w oborze.

— „Ponieważ moje gospodarstwo jest często lustrowane przez wycieczki członków Kółek rolniczych, więc ja się muszę i z tym względem bardzo liczyć.

Moje budynki są takie, na jakie każdy starrniejszy gospodarz, bez wielkiego nakładu zdobyć się może.

Niech pani zobaczy, ot proszę spojrzeć, nawet gnojownia moja nie ocementowana—ale sobie zwyczajna drewniana — gliną grubo oblepiona, nie przesiąka a tania—niewymyślna i dla chłopa dostępna.”

— „Widzę, że pan na seryo swoje gospodarstwo hodowlane przystosowuje do potrzeb gospodarki drobnej chłopskiej.”

— „A bo widzi pani praca z ludem rolnym — to znów mój jedyny romantyzm, z lat szkolnych wyniesiony. Wieśniak jestem z rodu, miałem iść na rolnictwo, byłem na praktyce gospodarczej w dobrym gospodarstwie, gdzie mnie do pracy nie na żarty pędzono, — ale potem trzeba było dla chleba zostać czem innym.

Praca na roli, praca z ludem, zawsze mnie ciągnęła jednak.

W skromnych rozmiarach po za mechaniczną pracą biurową, stworzyłem sobie jedno i drugie tutaj w Nadachówce. Widzi pani, nie mogę beczynnje patrzeć na naszą galicyjską nędzę i bodaj że gorsze od niej niedołęstwo i bezradność, więc jak tu przyszedłem, zakrzętałem się, skupiłem ludzi. rozruszałem ich, może trochę miałem więcej impetu w robocie i to pociągnęło, — nie wiem, — dość, że się udało założyć w sąsiedniej wsi gospodarskiej w Okocimiu Górnym Kółko rolnicze, kasę, sklep Kółka, Dom ludowy, to potem miałem istne utraipenie z chłopami. Wszystkie te instytucje chrzcili mojem imieniem i chcieli mi koniecznie poselską godnością za spełnienie prostego obowiązku zapłacić.

Niecierpliwili mnie ich podpytywania co do poselstwa i nieraz niejednego zwymyślałem za to i oświadczyłem, żeby sobie taką godnością dla mnie nie zawracali głowy, bo jej nie przyjmę.

Zrobiło to na nich bardzo dobre wrażenie i odtąd ich zaufanie do mnie bardzo wzrosło.

Wszystko, co lepsze w onej wsi, skupiło się koło instytucji, które zostały założone i widać już tam duży postęp.

Jutro na posiedzeniu sądu rozjemczego pozna pani niektórych ludzi z Kółka i obejrzy to, co tam udało nam się zrobić w okresie niezbyt długim, bo ośmioletnim."

— „Doskonale,— więc jutro przeznaczamy na poznawanie tej wsi gospodarskiej — którą udało się panu rozruszać, a teraz może jeszcze dokończymy zwiedzanie pańskiej zagrody."

Zbliżamy się do stawku, zaczynam się więc pytać o stan jego służby.

— „Jest zarybiony od lat trzech, w pierwszym roku dał dochodu 30, w drugim 42 korony, w trzecim roku już 58 koron."

— „Jaka jest jego przestrzeń, wydaje się taki maleńki?"

— „Ma 220 metrów kwadratowych przestrzeni, zarybiony karpami lustrzanymi."

Wchodzimy w sad.

Są w nim drzewa owocowe z trzech szkółek. Na gruncie tutejszym najlepiej się sprawują drzewka ze szkółki p. Brunickiego z okolic podkarpackich z Podhorec. Sad, prowadzony handlowo, ma 6 gatunków jabłoni z niewielką domieszką śliw, grusz i czereśni. Sadzone w odstępach 10 metrów, co cztery rzędy jednolitych drzewek idzie rząd gatunków mieszany dla łatwiejszego zapylenia, by uniknąć niebezpieczeństwa, jakie się trafia wielkim handlowym sadom amerykańskim, które nieraz kwitną świetnie, a nie owocują.

— „Jak dużo ma pan drzewek w tym sadzie?"

— „250. Sad ma lat 10. W przecięciu w tym roku drzewka dadzą mi po 2 korony dochodu, choć będą naturalnie i takie, które przyniosą i po 6 koron."

Pomiędzy drzewkami—uprzejmy gospodarz pokazuje mi kalwile tyrolskie,—dojrzewają one

i w Galicyi, oglądam też i karty węgierskie, które już w 3 roku rodzą dość obficie.

— „Czy uprawa jarzyn nie oplaca się, bo zdaje mi się, że pan hoduje je tylko na własną potrzebę?”

Okazuje się z odpowiedzi, że produkcya jarzyn, obciążona w pewnym stopniu opłatą najemnika, nie oplaca się, nie mogąc wytrzymać współzawodnictwa z kobietami wiejskimi z niezbyt oddalonej wsi Ujścia Solnego, które na dużą skalę warzywnictwem się zajmują i zaopatrują i tamtejszy najbliższy, a zarazem największy rynek w powiatowym mieście Brzesku.

Na zbyt sadzi się więc trochę kapusty, bo to jeszcze przynosi dochód.

Przegląd szczegółowy tego maleńkiego, ale w wysokiej już kulturze będącego gospodarstwa, zabrał sporo czasu; — dzieci przypominają nam, że pora wracać na obiad i idą pomagać zaprzęgać kuca.

Gospodarz pokazuje mi miejsce na przyszły większy dom, w którym jako emeryt zamierza na stare lata zamieszkać. Potem przypatrujemy się burakom pastewnym, które piele właśnie trójka wiejskich dziewcząt, gospodarz oblicza mi imponujący przypuszczalny zbiór z tej malej, na pręty kwadratowe liczonej przestrzeni, ale ponieważ opowiada mi jednocześnie, jak tym burakom dogodził, więc słucham bez cienia niedowiarstwa tych bajecznych cyfr.

Na wsiadanem już epizod jak z komedyi, zjawia się sąsiad, jakiś zgryźliwy staruszek, po flance selerów. Pan Nadachowski oświadcza, że selery są i że napewno ich dostanie, ale to wydział żony, więc ona sama dzisiaj po południu to załatwi.

Ale stary rozgląda się ciekawie i powiada.

— „Jak ja się tu wybrałem do pana, to sobie tu trochę polażę, — popatrzę, może się

czego nauczę i wytchnę trochę na lawce na słońcu, — niedawnom się z choroby podźwignął, to mi zmęczenie szkodzi.”

— „Ależ bardzo proszę, — my jechać zaraz musimy, ale pan niech sobie zlustruje wiosenny urodzaj, proszę spocząć, na tej ławeczce będzie wygodnie—powiada uprzejmie gospodarz. — Zostałbym tu z panem na gawędę, ale mam gościa z Królestwa, który ma marszrutę na cały dzień wytkniętą, czekają już tam w domu u mnie różni ludzie, aby się po południu tą panią zapiekować i różne rzeczy u nas jej pokazać jeszcze.”

Stary zaczyna mi stawiać pytania, w końcu konkluduje.

— „Po mojemu”, to jak pani obejrzała dokumentnie Nadachówkę, to widziała pani największą tutejszą osobliwość i największego naszego „cudotwórcę”.

— „Sąsiad pamięta, jak tu zaczynałem gospodarstwo i zawsze mi tak dogaduje,”—objasnia p. Nadachowski.

— „Czy naprawdę, tak tu było źle na początku?” — podpytuje staruszka - sąsiad.

— „Tutaj, proszę pani, był taki kawałek pastwiska, że jak bydło wygnano, to pilnowano, żeby krowy tu nie zachodziły, bo jak która tu pomknęła się, to trza było czempredziej z drągami za nią lecieć i ratować nieboraczkę od śmierci w błocie.

Tak tu było; — ja się na to błocko zdradliwe nieraz patrzył, to też nie mogę się nadziwić dzisiaj, co to rozumem i wytrwałością człowiek pokonać może i do czego dojść.”

Staruszek rozgawędził się, słuchałabym go chętnie, ale czas wracać, więc sadowimy się na bryczkę, ciaśniej jest teraz trochę, bo wieziemy jarzyny na kolacyę i pęki kwiatów. Nikt się jednak na to nie skarży, a najmniej ja, u

której na kolanach siedzi śliczny pięcioletni chłopaczek, ruchliwy jak wiewiórka.

Przyjeżdżamy na czas, przy obiedzie dowiadujemy się od pani domu, że przez telefon dopytywali się o turystkę z Królestwa: urzędnik z browaru w Okocimiu Dolnym i p. administrator dóbr barona Götza, prosząc o naznaczenie godzin zwiedzania.

— „To co pani zobaczy dzisiaj po południu — mówi gospodarz — nie wiąże się ściśle z wytkniętą przez panią marszrutą, ale niemniej jest godne zwiedzania, a że w oczekiwaniu na posiedzenie owego wiejskiego sądu rozjemczego ma pani czasu dosyć, więc radzę zwiedzić i nasze wielkofolwarczne gospodarstwo i największy w Galicyi browar.”

Naturalnie godzę się z tym poglądem i zdaję się na gospodarza co do rozkładu godzin i skomunikowania mnie z tymi panami, którzy mają być mymi przewodnikami po folwarku i browarze p. barona Götza, o którym, jako o dbałym o swych pracowników chlebobawcy, nieraz słyszałam i czytałam pochlebne opinie.

---

## Wielkofolwarczne gospodarstwo w Galicyi.

Dobra zwane Okocimem Dolnym, leżące w brzeskim powiecie Galicyi, to własność niegdyś niemieckiej, dziś spolszczonej rodziny Götzw-Okocimskich.

Jest tam największy browar w całej Galicyi, a 5-y z rzędu co do wielkości w Austrii. Stara ta firma istnieje od r. 1840. Przedsię-

biorstwo browarne stale się rozwija i doskonali, przyswajając sobie ostatnie wyniki techniki i wynalazków przemysłu piwowarskiego.

Wszędzie widać czystość wzorową, wentylacja urządzona doskonale, a nawet w urządzeniu niektórych oddziałów ujawnia się pewien zbytek; widoczna też dbałość o wprowadzenie do zakładu przemysłowego pierwiastku piękna. Rocznie browar okocimski wyrabia 400 000 hektolitrów piwa w 5 gatunkach, zatrudniając stale około 600 robotników.

Browar ma swoją kolejkę podjazdową i dziennie wysyła 5-6 wagonów piwa. Ponieważ Galicya, choć kraj rolniczy, jęczmienia nie produkuje, więc na potrzeby tego browaru brano go jakiś czas od ziemian z Królestwa, — obecnie — od Czechów.

Butelki sprowadzane są aż z Gratzu (Hradcu), bo choć były w pobliżu dwie krajowe huty szklane, ale zbankrutowały, pomimo że — podobno — browar w Okocimiu starał się je ratować.

Huty krajowe nie wywiązywały się — jak mię informowano — nigdy solidnie ze swych zobowiązań: szwankowały zwłaszcza w punktualności dostaw.

Rzecz charakterystyczna, oto potłuczone butelki z okocimskiego browaru kupuje przemysłny żydek z Królestwa, z Częstochowy i przerabia ten szmelc szklany następnie w swej hucie.

Widząc olbrzymie zapasy klepek dębowych, przeznaczonych na barylki, pytam o ich źródło i dowiaduję się, że pochodzą one z wielkiego klucza szlacheckiego z pod Brodów, który niedawno kupił żyd.

Nabywca ten za las zapłacił 11 milionów guldenów.

Jeszcze lasu całego nie wyciął, a już *pieniądze żapłacone odzyskał* i zupełnie darmo doszedł do posiadania kilku dużych folwarków.

— „Takie to interesy umieją robić nasi panowie”, \*) — kończy swoją opowieść urzędnik, który mnie oprowadza.

Widzę jednak, że i właściciel Okocimia Dolnego, baron Götz, nie zawsze robi dobre interesy.

Snąc polski sentyment osłabił już w nim trochę przysłowiową niemiecką bezwzględność w interesach.

A oto dowód romantyzmu tego przemysłowca.

Zwiedzając bardzo dokładnie całą tę wielką fabrykę, zadziwiona zostałam działem bednarzy.

Tak nie pasował swem pierwotnem urządzeniem do innych działów, tak widoczną była w nim jeszcze przewaga sił fizycznych robotnika, podczas gdy w innych działach panuje już wszechwładnie maszyna, a robotnik zeszedł do skromnej roli jej pomocnika.

Nie mogąc sobie wytłómaczyć tego zjawiska, zwróciłam się po wyjaśnienie do mego przewodnika.

— „Ten dział musiał zwrócić pani uwagę, jest on u nas anachronizmem i to sztucznie pielęgnowanym.

Ale, widzi pani, podnosząc go na poziom urzędzeń współczesnych, musielibyśmy odprawić kilkudziesięciu bednarzy małorolnych z pobliskich wiosek.

Bednarstwo okoliczne jest rzemiosłem, które myśmy tutaj wytworzyli, wobec tego mu-

---

\*) Jaskrawą ilustracją do tej gospodarki jest powiat zaleszczycki, w którym 88<sup>0</sup>/<sub>10</sub> ziemi folwarcznej jest już obecnie w rękach żydów.

simy czekać na wymarcie ich: oni sami rozumieją, że ich zawód nie ma dzisiaj racji bytu.

Stopniowo w miarę ubytku sił roboczych zaczniemy wprowadzać maszyny i do tego działu.<sup>7</sup>

Chodząc po różnych działach tego wielkiego przedsiębiorstwa, zwracam baczną uwagę na wygląd ludzi.

Z nader małymi wyjątkami wszyscy wyglądają na ludzi, którym się dobrze dzieje.

Znać na nich dobre odżywianie i dostatek.

Placę mają wysoką, dostają też mieszkanie i opał oraz światło.

Otrzymują też i deputat, wynoszący 4 litry piwa dziennie.

Ma to swoje fatalne następstwa w rodzinach robotniczych.

Oto niektóre nierozsądne matki, a żony robotników browarnianych, dają nieraz małym dzieciom pić piwo, a dzieci szkolne na śniadanie dostają od swych matek szklankę piwa i kawałek chleba, gdyż matce jest czasem dogodniej nie gotować wcześniej gorącego śniadania.

Rzecz prosta, że w takich sprzyjających warunkach duża ilość dzieci nabrała tam pijackiego nałogu, a i starsi nierzadko oddają się w niewolę tej używki, — rozpijają się i popadają w ostateczną nędzę.

Ci jednak, którzy mają wolę silniejszą, organizmy odporniejsze i miarę w używaniu alkoholu zachować umieją, dochodzą w Okocieniu do dużego dobrobytu.

Ta uprzemysłowiona wieś wygląda jak miasteczko; pełno w niej ładnych, murowanych domków w ogródkach, które należą do robotników. Wszystkie prawie takie posiadłości zostały przez nich postawione z oszczędności, zrobionych na pensyi i z przychówku (głównie

świń), sprzedawanego w części,—ale i przy pomocy dogodnych pożyczek z kasy fabrycznej. Z tej kasy robotnik browarniany ma prawo wziąć i 1000 koron pożyczki bezprocentowej, by następnie spłacić ją niewielkimi ratami (po 20 koron miesięcznie).

O potrzeby robotników w tem przedsiębiorstwie przemysłowem bardzo się tam troszczą.

Mają oni swoją salę zebrań, orkiestrę, teatr amatorski, a w browarze jest przyzwoicie urządzona jadalnia i sypialnia dla tych, co nie odchodzą na obiad i chcą się zdrzemnąć lub wcześniej przyjdą na zmianę i czekają na swoją kolej pracy.

Urzędnicy browarni, doskonale uposażeni, mają zasobną, dobrze prowadzoną bibliotekę, a obecnie zbierają fundusze i składki w książkach na bibliotekę popularną dla robotników.

Tak się przedstawia browar—a jak folwark?

O ile chodzi o stosunki folwarczne ze służbą dworską stałą, to i tam dbałość o służbę tę jest duża, godna uznania tembardziej w Galicyi, gdzie naogół służba folwarczna jest ze wszystkich ziem polskich najgorzej wynagradzana i najobojętniej traktowane są jej potrzeby. W Okocimiu domki parobków — to niby piękne wille w stylu zakopiańskim z podwórkami i miejscem na ogródek.

Izb w nich jest po 2-3.

Okazuje się jednak w praktyce, że w tych schludnych izbach parobek galicyjski czuje się nieswojo, za widno mu w nich, za przestronno, zanadto „po pańsku”.

To też dzieją się nadużycia.

Parobcy przyjmują komorników na mieszkanie „kątem”, a pomimo, że mają odpowiednie budynki na to, drób trzymają w izbach.

I zwykle tak bywa przy niespodziewanem zwiedzaniu ich mieszkań że najlepiej przedsta-

wia się kuchnia i druga izba, no bo tam się w nich mieszka — żyje, a najgorzej ostatnia, która miała być przeznaczoną na miejsce odpoczynku dla strudzonego pracą parobka, do przyjęcia gości, rodziny, w razie choroby i t. p.

Tam, niestety, w onej izbie, którą parobczańska rodzina uważa za zbyt dobrą dla siebie, można spotkać najgorszy porządek, mały drób płacze się po izbie niezamiecionej, kwoki siedzą na jajach, jakieś bezużyteczne graty leżą po kątach.

Chodząc po tych czworakach, tak ładnych zewnątrz, — dobrze nawet rozplanowanych, z dużą troską o wygodę mieszkańców budowanych, robiło się spostrzeżenie takie:

— Są one dobre w teorii, byłyby zupełnie na miejscu w Poznańskiem, może w niektórych dobrze administrowanych majątkach w Królestwie, ale w Galicyi, w praktyce dla tych mieszkańców, którzy w nich przebywają, okazują się niedopasowane do skali ich potrzeb.

Mieszkania parobków w Okocimiu od czasu do czasu nawiedza rządca, który robi zonom ich uwagi co do czystości i utrzymania w porządku izb.

Sądzę, że to nie na wiele się zda, tu byłby potrzebny jakiś wpływ stały, a przede wszystkim zbudzona w samych żonach parobków świadomość, co do istotnego znaczenia powietrza, światła, czystości w mieszkaniu i całym obejściu, oraz umiejętność sprzątnięcia mieszkania i t. p.

Organizowało się tam właśnie Kółko „Matek Chrześcijańskich”, może ono to zrobi, o ile nie ograniczy się do działalności czysto religijnej i dobroczynnej i urządzić będzie pogadanki z tantejszemi kobietami i pouczać je będzie o wszystkim tem, co wiejska kobieta, choćby nawet była żoną dworskiego parobka, wiedzieć potrzebuje, by mogła spełnić swe skromne a

jednak tak ważne zadania: żony, matki, gospodyni, sąsiadki. Tak dbały o służbę folwark, jako gospodarstwo folwarczne przedstawia dziwny i zaiste w swoim rodzaju pouczający obraz gospodarstwa, prowadzonego „po akademicku”.

Budynki na głównym folwarku, jak pałace a niewygodne, a niepraktyczne, jak często bywają pałacowe urządzenia.

Budynki gospodarcze wspaniałe, zkanalizowane, oświetlone elektrycznością.

Obora, z której bez wielkich zachodów dałoby się urządzić salę balową lub koncertową, niepraktyczna bo zimna w zimie, a gorąca w lecie.

Rozmaite rażące usterki w tych zabudowaniach dowodzą, że planowali te budynki nie gospodarze praktycy, lecz sami jacyś teoretycy, którym mniej chodziło o celowość i praktyczność urządzeń, a więcej o harmonię i estetyczne względy. Jakoż tak i było.

Co do gospodarstwa rolnego to i ono nie miało dotąd szczęścia dostać się na czas dłuższy w dobre ręce. Pola zachwaszczone,—urodzaje liche, jedynie ładne sztuczne pastwiska wpadły mi w oczy w czasie pobieżnego przeglądu. Folwarczne gospodarstwo jest w Okolicimiu Dolnym „na utrzymaniu” doskonale zyski dającego browaru i to je może demoralizuje do pewnego stopnia.

Pokazywano mi śliczną, z pałacowym szykiem postawioną, chlewnię ale pustą.

Świeżo przeszedł po niej pomór i wymiółł co do nogi 600 sztuk świń rasowych westfalskich, jakie się tam mieścily pod opieką prowadzonego z Hesyi specjalisty.

Placono temu dozorczy świń 3000 koron rocznie, wymagano nadmiernej pracy, a jego wychowankom nie dano podstawowego warun-

ku do istnienia, bo chlewnię postawiono na gruncie bardzo wilgotnym bez uprzedniego zdrenowania go.

Nadmiar pracy, zwalony na barki jednego człowieka, i niepowiednie pomieszczenie zemszcilo się na lekkomyślnej administracji majątku.

Obecnie zarząd majątku, tą wielką stratą zniechęcony do dochodowej hodowli świń, zamyka się w obrębie hodowli tylko na swoją potrzebę, a chlewnia przerabia się tam na wolownię.

Administracja pociesza się tem, że bogaty dziedzic-piwowar wytrzyma jeszcze jeden więcej kosztowny a niefortunny eksperyment na terenie gospodarki folwarcznej.

Dla wielkiej folwarcznej własności majątek ziemski barona Götza może być pouczającym przykładem, jak nie należy gospodarować pod dyktandem samych mądrych teoretyków.

---

## Sprawnie działające Kółko rolnicze.

Drugiego dnia mego pobytu u pp. Nadachowskich wybraliśmy się w parę osób do sąsiedniej wsi gospodarskiej, Okocimia Górnego.

Zaszliśmy tam najpierw do „Bazaru” Kółka rolniczego, a potem pokazano mi zawartość szopy, w której mieścił się spółkowy majątek członków Kółka.

Był tam siewnik, młynek, młockarnia, brony sprężynowe, plugi planety, a tego dnia oglądali właśnie gospodarze świeżo nabytą lekką grabiarke, jako że sianokosy były za pasem.

Członków ruchliwe to Kółko posiada 80, założone zostało przed 8 laty.

Członkowie, jeszcze przed związaniem się w Kółko rolnicze, nawozów sztucznych już używali, ale dopiero po związaniu stowarzyszenia rolniczego oświata zawodowa na dobre tam u nich krzewić się poczęła.

Zebrania Kółka z wykładami odbywają się w każdą niedzielę.

Parę lat temu staraniem Kółka powstał Bazar wiejski; niepozorny zewnętrznie ten sklepik jest bardzo dobrze zaopatrzony we wszystko, czego wiejski nabywca potrzebować może. Roczny obrot poważny, bo wynosi 60 tys. koron, czysty zysk 1500 koron.

Ceny niskie, towar dobry utrzymują przy sklepie liczne zastępy wiejskich spożywców.

Obok sklepu, położonego w dobrym punkcie, bo tuż koło kościoła, przy drodze głównej ruchliwej parafii, jest urząd gminny; tam też ma swoją siedzibę Kasa Rajffeisena, która jeszcze wielkich obrotów nie robi, ale wielu już ludzi ze szpon lichwiarskich wyciągnęła, wielu ludziom domy pobudowała i do drobnych przedsięwzięć dopomogła.

I tę kasę zrodziło na swych żywotnych posiedzeniach Kółko rolnicze.

Dalej, ono pierwsze zrozumiało pożytek ze Spółki rybnej w Łoniowych i gospodarze tamtejsi, a członkowie Kółka, zarybili mokre nieużytki, jakie mieli i przystąpili do Spółki rybackiej w Łoniowych z 4-ma stawkami.

Życie Kółka rolniczego skupia się w „Domu Ludowym”, postawionym staraniem członków, przy pomocy obywatelskiej, bezprocentowej pożyczki, wynoszącej 5 tys. koron, udzielonej przez p. barona Götza, najbliższego sąsiada tej wsi gospodarskiej.

„Dom Ludowy” ma sporą, ładnie udekorowaną dobrze dobranymi obrazami — salę ze sceną, ma bibliotekę Tow. „Szkoly Ludowej”.

Przed „Domem Ludowym” jest spory plac z ogródkiem, a naokoło śliczny i rozległy widok na podkarpackie wzgórza.

Na parę dni przed mojem przybyciem był tutaj obchód konstytucyi 3 maja, z bogatym programem, wykonanym siłami miejscowemi; zakończono go składką na Tow. Szkoły Ludowej. Zebrano sto kilkadziesiąt koron. Hojnie i chętnie dawali przy tej okazji na tę oświatową instytucję i włościanie. Świadczy to o rozbudzeniu uświadomienia narodowego tutejszego ludu wiejskiego.

O dobrej rolniczej orientacyi tutejszych włościan świadczy znów to, że członkom Kółka rolniczego udało się przekonać całą gromadę w Okocimiu Górnym o potrzebie odwodnienia pól; założono więc tam po 3 latach pracy przygotowawczej „Spółkę drenarską”, która na jesieni przystąpić miała do tej ważnej melioracyi.

Gdy chodzi o kupno lub sprzedaż, ruchliwi kółkowicze tutejsi starają się omijać pośredników i o ile to możliwe sprzedają swoim i kupują od swoich.

Co jest w nich godne zaznaczenia—to, że chwalić się swoją pracą nie lubią, ale pracę tę już ukochali i wytrwale przy niej stać zdaje się będą, choć i oni mają dookoła siebie takich, co się jeszcze pytają, „a co mi Kółko da?”

Takim mogą już tam odpowiedzieć, że dało ono już dla wszystkich: Kasę Rajffeisena, Dom Ludowy, Spółkę drenarską, filię Spółki rybnej, wprowadziło spółkowe używanie droższych maszyn rolniczych, a przede wszystkim zbudziło do pracy twórczej myśl tamtejszej gromady.

Najświeższym pomysłem tego Kółka było powołanie tam do życia gminnego sądu roz-

jemczego. Na sędziów wybrano 5 członków Kółka, najbardziej wyrobionych, zażywających nieposzlakowanej opinii.

---

## Wrażenia z posiedzenia Sądu Rozjemczego.

Mała, niska stacyjka obok Bazaru Kółka, gdzie urząd gminny ma swe posiedzenia, gdzie Kasa Raiffeisena ma swe dni urzędowania i kasę ogniotrwałą.

Wchodzi się do tego niepozornego sekretaryatu wiejskiego przez sień, w której mają chwilowy przytułek worki z mąką i paki z towarami, bo jest to przygodny skład Bazaru Kółka. Ściany niewielkiej stancyi obwieszono poglądowymi tablicami z zakresu sadownictwa i rolnictwa.

Wchodzi z p. Nadachowskim, członkiem sądu rozjemczego i to bardzo ważnym, bo pełniącym czynności sekretarza.

Posiedzenie zaczęte: ksiądz proboszcz i dwóch członków, a między nimi okazały wójt, rozpatrują właśnie pierwszą sprawę między właścicielką gruntu, rezolutną gospodynią wdową, a dwoma komornikami, co jej ten grunt obrabiali.

Winna im oddawna 8 koron i zwłóczy z oddaniem. Sprawa bardzo prosta względnie szybko zostaje załatwioną.

Oczywiście gospościa zostaje skazaną na zapłacenie należnych pieniędzy najemnikom, a termin ostateczny tej wypłatyznaczony za 2 tygodnie.

Przychodzi na wokandę sprawa druga więcej zawiła.

Dwóch chłopów: jeden rolnik, drugi cieśla, sprzęgli się razem i furmanili na przemianę. Szło to niezłe zrazu, póki jeden z nich nie zachorzał, a jego „baba” nie zaczęła podejrzewać o szachrajstwo współnika.

Ta sprawa obfituje w wiele momentów ciekawych.

Ma się wrażenie, że jeden z tych współników to jeszcze względnie uczciwy człowiek i za zgodą choćby słomianą będący, drugi bardzo szlachetne rzeczy o sobie opowiada, ale poznać łatwo, że to stary wyjadacz, zionący złością i zawiścią przeciw swemu do niedawna przyjacielowi, któremu winien 80 koron, pożyczonych na kupno konia.

Ta sprawa ma masę pobocznych rachunków, bo to jeden był wóz, ale różne jego części do obu współników należały.

Wynikają z tego zabawne wymówki.

— „A to ja kazałem Kukulce tak jeździć, żeby mi „mój zad” na nic potłukł. co to teraz za wóz, po takim furmanie!” — mówi, urągając jeden z niedawnych serdecznych przyjaciół.

— „Pierwszy raz mam takiego współnika, za którego do furmańskich jego spraw „kobieta” się mięsza” — odcina się drugi.

Jest i taka chwila, że jeden drugiemu ową babę, do furmańskich spraw wtrącającą się, ofiarować chce, zamiast należnych koron.

Zrobione to jest w takiej formie, że aż przewodniczący proboszcz zbytnio hojnego męża do porządku przywołuje.

W końcu, gdy się obaj nagadali i opowiedzieli długo i szeroko, jakie to okoliczności towarzyszyły wypadkowi sprzężenia się ich dwóch do wspólnego woza, z dwoma końmi, zaczęto ich oględnie namawiać do zgody. Szło o zwrot 80 koron, pożyczonych za czasów przyjacielskich przez jednego z nich od drugiego, były też

rachunki dość pogmatwane drobne: a to jeden dał drugiemu ćwiartkę owsa i za kilkadziesiąt halerzy rozsady, — drugi nie zwrócił mu za parę jazd, gdy tamten leżał i sam na zmianę furmanić nie mógł.

Jest jednak i jakaś podstawa do wyprostowania tych rachunków, bo są zapiski w notesie u jednego, a strona przeciwna przyznaje, że są prawdziwe. Ostatecznie, po wielu wymyślaniach i warczeniu na siebie dwóch do niedawna zaprzyjaźnionych woźniców, zgoda — staje.

Naznaczony termin zwrotu pieniędzy za miesiąc i przeciwnicy, popatrując na siebie złowrogo, wychodzą z izby sądowej.

— „Oni się tu jeszcze do nas wrócą”, — mówi do mnie sekretarz, patrząc na nich przenikliwie.

Potem idzie sprawa między dwoma kumoszkami o obrazę czci.

Inwektywy słowne, jakie sobie zarzucają, są nie do powtórzenia, — zwroty pełne soczystego kolorytu, — zawziętość bab na siebie straszna, trwa ten stan już od pół roku.

Trzeci raz przychodzą na posiedzenie tego „sądu rozjemczego” i odchodzą, zjadając się oczami, wściekłe na siebie i jeszcze bardziej zacierzewione.

Jest taka chwila, że ksiądz, wyczerpawszy wszystkie argumenta, wstaje od stołu i podchodzi do nich w kącie izby pod piec, by cierpliwie z „chłopską” kołując i zachodząc z różnych stron, namówić je do zgody.

Baby, jakby tych racyi duchownej osoby nie słyszały; wymyślają sobie w najlepsze, i dogadują zajadle, a z pięściami przyskakują do siebie, o krok od księdza.

Wreszcie p. Nadachowski zabiera głos i proponuje:

— „Po mojemu”, to dość już długo gospodynie (tu wymienił nazwiska) gorszą wieś kłótnią swoją. Ja daję taki sposób na zgodę. Jak ta, co obraziła, spotka obrażoną, niech ją pięknie po chrześcijańsku imieniem Boskiem pozdrowi i idzie dalej swoją drogą, a któraby pierwsza kłótnię zaczęła, zapłaci jako karę 2 korony na biednych w gminie, a teraz dość mamy waszych sporów, podajcie sobie ręce na zgodę. Pierwsza poda rękę Legutkowa, jako że ona pierwsza zaczęła kłótnię.”

— „Ja już gotowa do zgody, ino oni jeszcze jej nie chcą,” — oświadcza jedna z kobiet pojednawczym tonem. Chwilę jeszcze słyhać handryczenie. ale zabiera głos wójt i tonem pełnym namaszczenia, choć pod wąsem uśmiecha się, też do zgody nawołuje.

Baby wreszcie ulegają, podają sobie ręce i godzą się na treść protokołu, który im p. Nadachowski odczytuje, a wójt dodaje z dobroduszną ironią.

— „A ja wama mówię, jak się będzieta mijaly, a nie będzieta pewne, czy was jęzory nie zaświerzbją, to weźta wody w gębę od wypadku. — Nie zaszkodzi taka „prześpieczność”.

Wszyscy wybuchają śmiechem, jeno obie zainteresowane czują się dotknięte na honorze i trzeba znów łagodnej, a stanowczej perswazyi proboszcza, by tę na nowo wzbierającą falę gniewu niewieściego zażegnać.

— „Co za sekutnice zatracone” — mówię o nich do p. Nadachowskiego w przerwie po ich wyjściu.

— „Co pani chce, — niewiasty z temperamentem, ta co najwięcej „pyskowała”, to przekupka; jeździ po odpustach z kukielkami, które sama wypieka i sprzedaje, — przecież taka musi mieć język nie od parady.”

— „A czy pan zauważył jej zimną krew, z jaką broniła swej czci z taką pomysłowością”.\*)

— „Rzeczywiście przytomność umysłu zdumiewająca.”

— „A teraz co będzie?”

— „A jeszcze jedna sprawa, między matką nieletniej dziewczyny a gospodarzem, który tej dziewczynie część zapłaty zatrzymał.”

— „Czy warto na to zostać jeszcze?”

— „Na pozór nic ciekawego, ale wie pani, te sądy obfitują w takie niespodzianki, że nigdy nie wiadomo, co wypadnie.

Niech pani jeszcze zostanie, zagarniemy potem księdza do nas na wieczór, opowie mu pani o stosunkach poznańskich: on młody jeszcze, do roboty społecznej się garnie, posłucha chętnie pani opowiadania o pracy swych konfratrów w tamtych stronach.”

Po krótkiej przerwie i jakim takim przewietrzeniu izby, sąd znów zasiada, występują strony. Baba dość wygadana — ale przeciętnie ograniczona, skarży gospodarza, że zgodziwszy na cały rok „za dziewczynę” do roboty jej córkę, (zahukaną 15-letnią może dziewczuszyne), odesłał ją jej na święta wielkanocne i z zasług miesięcznych 6 koron zatrzymał.

Gospodarz w odpowiedzi wyjaśnia, że sługę zgodził na Nowy Rok, ale godził ją nie do Wielkiejnocy, jeno na cały rok, bo mu przedewszystkiem w lecie do robót polnych potrzebna.

A że dziewczyna była nie najgorsza, to też jak przyszła Wielkanoc, a ona poprosiła, żeby chciała na te święta iść do matki, nie bronił jej.

---

\*) Na zarzut, że jako niezamężna miała dziecko-odpowiedziała z głębokim przeświadczeniem: „tylko uczciwa dziewczyna może mieć dziecko”.

Ale dziwił się, że nie wróciła. Pieniędzy nie zapiera, gotów je oddać, ale widzi mu się krzywda, że umowa została zerwana, bo gdzie on teraz znajdzie sługę. „Mnie ona na zimę nie była potrzebna, roboty prawie dla niej nie było.

A jak matka nie chciała zatrzymać dziewczuchy, powinna ją była odprowadzić.”

— „A jakże to miałam zrobić, kiej mi „wszystkie powiadały”, że nie powinnam do was nogi postawić, kiejście taki despekt mojej dziewczusze zrobili i na same święta Wielkij-nocy odesłali ją do domu.”

Okazuje się, że zaszło tu nieporozumienie, a dziewczyna padła ofiarą przesądów opinii wioskowej, której matka jej zbyt zawierzyła. Sprawa ta, dość charakterystyczna ze względu na ten moment karnego i bezkrytecznego ulegania opinii gromadzkiej—kończy się zgodą i zaplaceniem przez gospodarza należnych dziewczynie 6 koron.

Więcej spraw nie było, więc obrady prędko się skończyły. Ksiądz przed końcem wysunął się na majowe nabożeństwo, ale przedtem obiecał przyjść do p.p. Nadachowskich.

Wracamy w parę osób z tych „roków wioskowych”, a ja pytam o historię sądów rozjemczych w Galicyi.

Okazuje się, że w Austryi ustawa o tych sądach wprowadzoną została już w roku 1875. Do Galicyi jednak rząd ociągał się wprowadzać te sądy, motywując to: „nizkim stanem oświaty ludności wiejskiej”. Obecnie sądy takie w ilości 50 działają w różnych stronach Galicyi. W Okocimiu Górnym powstał ten sąd niedawno z inicjatywy nowego proboszcza ks. Krzemińskiego, rzuconej na zebraniu Kółka rolniczego.

Młody proboszcz, objąwszy nową parafię, uderzony demoralizacją swych owieczek, prze-

jawiającą się w sposób cyniczny w braku poczucia odpowiedzialności za swoje czyny, postanowił przy pomocy sądów rozjemczych rozpocząć wychowywanie swych zaniedbanych parafian na lepszych, uczciwszych ludzi.

Sposobność potem na takim posiedzeniu sądu, który właściwie przeświała uczynki, wyłamujące się z pod nakazów moralnych, jest — doskonała. Z tego stanowiska wychodząc, łatwo przyszło księdzu przekonać zarząd i wielu z członków Kółka o potrzebie zaprowadzenia takiego sądu na wsi.

Członkowie myśli tę rozpowiadali we wsi i przedstawili ją od siebie, jako wielką wygodę i wygodę tanią, bo zupełnie bezpłatną dla całej gromady.

A ponieważ chłop galicyjski wyrósł na darmochach i wielce jest na nie łasy, więc sąd bez kosztu — sąd, do którego nie trzeba daleko jeździć, bardzo się ludziom podobał. Gdy ci i owi zaczęli proboszcza nagabywać, a kiedy to one „sądy nasze”, „swojackie” radzić zaczną? — zmiarkował proboszcz, — że rzecz się udać może, bo ludność sama jej już chce, zapowiedział więc któregoś niedzieli, że na przyszłą niedzielę odbędzie się solenne nabożeństwo na intencję, żeby te sądy zawsze prawdziwie i sprawiedliwie, a nigdy krzywdzie niczyjej nie służyły i zapowiedział, że w parę godzin po nabożeństwie odbędzie się pierwsze posiedzenie tegoż sądu, żeby przeto strony, mające jakieś sprawy do załatwienia, stawily się przed sędziami, którzy od tego dnia zaczną pełnić swe obowiązki.

Wiedział ksiądz, że dobrze jest pociągać lud pewną wystawnością, postarał się też, aby otwarcie sądu rozjemczego odbyło się uroczyscie. Nie brakło więc dygnitarzy z powiatu, proboszczów z sąsiedztwa i t. p. Były mowy

różne. Ale głos miał każdy, a inicjator pilnie słuchał tego, co mówił o sądach lud sam. Jedna kobieta tak określiła, czego lud od sądu takiego pragnie:

— „Żeby to panowie taki sąd nam zrobili, co by się przed nim człowiek mógł wygadać do cna”.

To też sędziowie pozwalają na to wygadanie, jeno od czasu do czasu wtrąca to jakieś przysłowie, to przypowieść, to naganę lub wyjaśnienie zawilości moralnej, a że sądy ciekawią wieś, więc zwykle jest osób więcej, niż zainteresowanych w sprawie sądzienia.

Zarówno więc zainteresowani, jak i ci, co słuchają, wynoszą niejedną naukę moralną, niejedną poradę, jak po sprawiedliwości w danym razie wypadałoby zrobić.

Sądy te w Okocimiu Górnym, w chwili kiedy tam byłam, istniały dopiero od paru miesięcy, osądzono już jednak przeszło 40 spraw, niektóre z nich rozstrzygały dość poważne spory np. zatarg o sumę 600 koron.

Nie było dotąd wypadku, by ktoś się usunął od wyroku sądu i nie wykonał go.

Sądy te mają egzekutywę tak jak i inne, ale dotąd nie potrzebowały się do niej zwracać, bo ich orzeczeniom ludzie dobrowolnie posłuchają.

---

## Działalność wiejskiego dworu.

Niedaleko Krosna zwraca uwagę ładna wiejska rezydencja Jedlicze.

Stary dwór z wielkim smakiem urządzony i park o wspaniałych, niezrównanej piękności starych dębach i jesionach.

Gospodarstwo uprzemysłowione, głównie hodowlane. Świnie yorkshiry i krowy simenthalery hodowane są tam, przy subwencji Towarzystw rolniczych i pod kontrolą instruktorów hodowlanych, w wielkich ilościach na potrzeby hodowli włościańskiej.

Dwór ten jest więc źródłem, z którego Kółka rolnicze i gospodarstwa chłopskie biorą materiał hodowlany świński i bydłęcy.

Trzy folwarki w dużej kulturze mają płodozmian zupełnie przystosowany do typu gospodarstwa hodowlanego; — prawie więc nie sprzedają zboża; — natomiast sprzedają duże ilości bydła i świń, i to po cenach wysokich, jako rasowy materiał hodowlany.

Są tam piękne sztuczne pastwiska i w dużej kulturze łąki.

Państwo Stawiarscy, właściciele Jedlicz, są ludźmi bardzo bogatymi. Duże dochody daje im oprócz trzech folwarków — nafta, którą mają na swoim terenie. Państwo bezdzietni, bardzo pobożni, to też pan buduje własnym kosztem wielki kościół w Jedliczach, a pani urządza dość kosztowne rekolekcyje dla nauczycielek ludowych, sodalisek ze swego okręgu.

Co mnie pociągnęło do nawiedzenia tego dworu?

Oto takie rzeczy: wiadomo mi było, że tutaj z powodzeniem wskrzesza się przemysł ludowy i propaguje się wiedzę rolną i uświadomienie społeczno - obywatelskie wśród włościanek.

A o kobiety specjalnie tam dbać trzeba, bo na ich głowie spoczywa więcej obowiązków, niż gdzieindziej.

Latami nieraz prowadzić one muszą gospodarstwo całe, bo mężczyźni, z tego najstarszego okręgu nafciarskiego w Galicyi, są wielce poszukiwani, jako zdolni wiertacze, na rynku

wszechświatowym. Pracują nawet w Kanadzie, na Jawie i Sumatrze, — a duże zarobki przysyłają pozostałej na małym kawałku ziemi rodzinie.

Kobiety nie zawsze umieją właściwie tę gotówkę przyslaną im zużytkować i bardzo dużą jej część tracą na stroje, coraz kosztowniejsze, na modłę europejską. Pani Stawiarska postarała się o skierowanie tego upodobania do strojów w kierunku ludowym, a jednocześnie o wytworzenie przemysłu, któryby zajął ręce tych kobiet w czasie długich wieczorów zimowych.

W tym czasie austriackie ministerstwo robót publicznych wydało reskrypt, że odtąd będzie popierało kursy strojów ludowych, a to przez udzielanie na nie zasilku pieniężnego, w kwocie trzeciej części przedstawionych kosztów.

To rozporządzenie utwierdziło p. Stawiarską w przekonaniu, że jej pomysł musi być dobry, skoro nawet rząd subwencją swoją gotów go poprzeć, a na to tu bardzo zważają. Przystąpiła więc do urzeczywistnienia swego projektu.

Podążyła się o taką zapomogę. W Krakowie poznała się z ludźmi z muzeum etnograficznego i z dyrektorem muzeum przemysłu, ci dali jej niezbędne wskazówki i fachową pomoc. Następnie zwróciła się do p. Zagórzańskiej, kierowniczkii szkoły gorsetów ludowych we wsi Pleszewie pod Krakowem, gdzie wyrabiają najładniejsze wyroby tego rodzaju.

Z Pleszewa dostarczono dziedzicze Jedlicz wykwalifikowanej nauczycielki do szycia i wyszywania gorsetów.

Kierowniczka szkoły gorsetów w Pleszewie dała też p. Stawiarskiej adresy sklepów krakowskich, dostarczających materiały i świecidełka na te stroje. Tak przygotowała so-

bie grunt z różnych stron, zabrała się p. Stawiarska z kolei do przekonywania Sióstr Służebniczek, które na jednym z folwarków w jej majątku miały swój dom i utrzymywały tam salę zajęć dla dziewcząt wiejskich.

Zakonnicom pomysł p. Stawiarskiej nie trafiał długo do gustu, wreszcie zgodziły się wprowadzić taki kurs gorseciarstwa tytułem próby.

Pani Stawiarska wtedy poczęła rozgłaszać, że kurs taki w Horkówce będzie otwarty, a każda dziewczyna, czy kobieta, która pilnie na ten kurs przychodzić będzie przynajmniej przez 3 tygodnie, dostanie darmo ten gorset, który sobie sama uszyć potrafi przy końcu nauki.

Pierwszy taki kurs odbył się w r. 1912. Trwał 22 dni. Prysłana z Pleszewa gospodyni, prosta kobiecina, w chusteczce na głowie, okazała się bardzo dobrą nauczycielką, bo nie tylko znała się na rzeczy, ale tak umiała obrzydzić miejski strój i miejską tandetę, a wykazać piękno ludowego stroju polskiego, że dziewczęta zyskały od niej nie tylko fachowe wyszkolenie w gorseciarstwie, ale i ten dobry, ideowy kierunek, o który chodziło.

Kurs ukończyło 30 kobiet.

Dziesięć dziewcząt na tym kursie było ze wsi dalszych i to sprawiło, że przemysł gorseciarski rozpowszechnił się na szerszym terenie. Jak tylko kurs został ukończony, urządzono wystawę prac kobiet wiejskich.

Podobne wystawy, na których wystąpiły i gorsety z Horkówki, urządzono w Krośnie i w Jaśle. Obecnie przyjęło się w tamtej okolicy, że na Boże Ciało podczas procesji dziewczęta występują w białych spódnickach i w gorsetach.

W Jedliczu na Boże Ciało było do 60 dziewcząt w tym stroju. Nawet małe dziewczynki

z wiejskiej szkółki ludowej, strojne w gorsety i w białe spódniczki, naszyte wstążeczkami różnobarwnymi, w liczbie kilkudziesięciu sypały kwiaty pod nogi staremu księdzu dziekanowi, same do kwiatów polnych podobne.

Jest tam w tej parafii zwyczaj, że na Matkę Boską Zielną dziewczęta stroją pięknie wielki wieniec i niosą go do dworu. Na ten obrzędowy dzień stroją się teraz w gorsety.

Wogóle przyjęto tam uważać strój krakowski, jako szatę godową dla kobiety wiejskiej, zwłaszcza młodej.

Na balu Kólek rolniczych w ruchliwym krośnieńskim okręgu było 300 kobiet, postrojonych w gorsety.

Owa część krakowskiego stroju ludowego służy tam za ubiór jednym, za przedmiot zarobku drugim.

Robiąc gorsety, można zarobić 2 korony i więcej dziennie; praca dorywcza w domu, nie ciężka i urozmaicona.

I drugi przemysł domowy, kiedyś bardzo rozpowszechniony wśród kobiet w tej okolicy, a mianowicie koronki klockowe udało się również wskrzesić p. Stawiarskiej.

Koronkarstwo wśród kobiet wiejskich zaprowadziła w tej okolicy cudzoziemka, Irlandka, a żona dyrektora Tow. nafciarskiego, traktując je jako dodatkowe zajęcie zarobkowe.

Z czasem jednak przemysł ten, nie zasilany nowymi wzorami, nie doskonalony, został zupełnie zarzucony.

Pani Stawiarska sprowadziła nauczycielkę koronkarstwa, Siostry Służebniczki zostały do akcji tej wciągnięte: one teraz dają kobietom wzory i nici.

Dzisiaj, chcąc sobie zamówić, czy to gorset, stylowo wyszywany, czy ładne klockowe koronki z tych stron, należy zamówienie adre-

sować: zakład Sióstr Służebniczek w Horkówce, poczta w miejscu pod Krosnem.

Ponieważ żony wiertaczy przez długie lata gospodarką rolną zajmować się muszą samodzielnie, więc zwrócono na to uwagę, i zajęto się tam zawodem rolnem wykształceniem kobiet wiejskich.

Dwór w Horkówce służy za lokal dla trzy miesięcznego kursu gospodarczego dla okolicznych włościanek.

Kursy te urządza tam dwór, łącznie z Kólkami rolniczymi i Siostrami Służebniczkami.

Wykłady te obejmują: gospodarstwo domowe, higienę, rolnictwo, hodowlę, sadownictwo, weterynaryę. Już od lat trzech przed wojną, co roku takie kursy się tam odbywają.

Najlepszym dowodem, że przynoszą one korzyść kobietom jest to, że garną się one coraz chętniej do zawiązywania oddziałów kobiecych przy Kólkach rolniczych. Takie oddziały kobiece w Kólkach rolniczych mają dobry zwyczaj sprowadzania sobie wspólnie wszystkich towarów.

Był tam taki wypadek, że ruchliwe Kółko kobiece rolnicze, zachęczone przez księdza wikarego, zmogło wkrótce żydka sklepikarza, ale został jeszcze we wsi sklepikarz Polak. Tego ksiądz wikary chciał oszczędzić, ale kobiety, jak wzięły sobie wszystko hurtem sprowadzać z hurtowni Kółek rolniczych i zapoznały się z czynnościami i obrotami handlowymi, tak prędko zmiarkowały, że z wielką stratą dla siebie korzystały dotąd z usług detalicznego handlu, przestały więc popierać i sklepikarza Polaka.

Napróżno ksiądz wikary odwoływał się do ich dobrego serca, tłómaczył, że sklepikarz ma żonę i dzieci, że to swojak toć go popierać

trzeba; kobiety jakby tego nie słyszały, i zachęcane dobrymi wynikami handlu kooperatywnego, trwają dalej twardo przy swoim.

## Dzielna nauczycielka ludowa.

Olesko jest to mała, nędzna miejscina w powiecie złoczowskim. Ładnie położona, tonie w sadach, nad miasteczkiem, na wyniosłym wzgórzu, wznosi się zamek nieźle jeszcze zachowany — miejsce rodzinne Jana III.

W tej miejscowości polecono mi poznać nauczycielkę ludową, pannę Demolównę.

Mieszka w małym własnym dworeczku, w ogródku wyjątkowo ładnym i z wielką troskliwością pielęgnowanym.

— „To cała moja przyjemność, ten kawałek ziemi” — oświadcza mi właścicielka, żywa — energiczna w ruchach i mowie, starsza już kobieta — i opowiada mi z ożywieniem, że nieraz wstaje przed 5-tą rano i przed pójściem do szkoły pracuje tutaj, dogadzając swoim roślinkom.

Panna Demolówna zrobiła dużo w swoim otoczeniu, w którym przebywa od lat 16-u.

Przedewszystkiem starała się gruntownie poznać tak ludzi, jak i ich potrzeby.

Widziała biedę, lenistwo, niezaradność i bierne poddawanie się losowi lub wyrzekania.

Z czasem wytrwałą pracą stworzyła częścią własnym funduszem, przy pomocy ludzi dobrej woli, ze swego środowiska ognisko myśli twórczej i stałej pracy społecznej, zakładając w Olesku Koło T. S. L. Dzisiaj ta instytucja ma już własny dom, w którym oprócz sali zabaw i zebrań oraz czytelnicy, ma pomiesz-

czenie „Spółka koszykarska”, wyrabiająca ładne meble i galanterię; w „Spółce” tej młodzież męska znajduje zarobek.

Dzielna nauczycielka sporo się natrudziła, nim Spółkę koszykarską zawiązała.

Następnie chciała dać i kobietom tutejszym zarobek, zaprowadziła więc w szkole guzikarstwo, a potem handlowo umiała je zorganizować.

Dzisiaj robi tam guziki 200 dziewcząt i kobiet, zarabiają po 20 - 25 koron miesięcznie, co jako uboczny zarobek w rodzinie drobno-mieszkańskiej lub rzemieślniczej, nie do pogardzenia. Chcąc wprowadzić lepszą organizację w gospodarcze stosunki rodzin, ta nauczycielka ludowa, jedna z pierwszych, wprowadziła podczas roku nauki dopełniającej w swej szkole, naukę gotowania, praktycznie przystosowaną do potrzeb ludności wiejskiej. — Dzięki jej przedstawieniom i staraniom u wyższej władzy szkolnej, taka nauka gospodarstwa będzie obowiązywała zapewne niezadługo we wszystkich szkołach ludowych galicyjskich.

Cechą tego wszystkiego, co ta skromna, a niezmordowana działaczka ludowa robi, jest wielka praktyczność i umiejętne wyzyskanie warunków miejscowych. Obecnie p. Demolówna czyni starania o szkołę przemysłowo-gospodarczą z pomieszczeniem w zamku oleskim. Uczono by tam i niektórych rękodzieł dla kobiet odpowiednich, ale przedewszystkiem gospodarstwa domowego, przetworów owocowych i warzywnych.

Projektodawczyni na kierowniczkę takiej szkoły ma, jak się zdaje, duże dane, ma bowiem znajomość przedmiotu, zdobytą w ciągu dłuższej wyprawy zagranicę i po kraju, gdzie zwiedzała tego typu szkoły, którą to podróż odbywała z polecenia i na koszt Wydziału Krajowego.

Działaczka ta jest niezmordowaną; potrafi tygodniami całami nie dojeść i nie dośpać, aby puścić w ruch jakąś placówkę oświatową, ekonomiczną lub ideową.

Wiele szkólek, Kół Tow. Szkoły Ludowej, sklepów i Kótek rolniczych po wsiach, tego zagrożonego przez ruskie wpływy okręgu, nie byłoby powstało, gdyby nie jej niezmordowana energia, zapał i zdolność organizacyjna

Ma ona dużo rozmachu w pracy, umie do niej wciągać ludzi, zbierać pieniądze i tworzyć tętniące życiem ośrodki tam, gdzie dotąd nie było żadnego przejawu zbiorowej myśli i czynu.

Do opodatkowania się na cele ogólne potrafi w sposób pomysłowy wciągać i lud okolicznych wsi i miasteczka. Tak, że rzemieślnicy, biorąc tam zapłatę od klientów, pewną jej część oddają już często na T. S. Ludowej, które tam bardzo wydatnie pracuje.

W tym zakresie miewa ta skromna pracownica na niwie społecznej i takie pomysły.

Oto w tym czasie, kiedy budowano w Olesku Dom Ludowy T. S. L. miała kilku chłopców starszych, których przygotowywała do gimnazjum.

Chłopcy byli biedni i pieniędzy od nich nie brała, ale wytłómaczyła im, że wszelkie darmochoy dla ludzi młodych i zdrowych są demoralizujące i wprowadzają fałszywy ton w stosunki między ludźmi, i podsunęła im myśl wynagrodzenia siebie, za udzielane im lekcye, pracą fizyczną przy budowie nowo wznoszonego domu T. S. L.

Chłopcy byli przyzwyczajeni robić koło takiej pracy, bo niektórzy z nich byli synami mularzy — więc dlatego im to zaproponowała, a oni zgodzili się na to z radością.

Działaczka ta cieszy się dzisiaj powszechnym szacunkiem, darzą ją nim nawet jej prze-

ciwnicy, Rusini; ale miała w swej przeszłości pracownicy na niwie społecznej plotkarskiego partykularza i takie chwile, w których pod deszczem ubliżających oszczerstw, — wspomagana jedynie przyjaźnią i uznaniem małej garstki ludzi, pracować musiała; wytrwała jednak z niezłomną stałością, by rozniecić dokoła więcej światła i więcej uświadomienia narodowego oraz przyczynić swemu środowisku więcej dobrobytu.

## Seminaryum w Snopkowie.

Rok temu powstało w Galicyi pod Lwowem, w miejscowości lesistej i górzystej, a więc pod względem zdrowotnym idealnie dobranej, we wsi Snopkowie pierwsze na ziemiach polskich seminaryum dla kształcenia nauczycielek szkół gospodarczych wiejskich i miejskich.

Jedną z twórczyń tego zakładu, choć niestety! nie pracującą tam teraz, była najpoważniejsza bodajże w Galicyi siła nauczycielska w tym zakresie, p. Teresa Leszczyńska.

Obecnie kierowniczką jest p. Janina Karłowiczówna, ofiarodawczyni ziemi pod seminaryum, córka właściciela tego majątku, osoba młoda, bardzo swoim zadaniem przejęta.

Seminaryum urządzone jest z komfortem internatów klasztornych, ale sztywności klasztornej nie ma.

Seminaryum zasobne jest w pomoce naukowe i gospodarskie, lecz o ile chodzi o nauczycielki szkół gospodarskich wiejskich, to może nazbyt nawet obficie, bo przecież szkoły te nie będą mogły dać takich maszyn pomocniczych, urządzeń i ulepszeń, do jakich wychowanki tego seminaryum nawykną.

To też sędzę, że dla każdej z wychowanek tej uczelni niezbędną okaże się praktyka w którejś z lepiej urządzonych szkół gospodarskich, zanim obejmie posadę zupełnie samodzielnią.

Bardzo porządnie zaczynają seminarzystki pracę społeczną wśród ludu na miejscu.

Oto w pierwszym już roku założyły ochronkę dla 50 dzieci miejscowej ludności. Ochronka ta ma niezwykłą historię więc warto ją poznać. W Snopkowie, który jest wsią podmiejską, mieszka Jan Wasilewski dorożkarz, który słysząc, że panienki z seminaryum chciałyby otworzyć ochronkę dla najbiedniejszych dzieci w Snopkowie, ofiarował im całą swą posiadłość, złożoną z domku, placyku do zabaw i ogródka, a ocenioną na 18 tys. koron. Jestto cały majątek człowieka pracy, który go zdobył w ciągu lat 50.

Co godne jeszcze zaznaczenia, Wasilewski uczynił fundację żywą, bo oddał ją do używania instytucji jeszcze za swego życia, sam w domku mieszka wraz z żoną i cieszy stare oczy widokiem dziatwy, pobierającej szkolną naukę pod okiem osób do tego wykwalifikowanych.

Panienki z seminaryum są uszczęśliwione, że zapis podobny zrobił im w pierwszym roku istnienia ich uczelni człowiek z ludu, zaledwie czytać i pisać umiejący.

Poczytują to za dobrą wróżbę dla swej uczelni.

One same opodatkowały się na rzecz ochronki.

Oplacają ochroniarkę, która stale się dziećmi zajmuje, a seminarzystki na dyżurach w ochronce zapoznają się, z tym typem pracy, który każda wiejska szkoła gospodarska, lepiej

urządzona w Królestwie, stara się wprowadzić do swego zakresu pracy.

W najbliższym czasie seminaryum w Snopkowie zamierzało wspólnie z wsią powołać do życia współdzielczy sklep spożywczy, którego zawiązek, — bardzo skromny zresztą, — jest już w postaci sklepiku szkolnego.

Z tego zapoczątkowania widać, że seminaryum w Snopkowie przez tworzenie i utrzymywanie placówek pracy społecznej, dąży do praktycznego przygotowania swych wychowanków do tych zadań, jakie je czekają.

Program tej uczelni przedstawia się jak następuje:

Kurs w seminaryum trwa 2 lata, rozpoczyna się 5-go września. W zakres nauki wchodzi przedmioty:

Teoretyczne: Religia, historia Polski, historia powszechna najnowszej doby.

Fizyografia Polski. Botanika i fizjologia roślin, anatomia zwierząt domowych. Chemia organiczna i nieorganiczna. Bakteryologia. Hygiena.

Nauka o glebie i melioracyach, początki miernictwa. Warzywnictwo, ogrodnictwo, sadownictwo. Mleczarstwo. Chów zwierząt domowych. Szczegółowa hodowla bydła, nierogacizny, drobiu, królików, ryb i pszczelnictwo. Gospodarstwo domowe. Chemia kucharska, towaroznawstwo. Organizacya szkół i kursów gospodarskich dla kobiet.

Rachunkowość gospodarska. Wiadomości z nauk społecznych i ustawodawstwa. Śpiew chóralny.

Praktyczne: Ćwiczenia w zakresie gospodarstwa domowego: kuchnia, piekarnia, pralnia, prasownia, spiżarnia, przeróbki mięsne, jarzynowe, owocowe i porządki domowe, krawieczyzna, szycie bielizny, naprawki.

Ćwiczenia w zakresie gospodarstwa wiejskiego, obora, mleczarnia, chlewnia, kurniki, pasieka, ogród.

Warunki przyjęcia:

a) ukończenie 18 roku życia;  
b) moralne i fizyczne uzdolnienie (świadcstwo lekarskie);

c) egzamin dojrzałości złożony w seminarium nauczycielskiem, matura licealna lub równorzędne wykształcenie w innych zakładach naukowych. W braku powyższych studiów kandydatka składa egzamin z nauk przyrodniczych, rachunków i pedagogii w zakresie wymaganym przy maturze seminaryjnej. Dla osób z innych zaborów wszelkie możliwe ułatwienia;

d) zobowiązanie opłacania z góry 100 koron miesięcznie za naukę, mieszkanie i utrzymanie w internacie (rocznie 1000 koron). Kłasyfikacja odbywa się z końcem każdego półrocza. Po ukończeniu drugiego roku uczennice składają przed osobną komisją egzamin, przepisany dla nauczycielek szkół gospodarczych. Patent otrzyma uczennica po ukończeniu kursu dwuletniego. Uczennice mieszkają w internacie zakładowym i podlegają regulaminowi zakładowemu. Kurs odbyć mogą również osoby, chcące z niego korzystać dla własnego wykształcenia lub pracy zarobkowej.

Nauka teoretyczna i praktyczna udzielana bywa przez siły nauczycielskie fachowe miejscowe i siły profesorskie ze Lwowa.

Nauka teoretyczna obejmuje dziennie od 2—3 godzin, praktyczna 4—5 godzin.

Uczennice Seminarium jako dopełnienie nauki odbywają i wycieczki naukowe do wzorowych gospodarstw, szkół gospodarskich i t. p.

Wakacje przypadają w czasie Bożego Narodzenia od 20 grudnia do 20 stycznia. W czasie letnim od 1 sierpnia do 1 września.

Wycieczkom i osobom interesującym się szkolnictwem gospodarczem, zwiedzającym Lwów, nie godzi się pomijać zwiedzenia tego zakładu; niektóre działy nie były tam jeszcze tak zorganizowane jak trzeba, ale zwiedzałam Snopków w pierwszym roku, więc to było zrozumiałe.

## Praca Kółek rolniczych.

Dotarłam do sekretarza Kółek. Poważny starszy pan, małomówny, o mądrych głęboko patrzących oczach.

Nawiasem mówiąc, niezbyt życzliwie usposobiony do Królewaków, a raczej zniechęcony do blagi, właściwej wielu Królewakom.

Widać to z jego pierwszych słów zwróconych do mnie.

— „Wy tam sobie wyobrażacie w Królestwie, że Kółka rolnicze w Galicyi to tylko kramiki i nic więcej, lub mało co więcej ponadto.”

— „Taki pogląd jest u nas dość rozpowszechniony—przyznaję,—ale proszę wziąć pod uwagę jedno: wszystko to, co wiedziałam o Galicyi, starałam się zapomnieć, przyjechałam tu bez żadnych uprzedzeń.”

Przelotne jakby zdziwione spojrzenie, a potem sarkastyczne skrzywienie ust.

— „Tak to się mówi, takich rzeczy nie zapomina się tak łatwo, a u was tak ciągle o pracy w naszych Kólkach piszą i tak ją sobie przedstawiają.”

Tymczasem u nas jest pod tym względem znamienny zwrot, krzewi się z góry i przyjmuje u dołu zrozumienie właściwego znaczenia Kółek.

O istotnych brakach naszych Kólek dostanie pani w materyale sprawozdawczym i moją broszurę — ona poinformuje.

Pyta pani, jak naogół uważam działalność naszych Kólek?

Wychodzimy z zastoju, który tak długoletni żywot mająca instytucja przebywać musi od czasu do czasu, idziemy od lat paru naprzód w kierunku podnoszenia włościańskiej gospodarki rolnej i coraz lepszego uświadamiania sobie zagadnień gospodarczych tej własności.

A nawet i to sklepikarstwo przy Kólkach nie przedstawia się tak rozpaczliwie, zważywszy, że zaledwie 25% Kólek prowadzi sklep we własnym zarządzie. A handel przez Kółka prowadzony, to próba i dość skuteczna odżydzania wsi naszej.

Jest to objaw wielce naturalny. Prąd obywatelstwa się bez żydów mieszkańców wsi w Królestwie i w Poznańskim przechodzi i na teren Galicyi, a prąd ten coraz żywiej płynie przez organizację Kólek rolniczych, choć coraz bardziej członkowie nasi zdawać sobie poczynają sprawę z tego, że Kółka rolnicze mają przedewszystkiem krzewić kulturę rolną ale nietylko rolną, bo zadaniem Tow. Kólek rolniczych jest podnoszenie wśród mas włościańskich i ogólnej kultury.

Jako taka, instytucja Kólek rolniczych w zakres swej pracy wciąga też szerzenie ogólnej oświaty. Kółka wychowują swych członków towarzysko; ich zadaniem jest zapoznawanie członków z ruchem stowarzyszeniowym w kraju i zagranicą. Kółko jest dla wsi tem, czem kasyno dla inteligencji miejskiej, wciąga więc w zakres swej działalności i wszelkie godziwe rozrywki, nadając im taki kierunek, by one spełniały równocześnie zadanie kształcące.

Pierwszy środek działania oświatowego to biblioteka. Zarząd Kólek przesyła zupełnie bezpłatnie dla każdego nowo założonego Kółka 50 książek, z których połowa jest treści ogólnokształcącej i literackiej, druga treści zawodowo-rolniczej."

— „Jak się przedstawia sprawa czytelnictwa po Kólkach?”

— „Naogół nieszczególnie. Mimo wzrostu oświaty mamy jeszcze, zwłaszcza we wschodniej części kraju, do 60% analfabetów w niektórych powiatach, a wśród tych nawet, co *umieją* czytać, mamy duży procent takich, którzy *nie chcą* wziąć książki do ręki po wyjściu ze szkoły. Takich właśnie nasze Kółka starają się wciągać do czytania. Świeżo robimy próbę budzenia w naszych Kólkach czytelnictwa w takiej oto formie. Ponieważ wiadomo nam, że niema takiej wsi, w którejby się nie znalazło choć paru ludzi, zwykle młodych, wprost zachłannych na czytanie — (Jest to zwykle młodzież, która niedawno ukończyła szkołę) — otóż takich wciąga się do pracy, nakładając na nich obowiązek głośnego odczytania książek pewnemu gronu osób, podczas zimowych wieczorów. Od bibliotekarza Kółkowej biblioteki winno zależeć wyznaczenie, ile razy w tygodniu i w czyim domu ma się czytanie takie odbywać. Plan takich czytanek, ułożony przez siebie, ma bibliotekarz przedstawić Zarządowi Kółka; Zarząd, po uznaniu go za dobry, powinien całym swym wpływem udzielić pomocy bibliotekarzowi i temu gronu lektorów. Tym sposobem biblioteka będzie lepiej wyzyskana, trzeba jednak w bibliotekarzu rozbudzić ambycję, aby jak najwięcej grup czytelników wytworzył; ci, którzy głośno czytają, winni się starać o skupienie koło siebie słuchaczy w dużej liczbie. Konieczne też jest, aby biblio-

tekarz umiał wpłynąć na słuchaczy tych czyta-  
nek, by regularnie i wytrwale na przysłuchiwa-  
nie się schodzili ”

— „Czy ta akcja krzewienia zamiłowania  
do głośnego czytania dała już jakie wyniki?”

— „Niezbyt dawno w tej formie ją prowa-  
dzimy, ale tu i owdzie trafia ludziom już do  
przekonania”.

— „Czy książki treści gospodarczej i  
„Przewodnik Kółek rolniczych” chętniej jest  
czytany od książek i gazet treści literacko-po-  
litycznej?”

— „Na to trudna jest odpowiedź. I tu du-  
żo, bardzo dużo trzeba jeszcze w naszych Kół-  
kach popracować, aby obecny stan rzeczy  
zmienić na lepsze.

Rok rocznie odbieramy w Zarządzie Kółek  
we Lwowie setki zapytań treści rolnej i wete-  
rynaryjnej, na które zamiast długich odpowie-  
dzi donosimy: „W biblioteczce Kółka znajdują  
się książki te a te; w jednej z nich na stronie  
tej a tej mieści się odpowiedź na postawione  
pytanie.”

Dowodzi to, że bibliotekarz nie umie ludzi  
zachęcić do korzystania z książek gospodar-  
czych, które ma w swem zawiadywaniu. A np.  
taki „Rolnik wzorowy” prof. Miczyńskiego wi-  
nien być głośno podług pór roku na zebraniach  
Kółek odczytywany. Podobnie niewyzyskane są  
przez Kółkowiczów poradniki weterynaryi, a  
tymczasem nasza gospodarka rolna słabo i po-  
woli naprzód się posuwa, a bydło leczy jak za  
dawnych czasów znachorzy, choć Kółko jest  
we wsi.

„Przewodnik Kółek”, który powinien być  
doradcą każdego kółkowicza, czytany jest przez  
dwóch-trzech, reszta nic nie wie o jego treści.  
Aby ludzi zainteresować treścią tego fachowe-  
go organu drobnych rolników, wprowadzamy

w ostatnich czasach podział pracy. Obowiązek gruntownego czytania stale „Przewodnika” rozkładamy na 3 osoby.

Każda z nich ma sobie poruczone stale odczytywanie jednego działu, (przyczem jestto obojętne, czy ta osoba do Zarządu Kółka należy lub nie). I tak: ktoś, kto się interesuje rolnictwem, otrzyma dział doświadczeń rolnych, mający żyłkę do handlu — dział spraw handlowych, trzeci wreszcie sprawy stowarzyszeń i ekonomiczne. Każdy z tych trzech naznaczonych czytelników powinien przez dokładne przeczytanie zbadać w każdym numerze sprawy swego działu i zdać z nich sprawę na najbliższem posiedzeniu Kółka i starać się ma, by członkowie Kółka rolniczego w dziale powierzonym jego opiece byli nie tylko dokładnie poinformowani, ale aby ze wskazówek i pouczeń korzystali.”

— „A jak jest z zebraniem, czy odbywają się regularnie?”

— „Nie wszędzie jeszcze Kółka dbają o urządzenie zebrań i trzeba przyznać, że na zebraniach naszych Kółek, zamiast spraw rolniczych porusza się kwestye handlowe, a więc mówi się na nich o sklepie, o rozdziałach zysku, o warunkach dzierżawy, o uzyskaniu trafiki, o tem, jak otrzymać sprzedaż wódek w zamkniętych naczyniach.

Dopiero od kilku lat objawia się w naszych Kółkach zwrot pożądany w kierunku żywszego zainteresowania się zagadnieniami rolnymi, ale ten zdrowy prąd nie objął jeszcze i połowy naszych Kółek.”

— „A wszystkich Kółek ile macie?”

— „Podług ostatniego sprawozdania z roku 1913 jest ich 1790.”

— „A członków?”

— „Tych jest 78 422.”

— „Jaki jest przyrost roczny członków za rok ostatni?”

— „Wynosił 5,185.”

— „To dużo,—tylko czy to naprawdę nie tylko liczba, ale i siła?”

— „O tak — z roku na rok rosą nasze Kółka w pracę. Pomnaża się też suma świadczeń pieniężnych ze strony członków na rzecz Głównego Zarządu. U członków naszych rośnie poczucie obowiązku, iż należy nabytem doświadczeniem dzielić się z sąsiadami, bo rozumieją już, że Tow. Kółek rolniczych nie chodzi o wspomaganie jednostek, ale o postawienie wszystkich gospodarstw włościańskich na wyższym poziomie techniki rolnej.

Pocieszającym objawem jest również rosnący z roku na rok pociąg do używania wspólnych narzędzi rolniczych, rozszerza się też nasza praca doświadczalna na polach włościańskich.

W ostatnim roku sprawozdawczym liczba doświadczeń ze zbożami wyniosła 816, z ziemniakami 600, doświadczeń zaś z nawozami sztucznymi 1,482. Z roślinami pastewnymi 887 prób. Z wielką radością i dumą patrzymy na coraz większe przybywanie kobiet na członków naszych Kółek.

Tworzone są z nich oddziały kobiece, liczba ich zwiększa się z roku na rok a działalność niektórych z tych oddziałów jest prawdziwą chlubą Kółek rolniczych.”

— „Czy na kursy rolnicze, urządzone przez Kółka, kobiety chętnie uczęszczają?”

— „O tak. W ostatnim roku sprawozdawczym kursów 3-4 dniowych było 36. Brało w nich udział 2,885 słuchaczy, a w tem 805 kobiety.”

— „Chciałabym dowiedzieć się więcej szczegółów o ruchu oświatowo - zawodowym wśród gospodyń.”

— „O tej pracy naszych Kótek najlepiej poinformuje panią nasz wice-prezes p. K. Dułęba.”

Żegnam pana sekretarza i przechodzę do gabinetu wice-prezesa. Po krótkim wstępie zaczynam stawiać pierwsze pytania, na które otrzymuję odpowiedź:

— „Od r. 1882 podług statutu Kótek rolniczych miały prawo należeć do naszej organizacji i kobiety, ale nie należały i z praw swych nie korzystały.

Dopiero od r. 1909 zaczynają powstawać organizacje kobiece włościańskie, jako Oddziały kobiece przy kółkach. Tworzy się też osobna sekcya dla młodzieży od lat 16.”

— „W jaki sposób Zarząd Kótek oddziaływa na włościanki?”

— „Urządzamy dla samodzielnych gospodyń trzymiesięczne kursy. Kursów tych nie forsuje się nigdy z góry, lecz urządza się je tam, gdzie ludność miejscowa tego zapragnie.

Przed urządzeniem takiego kursu odbywają się formalne wiece kobiet wiejskich. W takim Iwoniczu np. 300 kobiet żądało urządzenia takiego kursu przez Tow. Kótek rolniczych. To żądanie kobiet bardzo ofiarnie i skutecznie poparli tamtejsi włościanie. Na kurs ten dwa razy na dzień rano i po południu przybywały gospodynie o parę wiorst, nieraz w czasie zawieruchy zimowej po ciężkiej górskiej drodze. Na zakończenie z płaczem żalonym opuszczały budynek, w którym się kursa odbywały.

Wspaniałe, co do jasności i rzetelnego zrozumienia przedmiotu odpowiedzi, dawały podczas egzaminu uczennice, gospodynie samodzielne, składając przyrzeczenia, że nowe po-

rzadki i potrzebne zmiany zaprowadzą w swem gospodarstwie, a nabyte na kursach wiadomości krzewić będą w szerszem gronie kobiet wiejskich, w zawiązanych przez nie Oddziałach kobiecych przy Kółkach rolniczych.

Było parę wypadków, że kobiety po ukończeniu kursów takich zawiązywały spółki drenarskie i wprowadzały gruntowne reformy w swoje gospodarstwo rolne, w którem podczas nieobecności mężów pracowały jako samodzielne gospodynie.

Po kursach, doskonale udanych, w Suchodole pod Krosnem w parę tygodni potem trudno było wieś poznać: kobiety, które na kursa chodziły, (a poszły tam prawie wszystkie), ziemię koło chat zamieniły w ogrody, chaty wybieliły i wyporządziły gruntownie, zaczęły racjonalniej prowadzić chów krów, trzody i drobiu; od tego czasu dobrobyt tam szybko wzrasta, a spożycie wódki znacznie się zmniejszyło."

— „I to wszystko po trzymiesięcznych kursach — wspaniała rezultat!”

— „Tak ale niech pani weźmie pod uwagę jedno: że wszystkie te gospodynie mają przygotowanie z elementarnej wiejskiej szkoły, nie są więc już materiałem zupełnie surowym. A przytem są to gospodynie samodzielne, nieraz w całym znaczeniu tego słowa, o ile są żonami ludzi, którzy za chlebem na czas dłuższy wyemigrowali zagranicę.

Takiej kobiecie, gdy wróci z kursów, nikt nie tamuje swobody zaprowadzenia w jej gospodarstwie tego, o czem na kursach się dowiedziała.

A więc po kursach takich kobiety nie tylko zaprowadzają gruntowny porządek w chatach, ogrodach i całej zagrodzie, ale porywają się na drenowanie mokrych pól, przeprowadzają doświadczenia z nawozami sztucznymi; trzydzieści

gospodyń z jednej wsi po takich kursach zaczęło siać koński ząb, dziesiątki kobiet, należących do Oddziałów kobiecych Kółek rolniczych, używają krów do zaprzęgu w robotach gospodarskich.

Tu i owdzie Oddziały kobiece urządzają wycieczki dla zwiedzania lepszych gospodarstw lub szkoły rolniczej.

Po za temi czysto zawodowemi korzyściami z takich kursów widać i korzyści wielkie natury kulturalno-oświatowej."

— „Niechże mi pan o tej stronie działalności kobiet tutejszych ze wsi opowie wszystko, co panu wiadomo."

— „Ależ bardzo chętnie. Oddziały kobiece przy Kółkach rolniczych, których mamy przeszło 50, zajmują się: wspólnem sprowadzaniem towarów kolonialnych i bławatnych, urządzają obchody narodowe z racyi takich rocznic, jak konstytucya 3 maja i in. Oddziały grają teatry amatorskie, mają swoje biblioteki i czytelnie; odbywają się w niektórych Kółkach co tydzień zebrania z odczytami treści: rolniczej, handlowej, oświatowej; kobiety tam zgrupowane urządzają wycieczki do teatru do Lwowa i Krakowa, czasem wyprawiają sobie wspólny opłatek, w niektórych Oddziałach kobiecych prowadzą kobiety wiejskie leczenie doraźne. Udzielana bywa przez nie pomoc chorym środkami, znajdującymi się w apteczce domowej, prowadzonej przez członkinie Zarządu Oddziału. Apteczka taka zaopatrzona jest w zioła lecznicze oraz niezbędne środki apteczne, jak również i opatrunki. Z apteczki tej bezpłatnie korzystać mogą jedynie należący do Oddziału kobiecego i do Kółka rolniczego. W jednym z Oddziałów w ciągu roku wydano 470 lekarstw. Szafę zakupiono ze składek. Zioła podług umiejętnych wskazówek zbierały członkinie, a

inne leki zakupiono ze składek miesięcznych. Ten sam Oddział rozwija dość szeroką działalność samarytańską, zebrano 100 koron i z tego funduszu udziela się zasiłku chorym i opuszczonym, niosąc im pomoc w chorobie przez opiekę odpowiednią, dostarczanie pokarmu i pieniędzy.

W tej samej wsi (Swilezy), gdzie Oddział kobiecy rozwija tak ruchliwą działalność humanitarną, otworzono pomocniczy Oddział dziewcząt. Należy ich tam 76 dorosłych córek gospodarskich. Rozwija on się znakomicie. Dziewczęta zbierają się w poniedziałki i środy, wykonywują roboty, wchodzące w zakres gospodarstwa domowego, czytają wspólnie pouczające książki, urządzają wspólne śpiewy i deklamacje. Dziewczęta te bardzo chętnie się gromadzą, zastęp ich zwiększa się, korzystają one z pism i książek Oddziału kobiet."

— „To są wszystko bardzo ciekawe rzeczy, zwłaszcza to Kółko młodych dziewcząt w Swilezy. Dziewczęta są bardzo niepodatnym materiałem do organizowania, chciałabym wiedzieć, jak je tam do pracy wciągnano.”

— „Bardzo ostrożnie — pomaleńku, zrazu matki i siostry zamężne wprowadzały dziewczęta na zebrania Oddziału kobiecego, a że to był Oddział bardzo pracowity, więc na jego posiedzeniach dużo się nauczyć było można.”

— „Cóż tam omawiano?”

— „Były popularne pouczenia z zakresu gospodarstwa domowego, gotowania, wychowywania dźiatwy, higieny, były pogadanki o dziejach ojczystych. Potem te dziewczęta, które się interesowały pogadankami, kobiety zaczęły wciągać do pracy samarytańskiej około chorych i biednych — no i tak zwolna doszło do założenia Kółka dziewcząt.”

— „A dla dziewcząt nie urządzacie kursów?”

— „Owszem, ale wpieryw skończę pani opowieść o 3 miesięcznych kursach dla włościanek. Kursa takie urządzone są łącznie z Zarządem Głównym Kóelek przy pomocy powiatowych Zarządów Kóelek i organizacyi miejscowych.

Poważna część kosztów każdego takiego kursu jest zabezpieczona z góry z ofiar w naturze, składających się z lokalu, opalu, światła, urządzeń i t. p. zebranych na miejscu, z zasiłków pieniężnych, uzyskanych w powiatach, ze składek po 20 koron, płaconych przez uczennice kursów.

Koszta utrzymania nauczycielek i inne pokrywa Zarząd Główny z ogólnych funduszków Towarzystwa.”

— „Czy na wszystkich kursach obowiązuje jeden program zajęć i wykładów?”

— „Tak — od r. 1909 prowadzimy te kursa podług jednolitego programu, a takich kursów w różnych stronach kraju urządzamy po kilkanaście w ciągu roku.”

— „Jak się przedstawia program?”

— „Dzielimy kurs każdy na 3 oddziały.

I oddział ma gotowanie, zwykłe i świąteczne, obchodzenie się z nabiałem.

II oddział: pranie i prasowanie.

III oddział: krój i szycie.

Dopełnieniem tych pouczeń są wiadomości o porządkach w domu i na obejściu. Dalszych pouczeń na kursach udzielają z ramienia Zarządu Głównego i Zarządu powiatowego instruktorowie w następującym zakresie:

Wiadomości ogólne z rolnictwa, hodowla bydła i nierogacizny, chów drobiu.

Wiadomości z sadownictwa i warzywnictwa.

Hygiena w rodzinie i pomoc w nagłych wypadkach.

Wiadomości o obowiązkach względem Boga, rodziny i społeczeństwa.

O udziale kobiet w Kółkach rolniczych.

Śpiew i deklamacya.

Gdyby pani chciała się rozpatrzyć w szczegółach stosowania tych pouczeń, służę, oto tu jest drukowany plan zajęć."

Przeoglądam go i widzę, że wart jest w zupełności przedrukowania, więc go poniżej w całości podaję, sądzę bowiem, że—w czasach otwierania u nas kursów dla dziewcząt wiejskich—może się przydać tym, co podobne kursy organizować będą.

Z regulaminu dla tych kursów opracowanego przez Zarząd Kółek rolniczych, pozwałam sobie przytoczyć cały artykuł 5, 6 i 7.

Tak wyczerpawszy sprawę 3 miesięcznych kursów dla gospodyń wiejskich, które w tej samej, lub niewiele zmienionej formie, należałoby i u nas w Królestwie zapoczątkować, przechodzę do zadawania pytań o „Internaty dla małorolnych gospodyń”, które są tutaj tem, czem u nas w Królestwie kursy gospodarcze dla córek włościańskich.

— „Program w internatach dla małorolnych jest taki sam, jak program obowiązujący na 3 miesięcznych kursach dla samodzielnych gospodyń, ze względu jednak na dłuższy okres czasu trwania, ulega ten program rozszerzeniu i lepszemu zaokrągleniu.”

— „Jak dużo jest takich internatów?”

— „Dotąd mamy pod wpływem Tow. Kółek rolniczych dwa takie internaty. Obydwa są pomieszczone na wsiach i zostają pod zarządem stowarzyszeń zakonnych w Białym Kamieniu pod Złoczowem u Sióstr Miłosierdzia i w Szywaldzie u Sióstr Służebniczek pod Tarnowem.”

— „Jaki jest udział Sióstr w tem przedsięwzięciu, a jaki Tow. Kółek rolniczych?”

— „Siostry dają lokal, urządzenia potrzebne i nauczycielki do prowadzenia zajęć praktycznych i pouczeń wskazanych przez program dla kursów, opracowany przez Tow. Kółek rolniczych; Zarząd Główny i Zarządy powiatowe dostarczają instruktorów, lekarza i weterynarza do wykładów specjalnych oraz pokrywają koszty utrzymania takiego kursu.”

— „Kto jest na taki kurs przyjmowany?”

— „Dorosła młodzież włościańska i małomieszczańska.”

— „Jaka jest opłata miesięczna?”

— „30 koron; — dość wysoka opłata sprawia, że na te kursy przychodzą albo zamożniejsze dziewczęta ze wsi i z miasteczek, albo takie, które w następstwie chcą pracą zarobkową na życie zarabiać.”

— „Jak długi jest okres trwania tych kursów?”

— „W Białym Kamieniu wynosi 8 miesięcy a w Szynwałdzie 10 miesięcy.

Oprócz tych kursów dla gospodyń samodzielnych oraz córek gospodarskich i mieszczańskich córek, urządzamy kursy dla ziemianek z teorią i praktycznemi zajęciami.”

— „Jak długo trwa taki kurs?”

— „Trzy miesiące. Kursy takie mają na celu przyswojenie ziemiankom tych wiadomości, które udzielamy gospodyniom wiejskim, a to dlatego, by je mogły następnie gospodyniom wiejskim ze swego otoczenia udzielać.

Z tego, co pani opowiedziałem, łatwo sobie pani w duszy dośpiewa resztę.

Kobietami wiejskimi w Kólkach naszych zajmujemy się od lat pięciu coraz energiczniej i widzimy, że to praca wdzięczna,— prawdziwa praca dla przyszłości.”

## PLAN NAUKI NA KURSACH GOSPODYŃ WIEJSKICH.

### A. Nauka w Oddziale 1-szym.

a) Nauka praktyczna w Oddziale 1-szym obejmuje:

- 1) Gotowanie potraw mieszanych.
- 2) Pieczenie chleba razowego, pytlowego, tudzież ciast świątecznych.
- 3) Zaopatrzenie spiżarni.
- 4) Obchodzenie się z nabiałem sposobem zwykłym.
- 5) Rachunki spiżarniane.
- 6) Porządki w kuchni, spiżarni i piwnicy.

b) Nauka teoretyczna Oddziału 1-szego przy udziale wszystkich uczennic obejmuje:

#### I. Hygiena pożywienia.

- 1) Przepisy higieniczne.
- 2) Składniki.
- 3) Zestawienie potraw dla organizmu ludzkiego potrzebnych i ich dobór.
- 4) Ilość i jakość potraw potrzebnych do wyżywienia dziecka, dorosłego a chorego.
- 5) Przyprawianie i gotowanie potraw dla zdrowych i chorych osób.
- 6) Rozpoznawanie artykułów spożywczych.
- 7) Urządzenie kuchni, spiżarni i piwnicy.

II. Przynależanie i przygotowywanie różnych artykułów spożywczych na czas dłuższy:

- 1) Kiszenia, konserwy i t. p.
- 2) Przygotowywanie i wędzenie wędlin.
- 3) Przechowywanie w świeżym stanie jarzyn, owoców i nabiału.
- 4) Suszenie owoców i grzybów.

#### III. Przepisy kuchenne:

- 1) Wskazówki przy gotowaniu.
- 2) Potrzebne naczynia.
- 3) Jarzyny.

- 4) Potrawy mączne.
- 5) Kasze.
- 6) Potrawy mięsne.
- 7) Pieczenie chleba, bułek i ciast świątecznych.

#### *IV. Mleczarstwo:*

- 1) Wytwarzanie mleka.
- 2) Składniki mleka.
- 3) Wady mleka.
- 4) Dojenie.
- 5) Przechowywanie i podstawanie się mleka sposobem zwykłym.
- 6) Termometr.
- 7) Przysposabianie śmietany na masło.
- 8) Wyrób masła.
- 9) Wyrób serów.
- 10) Potrzebne naczynia i ich utrzymanie.
- 11) Hygiena zastosowana w mleczarstwie.

#### *V. Rachunki zwykłe:*

- 1) Tabliczka mnożenia.
- 2) Cztery działania.
- 3) Ułamki.
- 4) Liczby całe i dziesiętne.
- 5) Miary.

#### *VI. Rachunki gospodarcze:*

- 1) Rachunki spiżarniane.
- 2) Zestawienie tygodniowe, miesięczne i roczne.
- 3) Obliczenie utrzymania jednej osoby.
- 4) Obliczenie mleka od jednej krowy.
- 5) Obliczenie jaj od jednej kury.
- 6) Zestawienie dochodów i rozchodów.

#### *VII. Korespondencya:*

- 1) Pisanie listów zwykłych i poleconych.
- 2) Przekaz zwykły i za pobraniem.
- 3) Telegram.
- 4) Kwity.

- 5) Wystawienie rachunków.
- 6) Świadectwa.

*B. Nauka w Oddziale II-gim.*

*a) Nauka praktyczna w Oddziale drugim uczniem obejmuje:*

- 1) Pranie bielizny białej i kolorowej.
- 2) Prasowanie bielizny gładkiej, sztywnej i kolorowej.
- 3) Pranie i prasowanie sukien wełnianych.
- 4) Wywabianie plam.
- 5) Porządki i rachunki z bielizną.
- 6) Porządki w domu i na obejściu.

*b) Nauka teoretyczna Oddziału II-go przy udziale wszystkich uczennic obejmuje:*

*I. Hygiena ubrania.*

*II. Porządki w utrzymaniu osób, należących do rodziny, w domu i na obejściu:*

- 1) Czystość, mycie, czesanie, zmiana bielizny, łóżka.
- 2) Urządzenie domu: położenie, rozkład wewnętrzny i zewnętrzny budynków mieszkalnych i gospodarczych.
- 3) Woda, światło, opalenie i powietrze.
- 4) Bielenie, okurzenie, zamiatanie, prochów ścieranie.
- 5) Mycie naczyń, okien, podłóg.
- 6) Wybieranie popiołu, palenie w piecach, spluwaczki.
- 7) Nakrywanie do stołu, przyozdabianie mieszkań.
- 8) Podwórze.
- 9) Obory i chlewki: zmiana podściółki, wentylacja, bielenie, naczynia do żywności.
- 10) Szopy i komórki na naczynia gospodarcze i ich utrzymanie.
- 11) Oparkanie, porządek w ogródku.
- 12) Utrzymanie strychu i piwnicy.

### III. Teorya prania :

- 1) Gatunki wody i przyrządzanie jej do prania.
- 2) Sortowanie i moczenie bielizny.
- 3) Pranie i bielienie bielizny.
- 4) Suszenie.
- 5) Kropienie.
- 6) Składanie.
- 7) Maglowanie.
- 8) Prasowanie bielizny gładkiej i sztywnej.
- 9) Pranie i prasowanie sukien wełnianych i kolorowych.
- 10) Sposób składania bielizny po uprasowaniu.
- 11) Wywabianie plam z atramentu, rdzy, owoców, tłuszczu i t. p.

#### C. Nauka w Oddziale III-cim.

##### a) Nauka praktyczna w Oddziale III-cim uczennic obejmuje:

- 1) Porządki zastosowane w sypialni i sali wykładowej.
- 2) Szycie bielizny kobiecej, męskiej i dziecięcej.
- 3) Szycie sukien kobiecych i dziecięcych.
- 4) Porządki w utrzymaniu odzieży.

##### b) Nauka praktyczna i teoretyczna Oddziału III-go przy udziale wszystkich uczennic obejmuje:

#### I. Krój, w szczególności:

- 1) Koszuli kobiecej, męskiej i dziecięcej.
- 2) Stanika obcisłego.
- 3) Kaftanika wolnego.
- 4) Bluzki.
- 5) Spódnicy.
- 6) Ubrania dla chłopców.
- 7) Sukienek dla dziewcząt.
- 8) Wyprawki dla niemowląt.

## II. Zapiski, odnoszące się szycia i kroju.

### III. Łatanie i cerowanie:

- 1) Cera kwadratowa, podłużna i trójkątna.
- 2) Staniczek wcięty lub gorset.
- 3) Łata na suknie, płótnie lub materji wełnianej.
- 4) Dziurka podłużna i okrągła.
- 5) Pętka płaska i półokrągła.
- 6) Przyszycie guzika, haftki, konika, wieśradła.
- 7) Obrabianie, zakładki, podszewkowanie, szew francuski.

### IV. Praktyczne roboty wymagane w szwalni:

- 1) Koszula kobieca, męska i dziecinna.
- 2) Staniczek wcięty lub gorset.
- 3) Bluzka wolna lub wcięta.
- 4) Sukienka dla dziewczynki.
- 5) Ubranie dla chłopca.
- 6) Wyprawka dla niemowląt.
- 7) Spódnica, fartuszek lub powłoczka.

*Uwaga:* Naukę, wskazaną w powyższym planie pod A, b, V, pod A, b, VII i pod B, b, I, naukę tę wedle potrzeby mają uwzględnić wszystkie trzy nauczycielki.

### D. Hodowla bydła, rolnictwo, rachunki gospodarskie:

#### a) Hodowla bydła:

Najważniejsze zasady przy wychowie, utrzymaniu i żywieniu bydła i nierogacizny ze szczególnem uwzględnieniem hodowli krów.

#### b) Rolnictwo:

Jak dążyć do otrzymania jak największej ilości karmu dla bydła.

#### c) Rachunki gospodarskie.

### E. Chów drobiu:

- 1) Rasy.
- 2) Dobór sztuk rozplodowych.

- 3) Karmy.
- 4) Pielęgnowanie drobiu niosącego się.
- 5) Wychów młodych.
- 6) Tuczenie.
- 7) Utrzymanie kurnika i zastosowanie przepisów higienicznych.

#### *F. Warzywnictwo:*

Warunki należytego prowadzenia warzywnictwa w zakresie działalności gospodyni wiejskiej

*G. Hygiena zdrowia w rodzinie i pomoc w nagłych wypadkach.*

*H. Hygiena inwentarza żywego i pomoc w nagłych wypadkach.*

*I. O obowiązkach względem Boga.*

*J. O obowiązkach względem społeczeństwa i rodziny.*

*K. O udziale kobiet w Kółkach rolniczych.*

*L. Spiew.*

**Ważniejsze wyjątki z regulaminu Kursów Gospodyń Wiejskich, urządzanych przez Tow. Kółek Rolniczych.**

#### ARTYKUŁ 5.

*Liczba uczennic i przyjmowanie tychże.*

Liczbę uczennic na każdym poszczególnym kursie przyjmuje się normalnie na 36 tak, aby należące do kursu uczennice, kolejno i w równej liczbie do zajęć w trzech Oddziałach przydzielone, mogły bez utrudnienia wykonywać czynności w każdym Oddziale. Zarząd główny może w uwzględnieniu większej liczby zgłoszeń zezwolić na zwiększenie liczby uczennic, najwyżej jednak do 42 na jednym kursie, o ile lokal kursu na to pozwoli.

Przyjmowanie uczennic należy do powiatowego komitetu kursu, który ma w tym celu

rozesłać na czas wezwania do wnoszenia zgłoszeń na kursa tak, aby na miesiąc przed otwarciem kursu została ustalona liczba uczestniczek.

Na kursa przyjmowane są samoistne gospodynie wiejskie lub tychże pomocnice, w wieku od 16 lat, które ukończyły szkołę ludową, i które zastosują się do niżej określonych, od nich wymaganych warunków.

Wśród większej liczby zgłoszonych kandydatek mają mieć pierwszeństwo przy równych warunkach te, które się wcześniej zgłosiły.

Przy przyjęciu uczennic na każdy kurs dozwolonem jest uwzględnić zgłoszenia uczennic dochodzących, jak i uczennic stale przebywających w lokalu kursu (w t. zw. internacie). Tak jedne, jak i drugie uczennice obowiązane są w ciągu trwania kursu brać udział codziennie w pouczeniach i zajęciach w godzinach oznaczonych.

Wszystkie na kursa przyjęte uczennice obowiązane są:

1) Przy przyjęciu na kurs złożyć jednorazową wkładkę 20 kor. jako częściowy zwrot wyłożonych wydatków na utrzymanie ich podczas kursu.

2) Zaopatrzyć się w potrzebne przybory do szycia dla własnego użytku na kursie, jakie przy przyjęciu będą od nich zażądane.

3) Podczas trwania kursów wykonywać zarządzenia otrzymane od pouczających na kursie.

4) Przestrzegać przepisanego porządku na kursie i stosować do wydanej dla nich instrukcji.

Z przyjętych uczennic, które będą stale przebywały w lokalu kursu, obowiązane są na czas trwania kursu zaopatrzyć się w poduszkę, kocyk lub kołdrę, w 4 prześcieradła, w 2 ręczniki, w potrzebną do zmiany bieliznę, ubranie i obuwie, w chustki do nosa, grzebień, mydło

i czernidło do obuwia, tudzież 3 fartuchy, potrzebne przy zajęciach w Oddziałach.

Wszystkie przyjęte na kurs uczennice mają prawo korzystać bezpłatnie w równej mierze z nauki udzielanej na kursie i z dostarczonych w tym celu środków naukowych.

Uczennice, przebywające stale w lokalu kursu, korzystają z urządzonych dla nich sypialni, tudzież ze wspólnych śniadań, obiadów, podwieczorków i wieczerzy, na kursie przygotowanych; dochodzące zaś uczennice korzystają z przygotowanych na kursie wspólnych obiadów i wieczerzy.

Wszystkie, na kurs przyjęte, uczennice otrzymują wraz z regulaminem kursów kartę uczestnictwa, którą przedłożyć mają przy otwarciu kursu. Każda uczennica, przy zgłoszeniu się na kurs, wykaże się, iż dopełniła warunków przyjęcia na kurs.

## ARTYKUŁ 6.

### *Grono nauczycielskie.*

Zapewnienie sił nauczycielskich, potrzebnych do pouczeń, musi nastąpić na czas i w równej mierze dla każdego poszczególnego kursu, stosownie do następujących wskazówek.

Zarząd główny pozyskuje z funduszków kursowych stale na czas trwania każdego kursu trzy nauczycielki, powołane do prowadzenia nauki w trzech oddziałach. Pierwsza z tych nauczycielek jest zarazem kierowniczką kursu.

Wspomniane nauczycielki obowiązane są dołożyć usilnych starań, aby o ile możliwości cały materiał nauki w trzech oddziałach został wyczerpany i by uczennice przyswoiły sobie wiadomości, objęte planem nauczania.

Mają one baczyć na to, aby ustanowiony dla nich i dla uczennic rozkład godzin na kursie został należycie zastosowany i przeprowadzony.

Każda z nich prowadzi naukę w jednym, jej przydzielonym, oddziale. Nadto kierowniczka kursu sprawuje nadzór nad należytem przeprowadzeniem pouczeń, wskazanych w dwóch innych działach nauki kursowej.

Kierowniczka kursu przydziela, w porozumieniu z obiema innymi nauczycielkami, kolejno uczennice do praktycznych zajęć w trzech oddziałach na kursie i w miarę potrzeby ustanawia dyżur wśród uczennic.

Zarząd główny na kursa powołuje inspektorów rolniczych i porucza im dodatkowe wykłady, wskazane w regulaminie kursów.

Pouczenia, wskazane w planie pod lit. D), E), H), K), Zarząd główny przydziela nauczycielkom lub też porozumiewa się z Zarządami powiatowymi (Delegacjami powiatowymi) i Komitetami kursów, co do pozyskania odpowiednich sił nauczycielskich.

Co do pouczeń, wskazanych w planie pod lit. F), G), I), J), pozyskane będą odpowiednie siły nauczycielskie przez Zarządy powiatowe (Delegacje powiatowe) i Komitety powiatowe kursów w porozumieniu z Zarządem głównym.

## ARTYKUŁ 7.

### *Lokal kursowy.*

Lokal kursu, który ma być w zgłoszeniu zapewniony, musi obejmować:

a) Izba dla zajęć, w Oddziale I-ym wykonywanych, w szczególności dla kuchni, piekarni i mleczarni wraz z spiżarnią i piwnicą.

Lokal ten ma zawierać kuchnię z odpowiednim piecem do gotowania, łatwo dostępnym o ile możności z 3-ch stron, tudzież odpowiedni piec piekarski.

Ten sam lokal ma być zaopatrzony w 3 stoły, 2 ławki, 2 stołki, 5 cebrzyki do mycia naczyń, 2 stolnice, 2 dzieże do chleba, półki

na drobne naczynia, w szafę z półkami na naczynia kuchenne, 2 konewki 2 putnie lub wiaderka na brudną wodę, w 1 beczkę na wodę, w 1 łopatę do wsadzania chleba, w 1 kociubę i pomiotło.

Spizarnia ma być zaopatrzona w 2 stoły, 4 półki wiszące na ścianie, w 1 stóelek i w 1 wagę z ciężarkami.

Urządzenie tego lokalu będzie uzupełnione rzeczami inwentaryalnemi, należącemi do Towarzystwa Kółek rolniczych, a w szczególności sprzętami i naczyniami, potrzebnemi w kuchni i piekarni, tudzież przyrządami i sprzętami, potrzebnemi do wyrobu maśła i sera.

b) Izba dla zajęć, w oddziale II-gim wykonywanych, w szczególności praczkarnia z odpowiednim piecem do prania bielizny. Przynależnością tego lokalu ma być strych dla suszenia bielizny, magiel i prasownia.

Ten sam lokal ma być zaopatrzony w 3 balie, 2 cebrzyki, 4 konewki, 4 putnie lub wiaderka, 2 garnki blaszane do gotowania bielizny, 3 ławki, 3 stoły, 2 stolki, 2 deski do prasowania bielizny, 1 półkę na bieliznę prasowaną, 1 półkę na naczynia pralniane i 1 beczkę na wodę.

Urządzenie lokalu będzie stosownie do potrzeby uzupełnione inwentarzem Towarzystwa Kółek rolniczych.

c) Pokój o większych rozmiarach dla zajęć, w III-im oddziale wykonywanych.

Lokal ten może w razie potrzeby służyć jednocześnie na wspólną salę wykładową, a także na wspólną jadalnię dla uczennic i trzech nauczycielek.

Ten sam lokal, w razie użycia go jednocześnie na szwalnię, na wspólną salę wykładową i na jadalnię, ma być zaopatrzony w odpowiednią do ilości uczennic liczbę krzesełek, względnie w ławki odpowiedniej długości oraz

w stoły. umieszczone przed temi krzeselkami lub ławkami dla wygodnego wykonywania przez uczennice ich zajęć.

Ten sam lokal zawierać ma 3 maszyny do szycia, (wypożyczone bezpłatnie lub za wynagrodzeniem), 1 stół duży dla kroju w szwalni wraz z tablicą (t. zw. szkolną), 1 stół dla nauczających wraz z trzema krzeselkami, 2 szafki lub zamykane półki: jedna dla przechowania przyborów naukowych, a druga na schowanie dla uszytej bielizny, lampy, zegar ścienny i t. p.

Urządzenie tego lokalu będzie w miarę potrzeby uzupełnione inwentarzem Towarzystwa Kółek rolniczych.

d) Dwa pokoje, przeznaczone na stałe pomieszczenie trzech nauczycielek, zajętych na kursie, a więc jeden dla kierowniczkki kursu, tak na jej pomieszczenie jak i na kancelaryę kursu, drugi zaś na pomieszczenie dwóch innych nauczycielek.

Pokoje te mają być zaopatrzone w 5 łózka, 2 umywalnie, 3 stoły, 6 krzesełek, 3 lampy i w 3 szafy.

Prócz tego dla uczennic, którym zapewnione będzie stałe pomieszkanie w internacie, podczas trwania kursu, ma być przeznaczony stosownie do ilości tychże uczennic i dla wygodnego ich pomieszczenia, jeden lub więcej pokoi, w których będą urządzone sypialnie uczennic, zaopatrzone w odpowiednią liczbę łózek (tapczanów) wraz z siennikami, w miednice, wieszadła na ubranie, tudzież konewki i wiadra na wodę.

Wreszcie ma być zapewniona odpowiednia szafa lub półki w ścianie na przechowanie ubrania uczennic.

Komitet kursu postara się ponadto o uzyskanie odpowiednich okazów i urządzeń dla

celów demonstracyjnych kursu, w szczególności przy nauce o obchodzeniu się z krowami, nierogacizną i drobiem.

## Jak pracują Kasy Raiffeisena w Galicyi.

Mało jest ludzi, którzy by się cieszyli taką popularnością w Polsce całej, jak patron Spółek oszczędności i pożyczek w Galicyi, p. Franciszek Stefczyk.

— „To człowiek żelaznej woli i niezłomnego hartu, umie przełamywać wrogą dla rozwoju tych stowarzyszeń wolę ludzi ciemnych, nieświadomych dostatecznie co do ducha i idei, jakimi pragnie przepoić Spółki nasze.”

Te słowa dzielnego kooperatysty i działacza z Limanowej, p. Beka, wypowiedziane o patronie Stefczyku, tętniły mi w uszach, gdy czekałam przydłuższą chwilę w gabinecie „patrona” w biurze Spółek we Lwowie.

Skrzypnęły drzwi.

Wszedł małego wzrostu człowiek, o polskiej, suchej twarzy, siwy jak gołąb — choć czerstwy i jakąś młodą tężyzną promienny.

Przenikliwie, do głębi patrzeć umiejące oczy — „oczy - sondy”, zatrzymał chwilę na mnie, by je potem spuścić na podany mu przezemnie serdeczny list, pisany w mej sprawie do „Drogiego Dyrektora”, przez dawnego współpracownika, inżyniera Zygmunta Chmielewskiego z Warszawy.

— „Dobrze pani dzisiaj trafiła, mam czas na gawędę. Proszę pytać, chętnie służę objaśnieniami, a zaraz zatelefonuję, aby pani

przygotowali materiał sprawozdawczy i informacyjny. Z listu p. Zygmunta widzę, że pani seryo swoją pracę pojmuję, więc tem chętniej zrobię wszystko, co w mojej mocy."

Życzliwy ton, naturalność obejścia, ani cienia biurokratycznej wielkości — wszystko to bardzo dobre robi na mnie wrażenie.

Wywiad po paru słowach zamienia się na gawędę.

— „Najstarszą Spółką jest Czernichowska, założyłem ją tam 25 lat temu, będąc jeszcze nauczycielem w tamtejszej szkole rolniczej.

I wie pani, w tę Spółkę potrafiłem snać przelać najwięcej z mojego ducha, bo dotąd najlepiej mi się sprawia ta moja „staruszka kochana”: liczy tylko na własne siły. Przez długie już lata swego życia obywa się zupełnie bez obcej pomocy, fundusze czerpie wyłącznie z wkładek oszczędności miejscowej i okolicznej ludności i dziś tych wkładek ma pół miliona, a własnego majątku, t. j. funduszu rezerwowego 40,000 koron.

Jak więc pani widzi, dobrze gospodaruje."

— „Może miejscowe warunki były tam wyjątkowo pomyślne?" — robię uwagę.

— „Warunki były fatalne. Proszę sobie wyobrazić wieś, złożoną z 2 tys. dusz, posiadającą zaledwie 300 mórg ubogiej ziemi.

Rozumie się, ludność takiej wsi pogrążona była w nędzy i ciemnocie, gnieździła się w obdrapanych lepiankach. Zarobkowali tam ludziska w ten sposób, że starzy łowili ryby, młodzi szli na flisaków.

Zarobek ciężki i niestaly, który w dodatku przepijali zimą w 2 karczmach miejscowych.

Wódka była im pocieszycielką niezbędną, bo życie mieli doprawdy straszne. Czernichów leży na terenie nadwiślańskim i Wisła co parę lat topiła w zalewach pola i dobytek mieszkań-

ców tej wsi. W tych warunkach nie miałem łatwego zadania do stworzenia pierwszej w Galicyi Spółki Raiffeisena.

Ale tam właśnie się dobrali od początku ludzie, których mi się udało wychować na takich zuchów, co tylko na własne siły liczą, no i ci wychowali z kolei następne zarządy i tak to tam w nałóg weszło."

— „Czy trudno jest jeszcze zakładać Spółki oszczędności po wsiach w Galicyi?”

— „Nie, — są już one zbyt gęsto rozsiane, i za dużo dobrej pomocy świadczą ludowi, by je miano niechętnie przyjmować. Obecnie mamy 1,500 Spółek, a członków 288,563.”

— „Na jakim terenie?”

— „Obejmują one 4,141 gmin. Mniej więcej wypada 3 gminy \*) na jedną Spółkę, z ludnością od 1000 - 4000 tys., rzadko mniej lub więcej.”

— „A ile jest wszystkich gmin w Galicyi?”

— „Mamy 6 tys. Jeszcze więc założymy jakieś 500 - 600 Spółek i będzie koniec z tworzeniem tych organizacyi kredytowych.”

— „Jak wiele czasu przewiduje pan, że będzie potrzeba na zakończenie tego procesu tworzenia wiejskich Spółek?”

— „W Galicyi już nie więcej nad 5-6 lat. Idzie teraz praca w tak pospiesznem tempie, że 100 Spółek przeciętnie w latach ostatnich powstaje rocznie.”

— „Czy trudno jest wyrabiać zarządy?”

— „Najwięcej wyrabia je praca i doświadczenie, my ze swej strony staramy się możliwie ułatwiać im pracę; biurokratyczne czynności i rachunkowość są u nas bardzo niezłożone i przejrzyste.”

---

\*) Przypominamy, że w Galicyi każda wieś jest gminą jednocześnie.

— „Czy urządzaacie panowie kursy specjalne dla prowadzących kasy?”

— „A naturalnie, najmniej raz do roku we Lwowie i w 2 albo 3 miejscowościach w różnych stronach kraju.

Ot! te grupy, co pani widzi tu, na tych fotografiach, to są wszystko słuchacze takich kursów.”

Podchodzę, by się im przyjrzeć.

Widzę twarze chłopskie — rozbudzone już lepszą, szlachetniejszą myślą.

— „To jest zapewne wybór waszych chłopskich sił, czy tak?”

— „Zgadła pani, — rzeczywiście, najlepszy moralnie materiał ludowy w zarządach naszych Spółek jest skupiony, a jestto i najwyższa ludowa inteligencja.”

— „Czy nadużycia są częstym zjawiskiem, bo tu u was bieda nie na żarty ludzi gniecie, więc i pokusa do robienia nadużyć pewno — duża.

— „Bardzo rozważnie staramy się dobrać ludzi, więc może dlatego nadużycia w naszych Spółkach należą już do rzadkości. A wie pani, czego najtrudniej wyuczyć nasze zarządy, oto poczucia odpowiedzialności za przyjęte zobowiązania, poszanowania regulaminu, ścisłości w wykonywaniu wziętych na siebie obowiązków, oduczać też trzeba zbytnej łatwowierności.”

— „Czy te wady zanikały w ciągu dłuższej pracy w Spółce ”

— „A tak — nawet najwięksi wrogowie przyznają nam, że jesteśmy dobrymi wychowawcami galicyjskiego chłopca, bo 90% naszych członków to włościanie.”

Wchodzą interesanci, — dziękuję za informację, zabieram sporą paczkę materiału sprawozdawczego i wychodzę. A gdy wolnym czasem zabrałam się do przeglądania tego mate-

ryału, zrozumiałam, jak wielkie zasługi nie tylko ekonomiczne ale i obywatelskie położył w Galicyi patronat Spólek Raiffeisenowskich, — kierowany przez patrona Stefczyka. Wczytując się w wydawnictwo Patronatu Spólek, odnosi się krzepiące i podniosłe wrażenie. Zarówno pismo fachowe dla pożytku Spólek, wydawane w dwóch językach, po polsku i rusińsku, jak regulaminy, odezwy i broszury specjalne pisane są bez cienia biurokratycznej oschłości.

Wszędzie widać przejawy gorącego ducha obywatelskiego i umiłowanie systemu kooperatywnego.

W broszurce „*O Spótkach oszczędności i pożyczek*”, wydanej przez Fr. Stefczyka, czytamy taki pogląd na zadania wiejskiej „Spółki”: „Usilnem staraniem Spółki winno być: a) wydobywać i gromadzić u siebie te oszczędności, jakie ludność w okręgu działania Spółki posiada, a nadto b) budzić i krzewić zamiłowanie oszczędności, aby się stało cnotą, przyzwyczajeniem i moralną potrzebą ludności. Trzeba pamiętać o tem i wpoić w ludność tę świadomość, że *źródłem oszczędności jest ubóstwo*, a nie *zamożność*. Oszczędność jest właśnie drogą, która wiedzie z „nędzy do pieniędzy”, gdyż poczyna się w ubóstwie i jest cnotą narodów niezamożnych a dzielnych, które pracą i oszczędnością chcą się stać zamożnymi i silnymi.

Bo nie ten naród się bogaci i nie ten potężnieje, gdzie oszczędzają zamiast wydawać, ci, którzy mają duże dochody, lecz: temi drobnymi a licznymi oszczędnościami, na które stać prawie każdego albo przynajmniej bardzo wielu i do których wcześniej za młodu można przywykać.”

Doskonały znawca galicyjskich stosunków wiejskich tak dalej przemawia: „Skromnych

dochodów i zarobków, z których mogą płynąć te drobne oszczędności, znajduje się w kraju naszym więcej, aniżeli się zwykle z pozoru sądzi. Świadczą o tem bodaj te 65 milionów koron wkładek, znajdujących się w naszych Spółkach oszczędności i pożyczek, oraz znaczniejszych jeszcze sum w innych instytucjach kredytowych.

Najcenniejszemi są te oszczędności, które pochodzą z pracy wytwórczej naszych drobnych rolników, przemysłowców po wsiach i miasteczkach. Dostarczyć mogą tych oszczędności nie tylko główne, ale zwłaszcza bardzo liczne uboczne gałęzie gospodarstwa wiejskiego (mleko, trzoda, drób, owoce, warzywa, miód) oraz różne rodzaje przemysłu domowego (koszykarstwo, tkactwo, wyroby drzewne z łyka i sitowia i wiele innych).

Równie obfite albo nawet obfitsze źródło oszczędności stanowią różnego rodzaju zarobki robotnicze, tak w kraju (domowej służby, czeladzi, robotników polnych, fabrycznych, w przemyśle naftowym, górniczym wogóle, drzewnym, przy budowlach i robotach publicznych), jak również zarobki, osiągnane przez tysiączne rzesze naszych robotników, emigrujących do różnych krajów”.

Stwierdza dalej, że ludność, nie mając wszędzie sposobności i zachęty do oszczędzania i składania drobnego grosza — niesie dużą część krwawo zapracowanego zarobku do „szynkowej kasy”. O tych „Kasach szynkowych” mówi, „że są gęsto rozsiane, ruchliwe i pomysłowe w zwabianiu cudzego grosza.”

„Nawet ludzie dzielni i pracowici, sporo grosza zarabiający, sadzą się pod wpływem fałszywej ambicji i zręcznej zachęty na sute poczęstunki, tracąc na to grosz ciężko zapracowany.

A dalej te sute chrzciny, huczne parodniowe wesela, czy świadczą o tem, że niema z czego oszczędzać i dorabiać się, czy nie otwierają raczej pola do działalności miejscowej Spółki oszczędności i pożyczek?"

Ona to zdaniem d-ra Stefczyka „ma właśnie najlepsze uzdolnienie do tego, żeby przyciągać do siebie zaoszczędzony grosz, żeby budzić i szerzyć zamiłowanie oszczędności wśród miejscowej ludności, albowiem działa pod jej bokiem i na jej oczach, znajduje się w rękach ludzi znanych i zaufanie mających, przyczem ludność miejscowa sama bierze udział w zarządzie i nadzorze takiej Spółki. Ludność ta ma zatem łatwą sposobność do składania swych oszczędności, a sposobność już sama znaczy wiele. Nie dosyć jednak na tem. Spółka, zwłaszcza jej organa zawiadowcze, powinny rozwinąć ruchliwą propagandę oszczędnościową. Krzewić zamiłowanie oszczędności można przedewszystkiem żywym słowem przy najrozmaitszych sposobnościach, na zebraniach oświatowych i ekonomicznych, w pogadankach towarzyskich, w szkole i kościele, lub przez osobistą zachętę i przekonywanie.”

Tu praktyczny działacz wymienia jako środek ulotne piśmiennictwo a więc: broszury i artykuły, ale radzi na tem nie poprzestawać, bo to dla ludu za mało. „Najskuteczniej do poparcia propagandy słownej i drukowanej przyczynia się *dobry przykład* i niektóre praktyczne urządzenia w Spółce dla celów krzewienia oszczędności.

Dobry przykład powinien wychodzić przedewszystkiem od członków Zarządu, Rady nadzorczej i kasyera, którzy sami poskładają większe lub mniejsze oszczędności i w miarę możliwości pomnażają je następnie jak najczęściej.

ciej przez dalsze wkładki. Tem łatwiej przyjdzie im innych do takiego samego postępowania zachęcić.”

Dalej znakomita praca Stefczyka o „Spółkach”, jako doskonały środek krzewienia i zbierania oszczędności zaleca urządzenie w Spółce *groszowej Kasy oszczędności*. Za najpraktyczniejszy sposób do zbierania groszowych oszczędności zaleca dostarczenie ludności skarbonek zamkniętych kluczykiem lub plombą przez Spółkę, a zaopatrzonych w otwór na wrzucanie pieniędzy, tak urządzonych, aby ich inaczej nie można było wyjąć jak tylko przez otwarcie skarbonki w Spółce. Z uzbieranymi kwotami (od 1 korony co najmniej) udają się tedy posiadacze puszek w oznaczonych dniach do Spółki, gdzie wyjętą kwotę oblicza się i wpisuje do książeczki oszczędności i oprocentowuje, a próżną skarbonkę, ponownie zamkniętą, oddaje się do dalszego zbierania oszczędności właścicielowi.”

Oto jak w skróceniu określa broszura zadanie Spółki wiejskiej w zakresie przyciągania oszczędności. A teraz posłuchajmy, jak się ta pieniężna kooperatywa galicyjska zapatruje na sprawę kredytu.

W rozdziale zatytułowanym: „Udzielanie zdrowego kredytu” czytamy takie godne zapamiętania poglądy:

„Cała działalność Spółki powinna być tak pokierowaną, aby ludność w Spółce otrzymywała rzeczywiście tylko zdrowy kredyt. Bo z tem słowem „kredyt” związanych jest często więcej nieszczęść, niż pożytków. Niedawne to jeszcze czasy, gdy włościańską osobliwie ludność naszego kraju kredyt raczej gubił i wywłaszczał, aniżeli dźwigał i bogacił. Kredyt bowiem jest taką samą ogromną siłą i potęgą jak ogień. Jeżeli dostanie się w ręce nieogłęd-

ne lub słabe ludzi, którzy się nie umieją z nim obchodzić, jeżeli szerzy się nieujęty w karby i nieokiełznany, to sieje spustoszenie, pochłania mienie ludzi i uboży kraj cały.

Jeżeli wszakże jest należycie opanowany, użyty i pokierowany, to staje się siłą twórczą, jak ogień i jak on wydaje ciepło, ruch i życie pracy ludzkiej.

Zdrowym zaś i twórczym jest taki kredyt, który posiada trzy główne warunki: a) jeżeli się dostaje w dobre ręce; b) jeżeli jest na dobry cel użyty i c) jeżeli jest tanim i dogodnym.

a) *W dobre ręce dostaje się kredyt*, nie wtenczas, gdy dłużnik ma duży majątek i jeżeli jest go na czem patrzeć, ale wtenczas, gdy przedewszystkiem sam dłużnik jest człowiekiem porządnym, to znaczy rzetelnym, trzeźwym, zapobiegliwym i gospodarnym: *tylko taki* powinien otrzymać pożyczkę.

Kredyt, udzielany przez wiejskie Spółki, których zarządy znają doskonale nie tylko stan majątkowy, ale i charakter zgłaszających się o pożyczki, daje więcej rękojmi, że pieniądz pożyczony dostaje się w dobre ręce.

„Użyteczność kredytu—poucza swych członków i zarządy Spółek patron Stefczyk—zależy także od jego przeznaczenia. Tylko wtenczas kredyt jest zdrowym i przyczynia się do wzrostu zamożności dłużnika i kraju, jeżeli zostanie użytym *do gospodarstwa lub na zarobek*, więc w celach ekonomicznych. W takim razie nie ginie, nie zatracą się, lecz wnika w gospodarstwo i zasila je, *pracuje i wytwarza nowe dochody*, z których może być spłaconym i jeszcze dłużnikowi przynieść pokaźną nadwyżkę dochodu.

Przeciwnie zaś kredyt użyty nie na gospodarskie cele, nie na zarobek a tylko na takie wydatki, które się nie zwracają, więc na spo-

życie (na chrzciny, wesele, strój, korale i t. p.) obciąża dłużnika, zmniejsza jego majątek, przynosi mu szkodę; takiego nieprodukcyjnego kredytu powinna Spółka *zawsze odmawiać*.

W kraju naszym, u włościańskiej jego ludności, zapotrzebowanie zdrowego kredytu gospodarskiego i zarobkowego czyli produktywnego, *jest ogromne na przeróżne cele użyteczne*.

Przedewszystkiem potrzeba kredytu dla poratowania rolnika w razie klęski, nieszczęścia lub chwilowego niepowodzenia.

Praca bowiem i mienie rolnika, zwłaszcza drobnego, są narażone na rozliczne, niekorzystne wpływy i niebezpieczeństwa więcej niż w innych zawodach.

Niszczy go woda i ogień, nieurodzaj i grad, zaraza i choroby w rodzinie, — nie mówiąc już o handlowych spekulacjach i innych wpływach, które się w dzisiejszych czasach także na drobnym rolniku silnie odbijają. Częściej zatem lub rzadziej, każdy rolnik przechodzi ciężkie chwile i musi się oglądać na pomoc, a brać ją w konieczności z takiej ręki, która podaną mu została nie przez życzliwość, lecz z chęci wyzysku albo też musi pozbywać się w niekorzystnej chwili i po złej cenie swoich zapasów, swego dobytku, a nawet czasem swej ziemi. I to jest właśnie w udzielaniu kredytu pierwsze, rozległe a niezmiernie ważne zadanie Spółek oszczędności i pożyczek: tamować i usuwać lichwę tam, gdzie ona niszczy i wyzyskuje nie tyle lekkomyślność, ile trudne położenie, częstokroć porządnych rolników. Na *zły lichwiarski kredyt* najlepszą radą i środkiem *jest dobry kredyt* — ale musi być on tak dogodny i szybki, jak nim bywa kredyt lichwiarski. Oprócz lichwy, praktykowanej przez zawodowych wyzyskiwaczy, istnieje także *lichwa sąsiedzka*. Występuje ona wśród naszego ludu wiejskiego

w rozmaitej formie. Szczególniej zaś uwagi godne są tak zwane „dzierzawy” za udzielone pożyczki. Dłużnik oddaje swemu wierzycielowi w zastaw i użytkowanie kawałek swego pola i łąki. Zbierane z zastawionego kawałka gruntu plony stanowią procent od pożyczki, nie rzadko wynoszący więcej nawet niż 20%; procent w tej formie pobierany nie zmniejsza się, chociaż dłużnik częściowo dług odplaca, gdyż „dzierzawiony” grunt wraca do dłużnika dopiero po spłacie całej pożyczki.”

W niektórych okolicach kraju, oprócz użytkowników z tak „dzierzawionego” gruntu pobiera wierzyciel osobno procent w gotówce. Tym sposobem dłużnik rozrywa swoje gospodarstwo, utrudnia sobie zarobkowanie i zwykle z trudem przychodzi mu całą otrzymaną pożyczkę zwrócić, to też wierzyciel długie lata trzyma w swych rękach oddany mu w zastaw („dzierzawę”) grunt, a często wreszcie zabiera go na własność za nieznaczną dopłatą. I tutaj zatem także otwiera się pole dla pożytecznej działalności Spółki, która może te uciążliwe „sąsiedzkie pożyczki” pospłacać i stosunki majątkowe dłużnika uporządkować.

Dobrze przy tem postąpi Spółka, jeżeli, udzielając członkowi w tym celu pożyczki, pomoże mu osobiście do załatwienia sprawy z prywatnym wierzycielem, którego nieraz można skłonić do ustępstwa, a w każdym razie ułatwić dokładne i należyte rozwiązanie dawniejszego stosunku.

Nie jeden wierzyciel zadowolony będzie z tego pośrednictwa i pomocy Spółki dla dłużnika, ponieważ odzyska cały wypożyczony mu kapitał i może nim swobodnie rozporządzać a uwolnić się od przykrego nieraz stosunku z dłużnikiem.

Zwyczajnie też zdarza się, że wydane w ten sposób przez Spółkę pieniądze na spłatę prywatnego długu wracają następnie do Spółki jako wkładki oszczędności, gdyż właściciel nie ma już sposobności ani potrzeby obracać niemi na własną rękę, skoro każdy, kto zasługuje na zaufanie i na pożyczkę, może ją dogodniej znaleźć i dogodniej spłacać w kasie Spółki.

Nie dosyć wszakże na tem, żeby kredyt, udzielany przez Spółkę, zapobiegał złemu i usuwał je: on jest ludności potrzebny dla zwiększenia jej dochodów z gospodarstwa i ułatwienia lub otwarcia innych źródeł zarobkowania. Gospodarstwo wiejskie zasilone być może kredytem dla dostarczenia środków na zakupno doborowego nasienia, którego wpływ na urodzaj uczy się już drobny rolnik coraz lepiej oceniać; na kupno nawozów sztucznych, których używanie w wielu okolicach bardzo się rozpowszechniło wśród włościan; na zaopatrzenie się w dobre maszyny i narzędzia rolnicze, których zakupno na rozplaty, jest zawsze niekorzystne; na dokupno żywego inwentarza i t. p. Te same rozliczne gałęzie gospodarstwa wiejskiego, które dla jednych są źródłem oszczędności, mogą u innych wymagać właśnie potrzebnego do obrotu kapitału przy pomocy zdrowego kredytu. Szczególniej jednak doniosły i dobroczynny wpływ może wyrzucić zdrowy kredyt na podniesienie hodowli bydła i płynących stąd dochodów.

W wielu bowiem wypadkach zdarza się, że włościanin nie ma swego bydła wcale albo za mało, lecz przyjmuje na wyżywienie bydło cudze, płaci wynajmującemu za to czynsz i dzieli się z nim nadto przychówkiem; większą część korzyści z tego chowu zabiera właściciel bydła, nie ponosząc trudu, mniejszą część korzyści i cały zachód pozostaje w udziale najemcy.

Przy pomocy zdrowego kredytu może więc włościanin łatwo przyjść do posiadania własnego bydła, kupić to, co dobre, a nie to, co dają z łaski i korzyściami, jakie przedtem zabierał wynajmujący, spłacać zaciągnięty dług i w zysku zostanie własna sztuka bydła. Są w Galicyi znaczne przestrzenie, obfitujące w dobrą paszę i sprzyjające hodowli bydła. Często jednak ta pasza marnuje się przez to, że ją rolnik sprzedaje tanio i wywozi ze swego gospodarstwa, pozbawiając się nawozu dlatego, że nie posiada funduszków na zakupno bydła. W tych okolicach kraju trafia się nierzadko, że za przezimowanie cudzego wołu otrzymuje się zaledwie 10 koron zapłaty.

Oczywiście nikt o cudze bydło nie troszczy się w tym stopniu, co o własne i trudno spodziewać się polepszenia stosunków w hodowli bydła tam, gdzie jedni posiadają bydło bez paszy, a drudzy paszę bez bydła.

Chodzi nadto o kredyt na zakupno dobrowego materiału hodowlanego, którego nabywanie ułatwiane jest przez Tow. rolnicze. Zdrowy kredyt może w krótkim czasie wywołać znakomity postęp w rozwoju hodowli bydła.

Wogóle bowiem dopiero wówczas można się spodziewać wydatniejszych owoców z podejmowanych na różne sposoby starań i zabiegów około rozpowszechnienia pożytecznych wiadomości o gospodarstwie wiejskiem, gdy się ludności równocześnie poda dogodne środki do wykonania udzielanych rad i naśladowania dobrych przykładów.

W podobny sposób działać może kredyt i na podniesienie domowego przemysłu włościańskiego. Przemysłowiec, nie mając środków na zakupno surowego materiału (lnu, kopoliny, wikliny, skór, żelaza i t. p.), albo na sprawienie potrzebnych narzędzi, staje się zależnym

od tych, którzy mu dostarczają tych materiałów surowych na kredyt albo częstokroć w zamian za wyrobiony z niego produkt; ta zależność naraża na straty, zmusza do przyjmowania często lichego materiału, tamuje więc rozwój przemysłu, a pracującemu odbiera ochotę do dalszych wysiłków pracy i ulepszeń w jej wykonywaniu.

Lud nasz wreszcie coraz więcej garnie się do zajęć i przedsięwzięć handlowych: coraz częściej trafiają się włościanie, którzy na własną rękę imają się handlu tak temi rzeczami, których ludności wiejskiej potrzeba, jak i temi, które ta ludność wytwarza i ma do zbycia.

Nie rzadko też okazuje się u ludności naszej znaczne w tym kierunku uzdolnienie. Brak kapitału obrotowego usuwać i swojski handel dźwigać jest znowu ważnem i wdzięcznem zadaniem Spółek oszczędności i pożyczek.

Te rozmaite potrzeby ludności włościańskiej może Spółka znać i dokładnie oceniać, gdyż bezpośrednio i ciągle styka się z ludnością pracującą, dla której jest przeznaczoną, wśród niej żyje i działa, a zarząd nią w jej własnych znajduje się rękach. Dlatego także zarząd Spółki może niekiedy sam występować z ochotą i radą do podejmowania przez ludność przedsięwzięć pożytecznych, jeżeli są wszelkie widoki i warunki powodzenia."

Że te rozumne wskazania, udzielane Spółkom przez patrona, za pośrednictwem żywego i drukowanego słowa, są wcielane w życie wsi galicyjskiej, to fakt. Spółki Raiffeisenowskie są też chlubą Galicyi: są organizmami żyjącymi bujnie i twórczo, są naprawdę błogosławieństwem dla galicyjskiego chłopca.

A teraz po rozpatrzeniu zadań materialnych Spółki, — z taką znajomością stosunków

skreślonych przez patrona Stefczyka, — rzućmy okiem na rozdział w tej samej broszurze, zatytułowany:

*Zadania moralne Spółki.*

Wybieram z tego rozdziału parę punktów, będących właściwie katechizmem chłopa-koo-peratysty.

„Krzewiąc gorliwie zamięłowanie oszczędności, Spółka nietylko dźwiga zamożność jednostek ale czyni ludność dzielniejszą, kształci w niej wolę, uczy wstrzeźliwości i przezorności. Bo oszczędzać, to znaczy wysiłkiem woli zwalczać pokusy ciała, to znaczy rozsądkiem miarkować swoje postępowanie, to znaczy nietylko widzieć to, co się teraz dzieje, ale mieć także oczy otwarte na przyszłość i pamiętać o jutrze. *Przez oszczędność rośnie tedy siła i hart moralny narodu, a to znaczy więcej nawet, niż zamożność.*

Przy udzielaniu kredytu pyta Spółka przede wszystkim o wartość człowieka; przez to, że między ludźmi, zwracającymi się do Spółki, przebiera podług ich osobistej wartości, nietylko zabezpiecza swoje fundusze, ale wzmacnia i ożywia także moralną opinię publiczną w okręgu swej działalności. Ludność odczuwa to praktycznie, że *nie jest rzeczą obojętną zasługiwać na zaufanie albo nie być godnym zaufania*, że dobra sława znaczy czasem więcej, niż majątek i ułatwia w potrzebie pomoc; więc przyzwyczajają się lud unikać i wstydzic złej sławy, bo kto nie zasłuży na pomoc w Spółce i w niej nie znajdzie zaufania, tem trudniej znajdzie je i gdzieindziej. Lecz tylko wtenczas wywiera Spółka dobry wpływ na miejscową opinię publiczną, jeżeli jej zarząd z całą ścisłością i sprawiedliwością trzyma się wyluszczonej wyżej zasad: więc nie waha się z odmówieniem kredytu człowiekowi *zamożnemu, ale*

*niegodnemu osobistego zaufania, a nie cofa się przed pomocą dla niezamożnego, lecz dzielnego i godnego wiary.*

Obowiązkiem i zadaniem Spółki jest nie tylko dawać kredyt, ale też czuwać nad jego zwrotem. Zadanie to winno być skrupulatnie spełniane z tą świadomością, że chodzi przytem nietylko o to, aby uchronić Spółkę przed stratami, ale także o to, aby przez wymaganie nauczyć ludność wierności w dotrzymywaniu przyrzeczeń, akuratności w dopełnianiu zobowiązań. Bo dla stosunków między ludźmi jest rzeczą niezmiernie ważną, aby jeden mógł na drugim spokojnie polegać, bez tej obawy, że w ostatniej chwili dozna niespodziewanie zawodu. A czy to nie zdarza się dosyć często u nas, że jeden drugiemu obieca, ale nie stawia się na słowie, że dłużnik nie dba o termin zapłaty długu nie dlatego, żeby nie mógł dotrzymać, ale przez gnuśność i przez brak tego poczucia, iż tym sposobem naraża się drugiego nieraz na straty, okazuje mu się lekceważenie i dla siebie zniechęca. Im bardziej ludność się oświeca i umoralnia, tem słowniejszą się staje. Lecz nie mógł nauczyć i nie nauczy słowności kredyt lichwiarski, ani te kasy, które na ślepo przyznają pożyczki, lekko je potem prolongując i nie dbając o to, żeby dłużnik regularnie płacił.

Spółka oszczędności i pożyczek ma jednak przez odpowiednie postępowanie tępić opieszałość w dotrzymywaniu zobowiązań i wywierać korzystny wpływ moralny na wykształcenie się w tym także kierunku lepszych zwyczajów i surowszej opinii publicznej."

Oto, jakie moralne poglądy krzewi patronat wśród członków Spółek Raiffeisena w Galicyi.

Że Spółki te są praktyczną szkołą moralniejszego, duchem obywatelskim przenikniętego,

życia dla ludu, to przyznają wszyscy, którzy życie galicyjskie poznali zblizka; a gdy na wsi mówią ci o jakimś gospodarzu, że należy do zarządu Spółki, to to samo znaczy, jakby o nim powiedzieli: „to porządny człowiek”.

Dowodem, jak piękny duch ożywia Kasy galicyjskie, jest np. taka uchwała, powzięta w wiosce Kościelniki, w powiecie krakowskim: „członkiem Kasy naszej może być tylko włościanin, który nie chodzi wcale do karczmy, a to dlatego, że kto chodzi do karczmy, upić się może, a wtedy nie odpowiada ani za siebie, ani za swój majątek”.

Takich to członków swoją długoletnią, niezłomnie wytrwałą pracą, umiejętnie do potrzeb ludu dostosowaną, wychowuje najpopularniejszy na wsi galicyjskiej człowiek — patron dr. Stefczyk.

Jego odezwa do Spółek z r. 1910, zatytułowana: *Którędy i dokąd dążymy?* — jest przede wszystkim serdecznym wezwaniem do ludu, skupionego w Spółkach, by pięknym duchem miłości bliźniego przepajał każdego członka Spółki, uczył go wiary we własne siły i w siły całego zrzeszenia i zaprawiał do śmiałego podejmowania coraz szerszych zagadnień gospodarczych.

Stałym doradcą Spółek galicyjskich jest wychodzący we Lwowie miesięcznik p. t. *Czasopismo dla Spółek rolniczych*.

Styczniowy numer z r. 1913, poważnie i bardzo starannie redagowany, miesięcznik ten poświęcił z racji 10-lecia swego istnienia obrazowaniu ruchu kooperatywnego na obszarach wszystkich ziem polskich. Bogata treść tego numeru jubileuszowego posiada trwałą wartość dokumentu historycznego z dziejów naszej ekonomiki krajowej.

A teraz garść cyfrowych danych.

Spótek istnieje 1500.

Członków liczą one 288,563.

90% przeszło członków tych Spótek to rolnicy. Ilość członków w jednej Spółce od 22 do 2022—przeciętnie wynosiła 216 członków. Rozsiedlenie Spótek w zachodniej części kraju gęstsze, niż we wschodniej połaci Galicji.

W przecięciu okręg jednej Spółki obejmuje 3 gminy (wsie) z ludnością od 1000 - 4000. W Spółkach tych obowiązuje nieograniczona poręka osobista, jedynie 3 Spółki mają kilkakrotną porękę. Własne fundusze Spótek wynosiły 6 milionów koron. Fundusze rezerwowe Spótek wzrastały szybko, przeciętnie jedna Spółka liczyła 2452 koron; jest już 60 Spótek, mających po 10,000 koron rezerwy własnej, a są i takie Spółki, które mają po 55,000 koron rezerwy.

Krajowy Patronat nastaje bowiem na silne dotowanie funduszu rezerwowego ze względu na nieograniczoną majątkową porękę członków. Przeważnie jednak obracają Spółki funduszami obcymi, które wynosiły z końcem 1912 roku 65,434,683 koron.

Wkładki te pochodzą przeważnie od włościan, wyrobników i służby (65% sumy). Wkładki te bardzo nierównomiernie wpływają; im bardziej ku zachodowi kraju, tem zasobniejsze są Spółki we wkładki i to tak dalece, że z 5 rejonów kraju dwa zachodnie t. j. krakowski i rzeszowski mają 78% ogólnej sumy, podczas gdy na 3 wschodnie (lwowski, tarnopolski, stanisławowski) przypada zaledwie 22% wkładek.

Bankowych długów, przeważnie zaciągniętych w krajowej centralnej kasie, miały Spółki ogółem 7,226,263 koron.

W stosunku zatem do miejscowych obcych funduszy długi bankowe stanowiły zaledwie

niecałe 10%, podczas gdy w r. 1902 stanowiły 29% a w roku 1905 19%.

Stosunek na korzyść długów bankowych a niekorzyść wkładek rośnie, w miarę posuwania się od zachodu ku wschodowi. Spółki wschodnio galicyjskie, ubogie we wkładki, korzystają w wyższym stopniu z kredytu bankowego.

Swych obrotowych funduszków używają Spółki głównie w celu udzielania członkom pożyczek skryptowych ze splatą ratową w okresie czasu 4-letnim, nie dłuższym.

Przeciętna wysokość tych pożyczek wynosi 426 koron. Jedynie w bogatych Spółkach zachodnio-galicyjskich zdarzają się często pożyczki, wynoszące po kilka tysięcy koron na zakupno gruntu.

Zapasy (rezerwy) kasowe Spółek są stosunkowo wysokie, z końcem r. 1912 wynosiły 10,870,340 koron, czyli 15% obcych funduszków, co jest dowodem najlepszym dużej sprawności tych Spółek.

Dowodem ich wysokiego zaufania u ludności jest fakt, że nawet w ciężkim bardzo roku finansowym 1912, który się zaznaczył w Galicyi spadkiem wkładek oszczędności prawie we wszystkich instytucjach finansowych w kraju, podniósł się stan wkładek w Spółkach o 7,542,192 koron. Ten objaw powtarza się nawet w roku klęskowym 1913, w którym pomimo nadzwyczajnych klęsk elementarnych i przesilenia politycznego, wkładki w Spółkach galicyjskich wynosiły 5,000,000 koron.

## Teatry ludowe.

Każdemu, interesującemu się sprawą krzewienia artystycznych zamiłowań wśród ludu, a

będącemu we Lwowie, polecić warto zwiedzenie Biura „Związku teatrów i chórów włościańskich”.

Mieści się ono w lokalu, przypominającym dwór, w dużym ogrodzie. W lecie naokoło słychać świergot ptasząt, — widać kwiaty na rabatkach, nie brak nawet spacerujących z kokoszą kurcząt.—Nastrój wiejski i sielski—cisza, bo jestto pod numerem 45-ym przy ulicy Sykstuskiej, mało ruchliwej w tych stronach.

Niema w redakcyi tego pana, który może mi dać objaśnienia, ale w lokalu o niewielkich pokoikach panuje ruch. Pakują się paki z kostyumami—widocznie do wysyłki, jakaś młoda osoba kończy szycie różnej części garderoby teatralnej. Tu coś umocuje, tu doda, tam zaczeruje. Wreszcie zjawia się młody, o mądrych, trochę smutnych oczach, współpracownik redakcyi i uprzejmie słucha mojej prośby.

Potem udziela mi objaśnień. A więc gdy w Galicyi powstało już kilkadziesiąt teatrów włościańskich, zrodziła się myśl zorganizowania ich i nadania im jednolitego kierunku artystycznego, jako też udzielania fachowych wskazówek i pomocy technicznej.

W tym celu w r. 1907 zorganizował się „Związek teatrów i chórów włościańskich”. Zaczęło wychodzić przy Związku pismo, taniutki miesięcznik p. t. *Poradnik dla teatrów i chórów włościańskich*. Utworzono też odpowiednią bibliotekę, wydawaną przez Związek, zbiór instrumentów, kostyumów i rekwizytów teatralnych.

Wysyłano reżyserów objazdowych.

Stałych drużyn jest obecnie 206, prócz tych jest jeszcze kilkadziesiąt luźnych, nie zrzeszonych trup. Teatry wiejskie działają zwykle w porozumieniu z Kólkami rolniczymi i Kółkami T. S. L. (Towarzystwa Szkoły Ludowej).

Najobszerniejszą pracą o teatrach ludowych w Galicyi dotąd jest broszura dr. Gargasa p. t. „Teatry ludowe w Galicyi”.

— „Czy są dowody dobrego wpływu tej pracy”.

— „O tak, — pod wpływem przedstawień teatralnych budzi się poczucie narodowe w całych masach ludności wiejskiej. Nasze teatry grają w tym celu przedewszystkiem: „Kościuszkę pod Raciawicami”.

Świeżo w jednej wsi polskiej, silnie zruтиненizowanej, mieliśmy takie zdarzenie.

Był tam wójt polskiego pochodzenia, ale zruszczony, po rusku tylko mówił, z Rusinami przestawał i za Rusina się uważał.

Zdarzyło się, że młodzież polska z tej wsi zagrała „Kościuszkę”, przez ciekawość poszedł i on: słuchał uważnie przedstawienia, splakał się jak niewiasta, a po przedstawieniu wobec wszystkich zebranych wrzuszonym głosem oświadczył: — Dziękuję wam, chłopcy, za to piękne przedstawienie, sami wy nie znacie, co ono dla mnie za znaczenie ma, a to ja wam powiem, że ja dopiero słuchający tej sztuki uznał, co ja Polak prawy, a nie żaden Rusin. Wy mnie pomogli, że ja zrozumiał i rozeznał sprawiedliwie, kto ja jest.

Rzucił im hojny datek, wycalował się z nimi i wyszedł, znać, głęboko poruszony. Od tej pory akcentuje odważnie swoją polskość, a choć tam w tej okolicy, wobec mniejszości polskiej, nie bardzo to bezpiecznie — robi to jednak odąd śmiało i stale.

Zamiłowanie do grania sztuk przezwycięża nieraz wielkie trudności. I tak: w pewnej trupie wiejskiej jest doskonałym aktorem starszy gospodarz, który nie umie czytać. Ten w ziemie tak się uczy swej roli. Idąc do stodoły, sadza w zapolu chłopaka, płynnie czytającego

i ten mu odczytuje rolę. On mlóćąc za nim powtarza, jak za panią matką pacierz i w ten sposób pamięciowo opanowuje rolę.

A może pani obejrzy nasze składy z kostyumami."

— „Bardzo chętnie."

Przechodzimy do dalszych pokojów. Widzę barwne ludowe lub wojskowe stroje polskie. Dowiaduję się, jakim pomysłowym a tanim sposobem z niektórych mundurów austriackich żołnierzy po niezbyt wielkich przeróbkach i uzupełnieniach powstają mundury żołnierzy polskich.

— „Ależ wy tu duże zapasy i duży wybór tego macie, to już przedstawia się wcale poważnie ten wasz zapas rekwizytów!"

— „A gdyby pani wiedziała, jak to mało nas kosztuje. Dostajemy sporo darów, a oprócz tego wśród członków mamy sporo pań, które przychodzą parę razy na tydzień i wszelkich przeróbek i szycia podejmują się bezinteresownie.

— „To dobrze, że macie takich pracowitych członków, tylko z takich mogą być pożyteczni pracownicy w instytucji"

— „No, nasza praca porywać może i porywa też. Mamy pierwszorzędnych artystów, którzy nam służą fachową radą, i piszą dla nas od czasu do czasu.

Obecnie spieramy się o to w zarządzie, czy Molier nadaje się dla scen ludowych, — czy nie.

Próbe niektórych sztuk zrobićby warto".

— „A na wielki repertuar swojski nie porywacie się jeszcze?"

— „Owszem, niektóre lepsze z naszych trup grały „Balladyne" i „Wesele".

To ostatnie zwłaszcza tu i owdzie grane było tak, że mróz szedł po kościach."

Gawędzimy jeszcze chwilę, dostaję mnóstwo materiału w postaci rocznika pisma i całego szeregu sztuk do grania, wydanych przez Związek.

Dowiaduję się, że w tym roku przygotowuje się dwumiesięczny kurs muzykalno-wokalny dla kierowników orkiestr i chórów włościańskich. Chodzi o podniesienie artystycznego poziomu tych chórów i orkiestr.

Wychodzę pod wrażeniem, że ta instytucja kulturalna żyje życiem pełnym i przyczynia się w dużym stopniu do podnoszenia ludu ku wyższemu ideałowi życia.

Gdyby u nas w Królestwie przystępowano do organizowania Związku teatrów włościańskich, mamy w Galicyi wzór gotowy, który tylko w drobnych szczegółach wypadłoby przystosować do naszych warunków.

## Sadownictwo włościańskie.

Racyjalnie nad podniesieniem sadownictwa na wsi galicyjskiej pracuje się dopiero od lat 20-u. Zaczęli to robić uczeni fachowcy, p.p. Goliński i Brzeziński, z ramienia Wydziału Krajowego. Rozpoczęła się ta praca od klimatyczno-geologicznego zbadania kraju, następnie zrobiono dobór gatunków odpowiednich ze względu na glebę i klimat, oraz na specjalne warunki, nieodłączne od hodowli włościańskiej.

Gatunki wybrane rozmieszczono podług stref, a że nieraz jedna gmina ma kilka stref, ze względu na górskie położenie niektórych okolic, więc roboty z dobieraniem gatunków, odpowiednich dla danej strefy, było niemało; następnie zabrano się do zakładania w różnych punktach kraju szkółek dużych, racjonalnie

prowadzonych pod kierunkiem fachowców. Szkólek takich jest piętnaście. Zajmują przestrzeń 100 morgów.

Zakładane są też i wzorowe sady, jak również w sprawę krzewienia po wsiach sadownictwa zostali wciągnięci i nauczyciele ludowi. Dla nich to urządzone są specjalne kursy z zakresu sadownictwa; ich sady przy szkołach wiejskich w wielu wsiach są już pogładową nauką, jak sady wiejskie winny być prowadzone; oni też zajmują się przeszczepianiem drzew po sadach włościańskich.

W tym zakresie porządkowania sadów włościańskich wielkie zasługi położył nauczyciel z podkrakowskiej wsi Witkowice, p. Słusarczyk, który własną ręką przeszczepił piętnaście tysięcy drzew owocowych.

Oto, jak ten wieloletni praktyk opisuje swoją czynność.

— „Aby z przeszczepiania drzew nie tylko włościanie, ale także i ich dzieci należyta odniosły korzyść, biorę po ukończeniu przedpołudniowej nauki, — we właściwej porze, — uczniów III i IV stopnia, którzy przedtem co najmniej dwutygodniową naukę praktycznego szczepienia w szkole odbyli, do ogrodu, który mam porządkować.

Zabierając się do przeszczepiania, staję obok drzewka, podczas gdy młodzież otacza mnie kołem; najbliżej mnie stoją ci chłopcy, którzy mają wykonywać pewne czynności, jak np. podawać pilkę, nóż ogrodniczy, zrazy, łyczko, maść i t. p.

Przy każdym drzewku daję odpowiednie uwagi i wyjaśniam, dlaczego w tem a nie w innym ścinam je miejscu, poczem ścięte miejsce gladzę nożem ogrodniczym, odchylam, a w razie potrzeby i przecinam korę, zacinam zraz, przykładam go, obwiązuję łyczkiem i zacieram ma-

ścią. Przy wszystkich tych czynnościach daję odpowiednie wyjaśnienia. Tak postępuję w pierwszym i w drugim tygodniu, w trzecim zaś przy mojej pomocy wykonują te czynności także zdolniejsi uczniowie."

W taki sposób pan Ślusarczyk zamienia całe gminy w kwitnące sady.

Zwiedzając Galicyę, widzi się już dość często przed szkołami racjonalnie założone, starannie pielęgnowane sady. Ale zdarza się widzieć otoczenie szkolne w wielkiem zaniedbaniu, a pomimo, że nauczyciel na koszt dworu odbywał naukę na kursach ogrodniczych, zamiast uprawiać warzywa, kwiaty i pielęgnować drzewa owocowe na gruncie szkolnym, wolał go wydzierżawić, niż tem się zająć.

Podobnie i przed chatami włościan widzi się ogródki posadzone z pewną myślą, ale nie starczyło woli na staranne pielęgnowanie ich, i stoją oto obok chat, skarłate i zaniedbane, jako żywe świadectwo braku wytrwałości u gospodarza, który taki sadek w jaśniejszej chwili swego życia sadził.

Ale mimo zły naogół stan sadownictwa, tu i owdzie znać już dużą poprawę ku lepszemu, są całe okolice dość rozległe, a nawet powiaty, dodatnie — pod tym względem — dające świadectwo dbałości mieszkańców.

Znaczne zasługi oddała tu racjonalna organizacya, oparta o nauczycieli ludowych.

W blizkim związku ze sprawą organizacyi w zakresie krzewienia wiedzy sadowniczej zostaje sprawa podniesienia produkcji owoców po sadach włościańskich.

Zajęli się tem bardzo gorliwie górnicy w Wieliczce.

Nietylko podnieśli sadownictwo u siebie, ale zaczęli skupować owoc z innych sąsiednich wsi. Niestety! nie ujęli tego handlu w całości

w swoje ręce, lecz występują dotąd jako pośrednicy wielkich kupców — owocami, żydów, którym w ostatnich latach i po 97 wagonów rocznie wysyłają z samej Wieliczki.

Wzorowo urządzony jest zakład ogrodniczy rady powiatowej w Wieliczce, pod nazwą „Piast”.

Siedm lat temu zaczynano tam pracę na jednej morgdze, obecnie szkółki powiatu wielickiego zajmują przestrzeń, wynoszącą 32 i pół morgi. Postawiono też porządne zabudowania, trzyma się parę koni.

Szkółki w Wieliczce, obliczone na odbiorców włościan, składają się głównie z jabłoni, grusz, śliw, wiśni i w małej ilości czereśni.

Drzewka są bardzo dorodne, prowadzone są tylko na oborniku, a więc nieforsowane, a to dlatego, aby potem, przeniesione na grunt włościańskiego sadu, wielkiej krzywdy nie miały. Sprzedawane są głównie po jarmarkach, a sprzedający ogrodnik wie, dla jakiej wsi jaką odmianę sprzedać może, ze względu na podział strefowy i skład ziemi. Ceny są dość niskie, gatunki dobre, w handlu się oplacające. Każdy kupujący dostaje instrukcję drukowaną wraz z planikiem, oraz wiadomościami, tyjącemi się przygotowania dołów, poprawienia ziemi, przygotowania drzew do sadzenia, opisu samego sadzenia, przywiązania, pielęgnowania drzewek, zabezpieczenia tychże na zimę.

Grunt w szkółce tej jest bardzo umiejętnie wyzyskany, w miejscach ugorujących lub w odstępach między sadzonkami sadi się fasolę i groszek. Wyprodukowane jarzyny, wagonami odsyła się do fabryki konserw, położonej niezbyt daleko, w dobrach jednego z arcyksiążąt, we wsi Izdebniku, w pow. myślenickim.

Szkółka powiatowa w Wieliczce, dzięki obrotności, z jaką jest prowadzona, utrzymuje

się o własnych siłach, pomimo, że płaci dużą dzierżawę, a i robocizna w uprzemysłowionym okręgu drogo kosztuje.

Szczepienia, oczkowania i formowania koron wyuczono tam kilka wiejskich dziewcząt, które prace te wykonywują z wielką starannością, szczególnie jedna z wielką biegłością wszystkie te prace przy mnie robiła.

Okazało się, że była to córka komornika z sąsiedniej wsi. Rodzice mają jedynie chatę i ogródek, ale ten mały sadek jest tak starannie przez młodą ogrodniczkę utrzymywany, że zwraca uwagę znawców.

Dziewczyna ta, pracując w zakładzie ogrodniczym przy szkółkach, zdobyła dużą dozę praktycznej wiedzy.

Kierownik tego zakładu o pracy kobiet wyrażał się bardzo pochlebnie.

Do pielęgnowania szkółek dziewczęta, byle je nauczyć, są doskonałymi pracownicami; mają lżejsze ręce, są znacznie bardziej drobiazgowe od mężczyzn, więc robią to staranniej od nich.

Żapytuję kierownika o warunki dla rozwoju sadownictwa w Galicyi.

— „Ależ my tu mamy doskonale po temu warunki, przede wszystkim klimat dobry, mamy nawet w podgórskich kotlinkach myślenickiego powiatu takie wsie, w których już ludzie winogrona w polu hodują i doskonale im dojrzewają.

Tylko u nas trzeba jeszcze wzbudzić zamiłowanie oparte na podstawie naukowej, którego brak naszym włościanom; trzeba przelamać ich nieufność, spowodowaną w części dawnymi wspomnieniami; przecież u nas w przeszłości wsi galicyjskiej mieliśmy i taki okres.

Rząd nałożył tak wysoki podatek na sady, że chłopci, nie chcąc go płacić, woleli się uciec do radykalnego środka i powycinali sady do

szczętu. Tymczasem sadownictwo u nas jest dochodową gałęzią; ceny na owoce są dobre, wysyłamy je głównie do Prus, gdzie ludzie umieją już jeść owoce. U nas owoc uważany jest jeszcze za przedmiot zbytku, ale już przez wytwórców wiejskich zaczyna być traktowany, jako poważne źródło dochodu.

Tacy górnicy z Wieliczki, coprawda od wieków lubiący sadownictwo, z dzierżawy sadów i skupu owoców z dalszych wsi mają od lat kilku poważne zyski, chociaż są tylko pośrednikami wielkich handlarzy owocami, — żydów.”

— „Czy niema włościańskich spółek owocarskich w Galicyi?”

— „Owszem, handlem tym od lat kilkadziesiątu na wielką skalę zajmują się Rusini. To ciekawa organizacya.”

— „Może mi pan o niej coś opowie?”

— „Bardzo chętnie: otóż te owoce, które w owocarniach Krakowa i Lwowa, a i po innych miastach Galicyi kupujemy, należą do starej z przed 30 lat spółki włościańskiej, ze wsi Synowódzka. Tych owocarzy rusińskich nazywają „bojkami”. Wieś ich jest ludna i wszyscy jej mieszkańcy z zamiłowaniem tym handlem się zajmują. Wiąże ich w tym handlowym interesie przysięga, podług pewnej formuły składana i zaprzysięgana w cerkwi.

Jest między nimi podział pracy, doskonale zorganizowany, a zważywszy niski poziom oświaty tych ludzi, wprost zdumiewający.

Jedni z nich jadą do Tryestu po lepsze owoce i stamtąd kierują wysyłką ich i opakovaniem; inni jadą do Węgier po konserwy owocowe, jeszcze inni rozjeżdżają się po owoce po Galicyi.

Stosownie do wielkości włożonego kapitału i rodzaju pracy, są wynagradzani za swą pracę, która daje im dostatnie utrzymanie.”

— „Czy polscy włościanie nie naśladowują „bojków?”

— „Owszem, w niektórych wsiach tworzą się małe, bardzo luźno związane, spółki owocarskie chłopskie. Zazwyczaj trzech lub pięciu przystępuje do takiej spółki. Dzierżawią razem sady, wszyscy dają jednakowy wkład i na sposób chłopski się liczą.

Jak wszyscy jadą furmanką lub płacą myto, to każdy płaci za siebie. W tym samym stosunku dzielą się też między sobą dochodami.

Te drobne spółki owocarskie włościańskie cechuje spora ruchliwość i pewien postęp w nich znać. Nie mogą się one jednak mierzyć z potężną, solidarną, zwartą organizacją handlową „bojków” z Synowódzka.”

## Dobrze rządzony powiat.

Powiat limanowski, w środkowej Galicyi, ściąga oddawna na siebie uwagę swoją umiejętnością w dziedzinie prowadzenia gospodarki w ramach ustawy o samorządzie powiatowym dla Galicyi.

Od lat siedemnastu czuwa nad dobrą gospodarką w tej części Galicyi sekretarz krajowej Rady powiatowej, wybitny kooperatysta, działacz społeczny, urzędnik - obywatel w jednej osobie, p. Józef Bek.

Jest to „pan na całym powiecie”, a rządzi nim, jak mądry a dobry gospodarz; na wszystkie potrzeby ludności, którą ma w swej pieczy, wielce wrażliwy i skutecznie umiejący im radzić.

W ciągu długiego okresu swego urzędowania, krok za krokiem zmierza do wytkniętego celu stworzenia dla ludności tego powiatu warunków, w których by dobrobyt, oświata i moralność mieszkańców mogły się podnosić i dźwigać ich na ten szczebel, na którym by zrozumieli, że swobody konstytucyjne to nietylko zniesienie przymusu, ale że wolność polityczna— to przede wszystkim możność i obowiązek czynnego radzenia samym sobie.

Rzućmy okiem na te prace, wypełniane w ramach gospodarki samorządnej powiatowej.

Trzeba wziąć pod uwagę, że jest to powiat czysto rolniczy o doskonałych, wprost idealnych w wielu wsiach, warunkach dla hodowli bydła i sadownictwa. Wyzyskuje się więc tam te przyrodzone warunki i tworzy najstarszy w Galicyi związek hodowlany włościański w Jodłowniku i przyległych sześciu okolicznych wsiach, tworząc ośrodek hodowli najbardziej rasowego, czerwonego bydła polskiego. Świadomi rzeczy rolnicy wiedzą dobrze, że racjonalnie prowadzona gospodarka hodowlana zbliża polskiego chłopą do typu światłego, drobnego hodowcy z Danii i Czech.

Dość jest przyjechać w te okolice powiatu limanowskiego, gdzie mieszkają ci hodowcy rolnicy, by się przekonać, że to inny świat.

Jest tam zamożność większa, wyższa skala potrzeb życiowych, wyższa oświata i większa ogłada towarzyska ludu.

Do najmiłszych wspomnień z mojej wycieczki po Galicyi zaliczam czas, spędzony w Limanowskiem.

Czułam się tam wśród ludzi, którzy wyszli już ze stanu zaściankowego bytowania i wchodzi w okres podejmowania coraz szerszych prac ekonomicznych, a w części i obywatelskich.

Dla psychologa stanowią ci „kmiecie” limanowscy arcyciekawy przedmiot badania; należą oni do typu pełnego fantazyi, są dziedzicami starej, pełnej prostoty i wytworności, rodzimej kultury.

Dla nich Rada powiatowa robi dużo: nie tylko czuwa nad tem, by Tow. Kółek rolniczych baczną opieką darzyło ten okręg hodowlany, w którym wśród ludu przechowało się głębokie zamiłowanie do hodowli bydła polskiej rasy, a w niektórych wsiach i koni, ale z uwagi na dobrze prowadzoną przez Tow. rolnicze akcyę hodowlaną, Rada powiatowa postarała się o założenie w mieście powiatowem stacyi dla pięciu stadników, zorganizowanej na wzór węgierski. Jest to pierwsza w Galicyi tego typu stacya.

Dzisiaj (przed wojną) włościanie tutejsi, hodowlą się trudniący, jeżdżą na wystawy bydła nietylko do Lwowa, ale i Wiednia, biorą tam za swoje krowy i stadniki nagrody i sprzedają sztuki, wyprodukowane w swych oborach, po 900 koron za stadnika, po 450 koron za dobrą krowę.

A drobni ci hodowcy są już tak uświadomieni zawodowo, że na najlepsze sztuki nie mają ceny, bo takie zatrzymują w swych oborach. I to jest największa z pochwał, jakiej im udzielić można.

Drugim działem, specjalną otoczonym w gospodarce tamtejszych włościan opieką przez władze miejscowe, jest sadownictwo.

Limanowski powiat był uprzednio огоłocy z lasów, na czem cierpiało bardzo rolnictwo. Sadownictwo było dobrze postawione w jednej tylko parafii, dzięki pomyślnym usiłowaniom pewnego księdza. Przedtem chłopci sadami się nie interesowali, poprostu lekceważyli ten dział w swoich gospodarstwach. Trzeba więc było

stworzyć zainteresowanie wśród ogółu włościan, rozpowszechnić w całym powiecie elementarne wiadomości z sadownictwa, usiać wsie wszystkie instruktorami, krzewić i popierać skutecznie sadownictwo na miejscu; należało jednocześnie założyć dużą szkółkę drzewek owocowych, z którejby włościanie mogli czerpać materiał, założyć sady wzorowe, zostające pod kontrolą ogrodnika fachowca, w których gospodarka cała zależałaby nie od widzimi się właściciela, lecz odbywała się podług racjonalnych wskazówek wykwalifikowanego ogrodnika. W takich ramach akcja sadownicza, konsekwentnie przez długi okres czasu prowadzona, mogła liczyć na poparcie włościan. Przystąpiono do wprowadzenia jej w życie.

Na wioskowych instruktorów sadowniczych upatrzono nauczycieli ludowych i przypilnowano, aby każdy z nich przeszedł kursy ogrodnicze i tyle na nich wiedzy zdobył, by mógł szczepić i przeszczepiać drzewka, kopać i zaprawiać doły dla nowo sadzonych szczepów, prowadzić sad, tępić szkodniki itp.

Założono pod miastem na sześciu morgach szkółkę powiatową drzewek owocowych, dobierając dla niej sadzonki podług gleby i strefy klimatycznej dla tej części Galicyi odpowiednie i gatunki, handlowy interes przedstawiające.

Przy szkółce zamieszkał ogrodnik, który często, w charakterze lustratora, wyjeżdżał na wieś do sadków włościańskich. Włościanin, kupując drzewka z tej szkółki, dostawał drukowaną, prosto a zrozumiale ułożoną, instrukcję, a w razie potrzeby znajdował skuteczną radę i pomoc u ogrodnika w szkółce powiatowej, o ile nie wystarczała mu wiedza ogrodnicza nauczyciela ludowego z jego wsi.

Obecnie, po latach trzynastu takiej pracy, stan sadownictwa w limanowskim powiecie przedstawia się tak:

Wysadzono na przestrzeni 90 wsi, wchodzących w skład tego powiatu, 100 000 drzewek owocowych, założono 150 „sądów wzorowych”, rozrzuconych na terenie powiatu w różnych miejscach, a sady te są szkółkami poglądowymi, jak należy prowadzić gospodarkę taką przy zagrodzie włościańskiej.

Zamiłowanie do sadownictwa przez częste ilustracje, pogadanki i rozpowszechnianą masowo odpowiednią literaturę tak wzrosło wśród ludu tego powiatu, że obecnie jest tam dość powszechnym zwyczaj sadzenia sądów „na raty”, to znaczy, że włościanin jakiś projektuje sobie większy obszar zadrzewić, ale ponieważ nie może się na to zdobyć odrazu, więc obsadzenie tego obszaru drzewkami owocowymi dokonywa w ciągu lat paru.

Są tam gospodarze wiejscy, marzacy o pozostawieniu dzieciom i wnukom dużych sądów „na pamiątkę”. Sama, będąc w taintych stronach, poznałam takiego włościanina, Wojciecha Bartosza ze Mstowa, który ma 800 zgórą drzewek w swym starannie utrzymanym sadzie, a pragnie dojść do tysiąca sztuk.

Sad jego otoczony jest troskliwą opieką Rady powiatowej, która bierze go pod uwagę, jako poważnego udziałowca w „Spółce sadowniczej”, o której się już tam mówi, przygotowując do niej grunt w umysłach włościan.

„Spółka” ta będzie nietylko sprzedawała owoce, wyprodukowane przez hodowców włościan, ale gorsze gatunki i odpadki będzie przerabiała na miejscu na wina, marmolady i powidła w swojej fabryce.

Dla wygodę tych włościan, którzy tutaj mają duże sliwniki a w niektórych wsiach ma-

ją nawet miedze polne obsadzone śliwkami, dbały o zaradzenie potrzebom gospodarczym ludu zarząd powiatu tutejszego, założył na wzór „bośniacki” \*), praktycznie pomyślane a tanie suszarnie i rozmieścił je w liczbie 7-miu w różnych stronach powiatu, tam, gdzie one były najbardziej potrzebne. Za niską opłatą włościanie tamtejsi mogą na jesieni suszyć w nich te śliwy, których nie sprzedadzą odrazu w stanie świeżym do fabryki śliwowicy, istniejącej w okolicach Jodłownika, a założonej w dobrach jednego z arcyksiążąt.

Rada powiatowa w limanowskim powiecie stworzyła, rzec można, ludowi rolnemu dwa nowe źródła poważnego dochodu z hodowli poprawnego bydła czerwonej rasy polskiej i z dobrze prowadzonych sadów.

Wielkie usługi oddawało tam włościanom przez pewien okres czasu i Towarzystwo zaliczkowe, mające w swym programie działania nietylko sprawy pieniężne, ale i ochronę własności ziemskiej drobnej.

Będąc w Limanowej, zachodzę do nowej, bardzo porządnie pobudowanej siedziby tego Towarzystwa.

Jest dzień targowy, więc ruch wielki.

Urzednicy jakoś inaczej, bardziej poufale a zarazem po ludzku załatwiają przybywających interesantów, a interesanci ci, to przedewszystkiem małorolni, przybyli po to, by pożyczkę zaciągnąć lub opłacić raty. Ze sposobu traktowania ich przez urzędników widzę, że wielu z nich, to dobrzy, starzy znajomi, których stan majątkowy jest tym urzędnikom dobrze znany.

I nic dziwnego! Towarzystwo zaliczkowe w Limanowej, istniejące od roku 1896, załatwia włościanom bardzo drażliwe sprawy majątkowe.

\*) Bośnia dostarcza na rynki zbytu najlepszych suszonych śliwek.

Było ono ni mniej ni więcej, jeno przysłowiową „deską ratunkową” dla tych, którzy, zabrnawszy w długi, nie widzieli już przed sobą innego ratunku, jak sprzedaż gorąco umiłowanego kawałka ziemi lichwiarzowi, będącemu zresztą faktycznym właścicielem obdłużonego nadmiernie chłopskiego mienia.

W tak oplakanem położeniu będący chłop, z dokumentami za pazuchą szedł do Towarzystwa zaliczkowego, do Biura Spółki Ochrony ziemi i opowiadał tam swoje położenie, nieraz istotnie rozpaczliwe.

Słuchano go tam pilnie, pytano rozważnie, przeglądano papiery, wysyłano lustratora na miejsce dla zbadania istotnego stanu rzeczy i ostatecznie kończyło się na tem, że wyciągano lekkomyślnego, a nieraz tylko nieporadnego gospodarza z długów, administrując jego mieniem, podczas gdy on sam szedł nieraz w świat za zarobkiem.

Po jakimś czasie Spółka Ochrony ziemi, potrąciwszy sobie skromnie obliczone koszty administracyi, oczyszczony i lepiej zagospodarowany majątek zwracała gospodarzowi.

W wielu wypadkach kończyło się na udzieleniu pożyczki i na kontrolowaniu systemu gospodarczego włościanina, który przez czas pewien musiał gospodarzyć u siebie we wskazany przez Spółkę sposób.

Jak widzimy, ratowano własność drobną w powiecie limanowskim w taki sposób, jak to czyni z większą własnością w Wielkopolsce pewna organizacya ziemiańska, zwana Związkiem Ziemiaków.\*)

Obecnie stosunki gospodarcze u włościan pod względem kredytowym i zawodowo-rolnym

---

\*) Patrz: „Nasz dorobek kulturalny — Wielkopolska.”

o tyle się poprawiły, że Spółka ochrony ziemi nie potrzebuje już brać w administrację włościańskich zagród, gdyż rolnicy sami baczą już pilnie, by przychód z rozchodem żył w dobrej zgodzie i do ostatecznego zadłużenia swego mienia nie dopuszczają.

W roku 1913 oddano ostatecznie włościańskie gospodarstwo po uregulowaniu w niem stosunków kredytowych i uporządkowaniu całej gospodarki w ręce właściciela.

Pamięć o błogosławionej, ratowniczej akcji Spółki ochrony ziemi włościańskiej napewno długo przetrwa w tym powiecie.

Na drugą taką spółkę w Galicyi nie naktęłam się, a przecież byłaby ona tak potrzebna w tych powiatach, gdzie lichwa panoszy się jeszcze po wsiach, a takich okolic nie brak tam jeszcze, mimo, że kasy Raiffeisena, których wspinały rozwój i doskonaly duch obywatelski jest chlubą Galicyi, działają energicznie, by to zło usunąć.

I w limanowskim powiecie kasy te uregulowały stosunki kredytowe. Na 90 wsi, jakie liczy ten mądrze zarządzany powiat, zaledwie w paru wsiach niema jeszcze kas pożyczkowo-oszczędnościowych.

Dość gęsto rozsiane są w tym powiecie i czytelnie Tow. Szkoły Ludowej, któremi nader gorliwie zajmuje się małżonka p. sekretarza Rady powiatowej.

Ale i ona przyznaje, że zainteresowanie czytelnictwem wśród ludu wiejskiego, jakie np. rzuca się w oczy w Wielkopolsce, a zupełnie zadawalająco przedstawia się w wielu okolicach Królestwa — w Galicyi nie istnieje. Że tak jest, winna temu szkoła galicyjska ludowa, która nie budzi w uczniach swoich zamiłowania do czytania, do dalszego pomnażania naby-

tych lub odświeżania zapomnianych wiadomości. Szkoła ta nie uczy, jak dalej trzeba uczyć się samemu.

To też zadanie, zaniedbane przez szkołę elementarną, podejmuje Tow. Szkoły Ludowej i Tow. Kółek Rolniczych.

Wszechstronnie dbała o potrzeby swych współpowiatników, Rada powiatowa w Limanowej podjęła akcyę, mającą na celu unarodowienie handlu. Zarząd powiatowy przez lat parę przygotowywał tam grunt spółce rolniczo-handlowej o typie syndykatu rolniczego. Odbywało się to w ten sposób, że na naradach z rolnikami zbierał sekretarz rady powiatowej zamówienia na narzędzia rolnicze, ziarno siewne, nawozy sztuczne, pasze treściwe itp.

Podobne zamówienia nadsyłały i kółka rolnicze, działające w obrębie tego powiatu.

Z takiego to handlu, na dość dużą skalę, choć dorywczo, prowadzonego przez lat parę, wyłoniła się tam organizacya spółki handlowej pod nazwą „Kosa”.

Istnieje ona lat ośm.

Zaczynała bardzo skromnie, mając zaledwie 37 członków. Obecnie ma ich zgórą 300.

Pracuje ta spółka rolniczo-handlowa o własnych siłach, *bez subwencyi rządowej*, co w Galicyi jest rzadkiem zjawiskiem.

A ten samodzielny żywot wychodzi jej snać na dobre, bo w ostatnim roku miała obrotu 1.120 000 koron. Spółka ta kupiła sobie dom za 25 tys. koron i spłaciła już 15 tys.

Założenie „Kosy”, dającej drobnemu rolnikowi nieco droższy nieraz, ale dobry towar, przyucza tutejszych włościan do posługiwania się niezafalszowanym nawozem sztucznym, do rem ziarnem do siewu i dobremi narzędziami rolniczemi, a to odbija się korzystnie na ich gospodarce. Pozatem przyucza brać sprawy

w swoje ręce i unikać nieuczciwego a tak nie-  
raz kosztownego pośrednictwa.

Sekretarz Rady powiatowej w Limanowej jest żarliwym kooperatystą, widać to ze wszystkich jego przedsięwzięć, które w ramach samorządu powiatowego realizuje.

Postarał się on i o dostawę soli. Ponieważ Galicya posiada już krajowe biuro statystyczne, które obliczyło w swoim czasie, jaka ilość soli wypada przeciętnie na mieszkańca Galicyi, więc łatwo było obliczyć, ile tej soli potrzebować będzie powiat, mający taką to a taką ludność.

Obliczenie takie zrobiono, a pan sekretarz w imieniu Rady powiatowej postarał się o wyjednanie monopolu solnego dla powiatu i ten artykuł spożywczy pierwszorzędnej potrzeby jest tam dostarczany mieszkańcom miast i wsi w ilości 80 wagonów.

Sprzedaż odbywa się hurtownie. Pierwszeństwo mają sklepy kółek rolniczych i sklepy polskie. Jest na tym handlu pewien zysk, wynoszący netto 1 500 koron rocznie, plus zadowolenie moralne, że się ludności dostarczyło dobrego towaru po uczciwie obliczonej cenie.

Za przykładem Rady powiatowej w Limanowej monopol solny zaprowadzić usiłowały i inne powiaty galicyjskie, niestety, z tą fatalną zmianą, że swój monopol solny, otrzymany od władz krajowych, oddzierżawiają żydom.

Skład solny mieści się w Limanowej w porządnym, murowanym budynku obok szkółki powiatowej sadowniczej i obok obory, w której mają pomieszczenie stadniki, a wszystko to stoi sobie na oczach ludzkich, bo pod miastem, przy szosie, na której panuje duży ruch. Obok magazynu solnego jest w Limanowej porządnie pobudowany skład na dachówkę ogniotrwałą.

Powstanie tego składu jest następstwem owej, błogosławionej w dziejach wsi galicyjskiej, uchwały sejmowej, kiedy to zawotowano dwa miliony koron na popieranie ogniotrwałego budownictwa po wsiach.

Z tego funduszu zapomogowego Rada powiatowa tutejsza w lot skorzystała.

Wypożyczyła ona z tego funduszu 25 tys. koron, by za te pieniądze zakupić dachówkę i wydawać ją tym gospodarzom, którzy domy swe pokryć chcą ogniotrwałym dachem.

Wynik był taki, że w ciągu paru lat pokryło domy swoje dachówką tego pochodzenia 800 gospodarzy.

— „Jest to stokroć pewniejsza gwarancja, że chłop pokryje dom dachówką, jeśli mu się ją da w naturze, niż gdyby mu się dało na kupno tej dachówki pieniądze; więc choć jest z tem trochę kłopotu, my zapomogi na budownictwo ogniotrwałe wydajemy tylko w tej formie i innym ten sposób, jako wypróbowany, polecamy” — objaśnia mnie p. sekretarz.

Podług obliczeń, czynionych w Galicyi przed wojną, za lat dziesięć byłyby tam doszczętnie zaginęły owe poetyczne, choć łatwo palne strzechy; odrazę do nich przynosi lud wiejski z Prus i Ameryki. Wszystkie domki, stawiane przez tak zw. „Amerykanów”, są mrowane.

W tym kierunku idą ku tej powszechnej na zachodzie ewolucyi i włościanie limanowskiego powiatu; ruch w budownictwie ogniotrwałem jest w całej, zwłaszcza zachodniej, Galicyi już dość znaczny, a tam bardzo ożywiony.

\* \* \*

Przechodząc któregoś dnia przez rynek, a więc najruchliwszą część miasta, na ścianie do-

mu, mieszczącego biuro powiatowe, zauważyłam sporą tablicę za siatką drucianą, a na tej tablicy szczegółowo, jasno i bardzo wyraźnie wypisane zapotrzebowanie pracy dla robotników rolnych, rzemieślników, terminatorów, służących i t. p.

Zapytałam o znaczenie tego ogłoszenia i dowiedziałam się o istnieniu 22 „giełd pracy” przy Radach powiatowych w Galicyi.

Pierwsze takie biuro pośrednictwa pracy powstało w Limanowej.

Biuro to ma taką wytyczną:

Wyszukuje się przedewszystkiem pracę na miejscu, a dopiero nadmiar rąk zwraca się w kierunku Ślązka, Czech, Węgier.

Choć biuro to istnieje w Limanowej niedawno, około tysiąca ludzi rocznie, na dobrych, uczciwie omówionych i zagwarantowanych warunkach, uzyskuje pracę.

Koszty prowadzenia takiego biura przy powiatowej maszynie urzędniczej są minimalne; płaci tylko niską opłatę pracodawca, robotnik jest zupełnie uwolniony od opłaty. Parę razy widziałam wysoką, siwowłosą postać p. sekretarza Rady powiatowej, otoczoną ludźmi, szukającymi w biurze powiatowem pracy.

W sposobie załatwiania tych interesantów widziało się tylko osobę obywatela, urzędnik był tam nieobecny.

W powiecie limanowskim zapoczątkowano też akcyę, mającą na celu wychowanie i praktyczne przygotowanie do dalszego życia samodzielnego opuszczonych sierot z tego powiatu.

Dobry, twórczy duch tej części kraju, p. sekretarz Rady powiatowej, wpłynął osobistą agitacyą na zarządy 90 gmin, w powiecie, i te na ten cel oddały prawie wszystkie fundusze, jakie mają w swych kasach gminnych z kar sądowych. W ciągu lat 12 tym sposobem.

uzyskano 35 tys. koron, a od Wydziału Krajowego pożyczono 20 tys. koron na lat 50.

Za te fundusze kupiono resztkę z dworskiego obszaru, a więc 30 morgów ziemi, 1 morgę lasu, dwór, ogród i budynki gospodarcze.

Miejscowość upatrzona dobrze.

Leży niemal w środku powiatu w pobliżu miasta powiatowego, stacya kolei jest w miejscu, a dobra szosa przechodzi tuż koło dworu.

Jest tam las i woda do kąpeli, a miejsce samo należy do ładniejszych w okolicy.

Wszystko zostało porządnie odnowione, a w części urządzone, do potrzeb i wymagań życia internatowego dostosowane.

W Łososinie, bo tak się ta wieś nazywa, w owym dworze, ocalonym z zawieruchy parcelacyi, będzie się mieścił zakład wychowawczy dla chłopców-sierot z całego powiatu.

Będą tam racjonalnie prowadzone warsztaty rzemieślnicze, a zimą ma tam być czynna szkoła rolnicza, ściśle do potrzeb włościańskiego drobnego gospodarstwa dostosowana.

Zimą będzie wykładana teoria rolnictwa, a w lecie chłopcy będą mieli praktykę rolniczą na dobrze urządzonej fermie szkolnej.

Szkoła zimowa będzie miała słuchaczy i z pośród okolicznych włościan.

Tego typu szkoły rolniczej, przystosowanej do potrzeb gospodarstw małorolnych, Galicya — kraj rolniczy w wyższym stopniu jeszcze niż Królestwo, dotychczas nie posiadała ani jednej.

Na nauczyciela w tej szkole rolniczej dla małorolnych był wyznaczony człowiek, który przez lat wiele był nauczycielem w niższej szkole rolniczej zimowej na Ślązku.

Zakład wychowawczy i zawodowy w Łososinie zostawać ma pod zarządem Rady Powiatowej w Limanowej, gminy wiejskie na utrzy-

manie tego zakładu rzekły się na przyszłość połowy dochodów rocznych ze swych kar sądowych.

Ma więc ten zakład zapewnione podstawy dalszego istnienia.

W chwili, gdy zwiedzałam ów racjonalnie administrowany powiat, zakład w Łososinie czekał na przybycie kierownika działu wychowawczego, aby zostać puszczone w ruch.

\* \* \*

Jedną z pilnych potrzeb, do której zaspokojenia dąży ów powiat, jest postawienie szpitala w Limanowej. Na zaczęcie budowy jego mają tam uzbieranych 40,000 koron.

W dziedzinie sadownictwa, tak się tam pomyślnie rozwijającego, dalszym etapem jest propaganda za spółkami do sprzedaży owoców i przeróbki tychże na wino, powidła i t. p.

Instruktor powiatowy, udzielający w dni targowe bezpłatnych porad z dziedziny rolnictwa, hodowli i weterynaryi, jeżdżąc po wsiach, zachęcał wtedy włościan, by zakładali spółki drenarskie.

Ale w wielu wypadkach organizacja takich spółek napotyka na wielkie przeszkody, a to głównie z tego powodu, że część gruntów wiejskich, o których drenowanie chodzi, jest w zarządze kobiet i nieletnich dzieci, podczas gdy mąż w Ameryce zarabia latami całemi na dokupno ziemi, zapłatę długu lub spłatę rodziną.

Trudno więc nieraz uzyskać przyzwolenie niezbędnej, według wymagań prawnych, ilości głosów do przeprowadzenia takiej spółki, bo brak w gospodarstwie włościańskim samego gospodarza, którego przyzwolenie na taką pracę melioracyjną jest konieczne.

Przypuszczać można, że w miarę jak poziom wiedzy rolniczej będzie się w tych stro-  
nach coraz wyżej podnosił wśród ogółu wło-  
ścian, i chęć do zakładania spółek drenarskich  
zwiększy się tam znacznie.

Ponieważ hodowla bydła i trzody zrobiła  
tam znaczne postępy, mówi się tam już o za-  
kładaniu „spółek producentów bydła i trzody”,  
ale dotąd takiej spółki jeszcze niema.

Choć powiat limanowski należy do mocno  
wytrzebionych z lasów, są tam jeszcze ich  
resztki w posiadaniu włościan. Otóż włościanie  
nie potrafią jeszcze prowadzić racjonalnej go-  
spodarki leśnej, i bardzo niedbale chodzą około  
tej gałęzi swego gospodarstwa i tutaj; ale bac-  
nie czuwający nad gospodarczymi interesami  
całego powiatu pan sekretarz gromadzi już fun-  
dusze i urabia opinię współpowietników, aby  
na miejsce leśnego dozorczy, jaki jest obecnie  
w gromadzkim lesie, będącym największym w  
powiecie, utworzyć posadę dla wykształconego  
leśnika, któryby upowszechniał sprawę zalesie-  
nia i racjonalnej gospodarki leśnej.

\* \* \*

Jak łatwo wywnioskować na podstawie  
rzeczy, opowiedzianych powyżej, powiatowi li-  
manowskiemu na dobre wyszło to, że w osobie  
swego sekretarza Rady powiatowej ma wybit-  
nego społecznika-kooperatystę i urzędnika-oby-  
watela — w tem dostojnem, szczerze polskiem  
rozumieniu tego pojęcia.

Ten urzędnik-obywatel jest tam po to, aby  
za pośrednictwem i przy pomocy fachowo u-  
zdolnionych ludzi kierować umiejętnie a sprawnie  
gospodarką całego powiatu.

To też nic dziwnego, że wszystko to, co  
wchodzi w dziedzinę stosunków gospodarczych,

jest tam już albo w znacznej części uporządkowane, albo się reguluje, a już wszystkiemu, co do pożytku ogólnego zmierza—wytwarza się warunki sprzyjające dalszemu rozwojowi nie tylko samych stosunków gospodarczych, ale i podnoszeniu wzwyż ludzi, którzy tam, w tej ruchliwej, czynnej atmosferze obywatelskiej pracy, zaprawiają się do samodzielnej działalności i podejmują odważnie coraz trudniejsze zadania.

— „A może pani chce jeszcze wiedzieć, na jakiej podstawie prawnej to wszystko tutaj organizuję?” — pyta mnie na zakończenie jakiejś dłuższej rozmowy o miejscowych stosunkach p. sekretarz.

— „Naturalnie, proszę mi to objaśnić, bardzobym rada wiedzieć, na jakich granitach oparta jest pańska praca, tutaj prowadzona.”

— „Jeśli mam tu jakie zasługi, to zapewne największą z nich jest ta, że objąwszy przed 17 laty posadę sekretarza Rady powiatowej, uważnie i nie tylko oczami przeczytałem ustawę o galicyjskiej reprezentacji powiatowej, w której jest i paragraf tak sformułowany:

„Do Rady powiatowej należy w szczególności zarząd ekonomiczny powiatu.

Zarząd ten obejmuje wspólny majątek i wspólne potrzeby powiatu i jego zakładów.

Zakładami powiatowymi są wszelkie wspólne instytucje i urzędy, które na mocy ustawy lub wskutek uchwał Rady powiatowej w obrębie ustaw powziętej — powstaną, a utrzymane są z funduszków powiatu.

Tu należą szczególnie uposażone z funduszków powiatu zakłady dla kultury krajowej, zakłady zdrowia, zaopa-

trzenie ubogich i inne dobroczynne, niemniej w obrębie ustaw założone instytucje i urządzenia w celu podniesienia oświaty”.

Oto ma pani w dosłownej cytacie kanwę prawną, na której wytrwale, pomaleńku, posuwając się naprzód, haftuję od lat 17.

Niestety! nie mam naśladowców w tej dziedzinie.

Podług mnie, jednym z największych nieszczęść Galicyi jest to, że mamy bodaj nadmiar ludzi od wielkich prac, a brak nam na każdym kroku pracowników, budujących cierpliwie gmachy wielkiej użyteczności gromadzkiej z drobnych cegiełek codziennych wysiłków.

To też ze smutkiem a i wstydem to mówię, powiat limanowski jest dotąd unikatem pod względem umiejętnego wyzyskania przysługujących nam praw autonomicznych”.

## Powiatowe Giełdy Pracy.

W r. 1904 Sejm galicyjski uchwalił ustawę o „publicznych biurach pośrednictwa pracy”, które właściwie „Giełdami pracy” nazwać trzeba.

Ustawa wspomniana miała na celu regulowanie stosunków istniejących wówczas w Galicyi w dziedzinie organizacyi pośrednictwa pracy, które przedstawiało się rozpaczliwie.

Galicya posiada milion dwieście tysięcy ludzi, potrzebujących pracy, łaknących jakiegokolwiek zarobku, a cała ta rzesza rzucona była na pastwę zdemoralizowanych agentów, prowadzących w tej części Polski z całym cynizmem handel białymi niewolnikami.

Wspomniana ustawa sejmowa stwarzała podstawę prawną do podjęcia zmian w tej dziedzinie stosunków gospodarczych.

Biura pośrednictwa pracy, na jej zasadach do życia powołane, miały ułatwić poszukującym pracy jej znalezienie i to za niską opłatą ze strony pracodawcy, bezinteresownie w stosunku do robotnika.

Tam, gdzie chodziło o wysyłkę robotników zagranicę, biuro w imieniu grup robotniczych zawierało z pracodawcą - cudzoziemcem umowę z obowiązkiem jej dopilnowania.

Biuro badało skargi i zażalenia robotników na niedotrzymanie warunków umowy ze strony pracodawcy i występowało jako doradca prawny i opiekun robotników.

Jak widzimy, miały Giełdy zakres działalności szeroki, miały też za sobą powagę i poparcie władz autonomicznych.

Giełdy pracy powstawać zaczęły przy Radach powiatowych, bo założeniem ich było stopniowe regulowanie stosunków pośrednictwa pracy powiatami, aby z czasem gęstą siecią swych agentur pokryć kraj cały i ukrócić tym sposobem pośrednictwo potajemne, obywające się bez żadnych ustaw, a mające swe siedziby po karczmach, kantorach lichwiarskich, banków, chatach chłopskich, a nawet pod gołym niebem — po jarmarkach i odpustach.

Po upływie lat dziesięciu założono w Galicyi 36 takich Giełd pracy, ale w 14 powiatach powstały te organizacje tylko nominalnie, możemy więc mówić o 22 powiatowych Giełdach pracy, funkcjonujących w Galicyi.

Strona finansowa, a więc utrzymanie tych biur przedstawia się tam tak. Oto koszt utrzymania takiej powiatowej Giełdy pracy, jako oddziału, mieszczącego się „kątem” w biurze

powiatowem, jest tak niewielki, że już przy tysiącu zgłoszeń daje nadwyżkę.

Podług sprawozdań Wydziału Krajowego z roku 1911, które mam pod ręką, okazuje się, że niedobór w ośmiu biurach pośrednictwa wyniósł razem 6 896 koron, w dwóch doszedł do 2.000 koron; nadwyżka zaś dochodów w pozostałych 14-tu biurach dała 36.155 koron, wynik finansowy, jak na początek, wcale pomyślny.

Dotychczasowe wyniki działalności tych powiatowych Giełd pracy za okres lat sześciu przedstawiają się w cyfrach następujących:

Dokonano pośrednictw :

w roku 1905	—	4.165
" 1906	—	12.098
" 1907	—	26.156
" 1908	—	27.656
" 1909	—	28 931
" 1911	—	31.919

Cyfry te wykazują pomyślny rozwój i stopniowy wzrost zaufania ludowych mas do tych instytucji, ale wobec 200.000 robotników, rokrocznie emigrujących w ostatnich latach z Galicyi w poszukiwaniu pracy na obczyźnie, jest to cyfra niezbyt duża.

Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że ruch wychodźczy w Galicyi jest znacznie starszy od tych Giełd pracy; miał on więc dość czasu, by wyłobić sobie drogi, z których trudno go zawrócić i trzeba na to długiej i wytrwałej pracy.

Z wykazów statystycznych Wydziału krajowego widzimy, że w tych powiatach, gdzie ruch wychodźczy jest młodszy, tam rzesze pracujące, nienawykłe jeszcze do „pokątnej”, prywatnej agentury, chętniej i ufniej przysunęły się do Giełd pracy, a tłómaczy się to tem, że nie było tam jeszcze innych pośredników.

Mimo wszystkie przeszkody, jakie galicyjskie Giełdy pracy powiatowe mają do zwalzcze-

nia, ludzie, świadomi tamtejszych spraw, twierdzą, że walka z agenturą pokątną, z niechęcią i ciemnotą mas robotniczych, musi się zakończyć zwycięstwem uczciwej zasady. Tylko Rady powiatowe muszą się zdobyć na większą wytrwałość i sprężystość w działaniu, a władze policyjne i starostwa muszą im udzielać energicznej pomocy.

Biuro w Limanowej wyszukuje zgłaszającym się doń robotnikom pracę w Galicyi, w Królestwie Polskiem, kieruje ich do Danii i Czech. Ale na 22 Gieldy pracy, po miastach powiatowych Galicyi funkcjonujące, jest to jedyne biuro, idące wbrew popularnemu prądowi.

Będąc w Limanowej, zebrałam tam też dane, tyżące się „Gield pracy”, chciałam się jednak dowiedzieć od kierownika głównego tamtejszej „Gieldy pracy”, najracjonalniej ze wszystkich galicyjskich prowadzonej, bliższych szczegółów o organizacyi takich biur i o kwalifikacyach ludzi, prowadzących w nich pracę.

Wywody jego streszczam poniżej, przypuszczając, że mogą się przydać tym, którzy u nas „Gieldy pracy” powołali do życia i nad ich dobrem a sprawnem działaniem czuwać są obowiązani.

„Jedną z przyczyn niepowodzeń w kierowaniu ruchem zarobkowym jest brak ludzi odpowiednich do kierownictwa biur.

Co do strony formalnej, tworząc takie biura po powiatach, nie powinno się ich pozostawiać po za ogólnem biurem wydziału pracy powiatowej. Przeciwnie powinno się taką powiatową „Gieldę pracy” uważać za integralną część biura powiatowego.

Nie należy jednak krępować swobody ruchów takiej „Gieldy pracy”, ale źle byłoby odosabniać taką placówkę od biura zwykłej powiatowej pracy.

Co do braku ludzi odpowiednich na stanowisko kierowników biur pośrednictwa pracy,—to musimy najpierw rozważyć, jakie przygotowanie winien mieć człowiek, który na stanowisku takiego urzędnika chce pracować.

Musi to być człowiek inteligentny o tyle, by mógł prowadzić korespondencję z pracodawcami, tak zagranicznymi jak i krajowymi, izbami rolniczymi, tow. rolniczymi, winien brać udział w obradach grup zawodowych, znać obce języki oprócz ojczystego.

Musi taki kierownik „Giełdy pracy” znać życie i ludzi, oceniać wartość i odpowiedniość ludzi do tego lub innego stanowiska, — nie może więc być nim człowiek młody, niedoświadczony.

Musi to być człowiek wypróbowanej uczciwości, gdyż na stanowisku, jakie piastuje, podlega częstym pokusom ze strony agentów zagranicznych, przez ręce jego przechodzą nieraz znaczne kwoty, jako zaliczki na koszty podróży partyi robotniczych.

Nie może to być młodzik, ale zarazem winien to być człowiek żywy, pełen werwy, a nie papierowy poprawny urzędnik. Kierownik „Giełdy pracy” powinien umieć ruszać się po wsi i dzielnicach robotniczych, winien posiadać sztukę umiejętnego gadania z ludźmi prosto, energicznie, czasem serdecznie — musi on umieć pracować bez rękawiczek. Tylko taki będzie umiał pozyskać wpływ na ludzi pracy, a to przecież rzecz bodaj, że najważniejsza.

Ale skąd tu u nas, w Galicyi, wziąć ludzi, którzyby łączyli inteligencję człowieka społecznego i spryt agenta?

Szkoły nasze nie wychowują ludzi czynu.

Dobrze jeśli czynny, przedsiębiorczy z natury chłopak, ostoi się w szkole i nie podda jej wpływowi; życia w żadnym razie w szkole na-

szej galicyjskiej nauczyć się nie może, bo w najlepszym razie, szkoła nasza uczy rozmyślenia o życiu.

Zgłaszają się tedy na kierowników biur pośrednictwa pracy albo ludzie papierowi, utrzymujący wzorowy porządek biurowy, często zgryźliwi emeryci, albo różne wykolejone osobniki, pragnące w krótkim czasie dorobić się czegoś i przerzucić się gdzieindziej.

W pierwszym razie mamy w biurze kancelaryjny porządek i „zupełny zastój”, w drugim „nadużycie zaufania”.

Rady powiatowe powinny pamiętać o tem, że biura pośrednictwa pracy, to nie urząd podatkowy, do którego zainteresowani zgłosić się muszą i zgłoszą w swoim czasie. Klienci, w tym wypadku pracownicy, mają dawno już doradców w miejscu swego zamieszkania.

Do robotnika, szukającego zarobku, trzeba pójść, trzeba umieć go sobie zjednać.

Siedzenie w kancelaryi i prowadzenie statystycznych wykazów „to są kpiny z giełd pracy i ich zadań”.

Trudność wyszukania ludzi, odpowiednio uzdolnionych, na kierowników biur pośrednictwa pracy polega jeszcze i na tem, że dochody i płace są tu dość nieokreślone.

Zakładając taką „Giełdę pracy”, nie zawsze można twierdzić z całą pewnością, że ona się utrzyma.

Polepszenie płacy kierownika zależne jest w tych galicyjskich biur pośrednictwa pracy od rozwoju biura, a to znów zależy od energii, sprytu i pomysłowości kierownika w dużej mierze, w części od okoliczności zewnętrznych.

W Galicyi do niedawna jeszcze było tak, że szanujący się młody człowiek, z pewnemi

„studyami”, biorąc się do jakiejś pracy, musiał wiedzieć z góry i napewno, jaką on „zrobi karierę”, przecież przedmiotem westchnień i szczytem marzeń licznych naszych rzesz urzędniczych, — to automatyczność awansu. Po co osobista energia, praca gorliwa, samodzielna, szczególne uzdolnienia?

Tymczasem na posadzie kierownika biura pośrednictwa pracy nie otwierają się żadne „widoki”.

Nieraz — mówi twórca po obywatelsku prowadzonego biura — zdarzało mi się, że młody człowiek odrzucił propozycję objęcia stanowiska, na którym wszystko zależało od osobistych zasług, ale gdzie „automatycznie” nie jechało się w górę.

Pod tym względem wyjątek stanowią Królewscy - emigranci waszej inteligencji.

Często właśnie wśród nich można spotkać ludzi o dużej energii, bystrej inteligencji, gotowych się podjąć właśnie takiej pracy „bez widoków”. W Królestwie nie psuło ich pod tym względem.

„Brak ludzi” — uważany jest u nas, jako zjawisko powszechne, jako przeszkoda nie do zwalczenia, stojąca w poprzek wielu, wielu usiłowań na polu pracy społecznej. Ale skoro jest brak ludzi — trzeba się zająć przygotowaniem takich pracowników, jakich jeszcze niema.

A jak to zrobić?

Stworzyć fundusz stypendyalny, upatrzeć ludzi i wykształcić ich fachowo na zdolnych i sprawnych pracowników dla takich „Giełd Pracy”.

## Ze wspomnień księdza wikarego.

W czasie ostatniego pobytu w Krakowie rozmawiałam kiedyś z młodym księdzem obec-

nie kierownikiem ruchu zawodowego wśród robotników chrześcijańskich w Krakowie.

Schodzimy na stosunki wiejskie i ksiądz z ożywieniem opowiada o pierwszych krokach swej społecznej działalności kapłańskiej.

— „Byłem wikarym w zaniedbanej parafii w Andrychowie. Parafia duża, 12 tys. dusz licząca, a do jej obsługi był proboszcz staruszek i 2 młodych wikarych.

Mieliśmy między parafianami ludność mieszaną, tkaczy w małej osadzie fabrycznej i wieś. Okolica tak silnie rozparcelowana, że tam, gdzie ja pamiętałem jeszcze 12 dworów, obecnie jest ich 2.

Pracy mieliśmy moc, bo samych szkół było siedm.

Pracy szkolnej na mnie np. tygodniowo wypadło 26 godzin. W osadzie była przędzalnia i farbiarnia. Robotnicy, to w części drobni rolnicy, głównie zaś chalupnicy. Ogółem tkaczy mężczyzn i kobiet było osiemset.

Wszyscy byli w wielkiej niewoli u żydów, którzy dawali im materyał i wypłacali jeno w części pieniędzmi, a resztę towarem ze sklepików.

Sam z ludu pochodzę, więc rozumiem, co to znaczy bieda i taka zależność od żydów.

Zabrałem się, jak umiałem, do roboty i udało mi się założyć w Andrychowie koło stowarzyszenia zawodowego „Zjednoczenie”.

Potem robotnice i robotnicy tamtejsi skupili się w stowarzyszeniu oświatowo-kulturalnem p. n. „Oświata i praca”.

Na wzór stowarzyszeń poznańskich, „Oświata i praca” miała osobne stowarzyszenie dla robotnic, osobne dla robotników. Lokale też naturalnie mieli oddzielne, jedynie przy okazji jakichś większych świąt, zabawie tanecznej, teatrze amatorskim wycieczce łączono się

w jedno towarzystwo. Jednocześnie — opowiada ks. wikary — rozbudziłem życie religijne, zwiększyła się liczba spowiedzi, dla robotnic zostały urządzone rekolekcyje. Robotnice były niemi tak przejęte, że zebrały z własnej inicjatywy 260 koron i swoim nakładem „na pamiątkę” wydały te rekolekcyjne nauki.”

Pokazuje mi też obraz treści religijnej, jakie mu wdzięczne za pomoc tak materialną, jak moralną robotnice ofiarowały, gdy ustępował z parafii.

Wyjmuje paczkę listów, w których członkinie „Oświaty i pracy” dzielą się z nim wiadomościami natury tak społecznej, z życia organizacji, jak i gospodarczej, radzą go się w trudniejszych wypadkach, donoszą o nowych zmianach, a nawet o meblach świeżo nabytych dla stowarzyszenia.

— „Więc księdzu proboszczowi wyjątkowo łatwo szła tam robotą, ani wzmianki o żadnych przeszkodach.”

— „Nie wspomniałem o nich dotąd ale były i dość trudne do zwalczenia.

Najpierw ludzie, oswojeni ze swą biedą, stracili wiarę, by im lepiej być mogło; pozatem nie miałem na tej parafii oparcia u nikogo, bo nawet i zacny ks. proboszcz, ale człowiek nie dzisiejszy, docinał mi przy każdej okazji, „że lekkomyślnie grunt pod socjalizm uprawiam”.

Dopiero, jak go kiedyś zaprosiłem na zebranie towarzyskie, na którym robotnicy wystąpili z jakąś komedyjką, śpiewem i deklamacjami, proboszcz musiał przyznać, że mniemany socjalista ani Kościoła, ani własności, ani rodziny wywracać nie chce.”

— „Ale opowiadano mi, że to księdza o mało nie uśmiercili socjaliści na jakimś wiejski m zebraniu. Jakże to było naprawdę?”

— „Przedewszystkiem nie było to na zebraniu, bo już było późno, jak przyjechałem do miejscowego księdza we wsi Buczkowice. Jest tam fabryka krzesel. Na początek ksiądz tamtejszy liczył na 150 członków. Miał się tam zawiązać oddział „Zjednoczenia”.

A że są tam socjaliści silnie zagospodarowani, więc rzecz prosta, że im się to nie podobalo. Ponieważ przyjechałem bardzo późno, więc o zebraniu i mowy być nie mogło, dano mi wieszczę i poszedłem spać.

Spałem w pokoju, którego okna wychodziły na drogę. Okna były starannie zasłonięte. Naraz koło 3-ej w nocy budzi mnie straszny hałas dużych kamieni, rzucanych przez okno z impetem na podłogę, i brzęk tłuczonego szkła. Ponieważ okna były zasłonięte, kamienie zmieniły kierunek i żaden mnie nie dosięgnął.”

— „To jednak i takie przeszkody trzeba brać pod uwagę w pracy wiejskiej.”

— „No, naturalnie, kto taką pracę zaczyna, na ciernie i kamienie, na deszcz potwarzy musi być przygotowany z góry.”

— „A jednak coraz więcej księży działaczy na wsi galicyjskiej spotkać można” — robię uwagę.

— „Początek do pracy w tym kierunku dał ks. Tyczyński z Albigowej, obecnie takich wsi mamy kilkadziesiąt, tylko nie są one tak rozreklamowane jak Albigowa.”

— „Może mi ksiądz proboszcz wymieni parę wsi, które poszły śladem Albigowej.”

— „Niedaleko Andrychowa ma pani taką wieś właśnie. Wieprze się nazywa.

Jest tam jedna z większych kas Rajffeisena, dom ludowy, teatr włościański, Kółko rolnicze, 2 sklepy, 2 szkoły. Są skauci, jest Drużyna Bartoszowa.

I tam pracę zaczął energiczny ksiądz proboszcz (ks. Marcin Krzesica). Praca szła mu zrazu, jak z kamienia, bo miał do czynienia ze strasznymi na okolicę pijakami, zadłużonymi po uszy.

Ale nie dał się zrazić trudnościami, kul póty, aż rozgrzał te twarde dusze, dziś już pracuje tam z gorącym poparciem swych parafian.

Tamtejszy Dom Ludowy powstał z dochodów kasy i mleczarni — kosztował dużo, bo 70,000 koron.

Niedawno jeden z tamtejszych zamożniejszych gospodarzy zrobił zapis na utrzymanie szkoły gospodarczej i ksiądz stara się właśnie o przeniesienie do swojej wsi takiej szkoły.

Na podobny wzór niemal jednakowo zorganizowane są wsie takie, jak Spytkowice pod Jordanowem i Szynwałd pod Tarnowem.

W Szynwałdzie ks. proboszcz Siemieński własnym kosztem wykupił propinacyę już przed 10-iu laty, i tam też już dzisiaj ludowa ofiarność w dużym zakresie jest rozbudzona.

— I ta fala coraz szerzej płynąć już będzie, my tu w Galicyi coraz częściej komunikujemy się z księżmi z Poznańskiego, a to są tędzy działacze, — uczymy się więc od nich i przerzucamy te wzory pracy z Księstwa do Galicyi, przystosowując je jeno do miejscowych warunków.”

## Praca pań z arystokracji wśród „cygarniarek”.

Będąc w Krakowie dla poznania tamtejszej pracy społecznej, nie mogłam pominąć i p. P..., która duży udział w takiej pracy właśnie tam bierze.

Zachodzę więc kiedyś do klasztoru Felicyanek przy ulicy Kollątaja. Zawiewa tu już wsią.

Pukam do furty. Otwiera mi ją jakaś połamana, szepleniąca biedota ludzka i zapytana przezemnie o p. P., informuje, że teraz jest obiad i prowadzi mnie do niezwyklej poczekalni, bo do kaplicy.

Siadam w ławce i czekam.

Kaplica nie przypomina tych jasnych ukwieconych klasztornych modlitewni, jakich tak wiele posiada Kraków, jest nieco ponura.

W tej porze schodzą się do niej staruszki, czekające w zaciszu klasztornej na przyjście śmierci.

Wieje od nich smutkiem i niedołęstwem starości.

Wzywają mię wkrótce do p. P.

Służąca jakaś prowadzi mnie przez jasny szeroki korytarz; jestto nowa część gmachu, urządzona jako pensjonat dla osób świeckich i wynajmowana im przez zakonnice z całodziennem utrzymaniem. Wchodzę wreszcie do pokoju urządnionego, jak graciarnia, ale nieład ten sprawiają stosy książek, których tu wszędzie pełno.

Pani P., pochodząca z arystokratycznej rodziny z Królestwa, jestto staruszka małego wzrostu, bardzo ruchliwa, o pogodnym wyrazie. Zaczynamy rozmowę, a ponieważ wiadomo mi, że znajduję się u osoby bardzo zapracowanej, biorącej czynny udział w kilkunastu stowarzyszeniach, więc, aby jej nie marnować drogiego czasu, stawiam kwestyę jasno i pytam:

— „Możeby mi pani mogła opowiedzieć, jak panie trafiły do „cygarniarek” \*) i jak tam paniom idzie praca?”

\*) „Cygarniczkami” vel „cygarniarkami” w Galicyi nazywają robotnice z fabryk tytoniowych.

— „Trafiłyśmy do nich przez księży Je-zuitów, bo oni tam wcześniej podejmowali już pewne próby organizacyjne.

Zacząło się od poznawania tych robotnic, od organizowania żywiołu ciemnego, znękanego lichwą, rozrzuconego na dalekich przestrzeniach miasta, mieszkającego tam, gdzie taniej.

Organizacya w naszym stowarzyszeniu jest dziesiętna i setna.

Dziesiętniczki mają duże pole do pracy w tej organizacyi i nad ich urobieniem moralnem pracujemy usilnie i wytrwale.”

— „Ile wasz związek liczy członkiń?”

— „Zorganizowanych „cygarniarek” mamy 400, płacą one po 10 halerzy tygodniowo, pieniądze te są następnie obracane na kapitał, wypożyczany przez stowarzyszone, potrzebujące drobnych pożyczek. Naturalnie pożyczki są bezprocentowe, a spłacanie ich odbywa się w ratach tygodniowych.”

— „Kto kwalifikuje do tych pożyczek stowarzyszone?”

— „To jest zadaniem dziesiętniczek, one też ściągają od nich tygodniową ratę.”

— „Czy nie popierają panie robienia oszczędności przez stowarzyszone?”

— „Owszem, gorąco do tego nawołujemy. Jest u nas w zwyczaju, że poczynając od 25 centów, składać można swoje oszczędności za kwitem, za to związek nasz wydaje marki, a gdy związkowa ma większą ilość tych marek, panie z zarządu odnoszą te sumki do kasy pożyczkowo-oszczędnościowej.

Jestto ułatwienie dla kobiet pracy, którym brak czasu na załatwianie formalności z kasą, otwartą w tych godzinach, gdy one pracują w fabryce.”

— „Czy są jakie ograniczenia przy zaciąganiu pożyczki bezprocentowej?”

— „Ta jedna tylko, że mają do niej prawo członkinie, zapisane do związku od 3 miesięcy.

Nie wiem, czy pani wiadomo, że my staramy się urabiać te robotnice na dobre gospodynie i matki. Przy związku „cygarniarek” jest praktycznie pomyślany kurs szycia prostych ubrań i bielizny oraz kurs gotowania.

Szycia uczą się nasze stowarzyszone w jednej szwalni, a gotowania przy szkole gospodarstwa na Pędzichowie\*).

— „Kiedyż się to odbywa, bo zapewne mają panie uczennice, które jednocześnie chodzą do fabryki.”

— „Mamy tylko takie. Ale widzi pani, my staramy się wszystko robić tak, aby było dopasowane do potrzeb i możliwości wykonania przez nasze stowarzyszone.

Każdy projekt, zanim wejdzie w życie, jest długo omawiany przez robotnice i dziesiętniczki, zanim zarząd ostatecznie go uzupełni i wykona.

Naturalnie nie zawsze te projekty, jakie powstają czy to wśród robotnic, czy dziesiętniczek, czy zarządu, wchodzi w życie, ale proszę wierzyć, że chodzi nam o przynoszenie istotnego pożytku tym opuszczonym i tak bardzo moralnie zaniedbanym kobietom. Poznawszy je, dostrzegłyśmy szybko ich wielki brak przygotowania do życia codziennego, no i postanowiliśmy im dać możliwość nauczania się tego, co im — jako matkom i gospodyniom, jest tak niezbędnie potrzebne.

W tym celu zorganizowało się kursy szycia, cerowania i kroju w każdą sobotę przez okres 3-miesięczny.

---

\*) Szkoła gospodarstwa domowego dla pań z inteligencji, poważnie prowadzona.

Niedziela, znów przez 3 miesiące, poświęcona jest na naukę gotowania.”

— „Czy nauka jest płatna i jak wysoko?”

— „Nie — nauka jest bezpłatna, ale płaci się za materiał, lub swój się przynosi, o ile chodzi o kurs szycia, i to samo jest przy nauce gotowania, płaci się za wiktuały do gotowania zużyte. Przy gotowaniu, dziewczętom uczącym się tego w dobrze prowadzonej szkole gospodarstwa domowego, dają się pewne wyjaśnienia o wartości spożywczej potraw, uczą się też prowadzić rachunki i obliczać wartość zgotowanej strawy. Przy końcu kursu jest skromny popis; w szwalni dziewczęta gromadzą swe roboty, które my z zarządu oglądamy, a na kursie gotowania sporządzają lepszy obiad i ten spożywamy razem.”

— „Czy stowarzyszenie ma bibliotekę?”

— „A jakże, raz na tydzień w piątek wydawane są z niej książki.

Raz na miesiąc w niedzielę jest też zebranie z pogadanką, produkcjami artystycznymi i herbatką.

Na tem zebraniu robotnice, dziesiętniczki i panie ze Związku Niewiast Katolickich, które w zarządzie i w bibliotece Związku „cygarniarek” pracują, mają możność bezpośrednio zbliżyć się do stowarzyszonych. Na Boże Narodzenie urządzany jest wspólny opłatek.

Panie z zarządu chciały niedawno zapoczątkować lekcyje języka niemieckiego i rachunków, — ale śnać myśl ta jest jeszcze przedwczesną, potrzeba samokształcenia w tej formie za mało odczuta i pomysł ten upadł. — Za to wielkie i żywe poparcie ma świeżo zorganizowany chór.”

— „A jak się przedstawia strona finansowa stowarzyszenia?”

— „Na pożyczkach stowarzyszenie ma 8 tysięcy koron, a na książeczkach w kasie oszczędności 12 tysięcy koron.

Oszczędności te gromadzą się na budowę własnego domu dla stowarzyszenia.”

— „Czy może mi pani jeszcze coś powiedzieć o warunkach pracy „cygarniarek”? Jak fabryki, w których pracują, są urządzone, może i o tem od pani coś usłyszę.”

— „Fabryki rządowe tytoniu uchodzą u nas, i słusznie, za wzorowo urządzone. Uwzględniają one potrzeby życia rodzinnego kobiet zamężnych i dietnych, a takich dużo pracuje po tych fabrykach.

Matki, mające drobne dzieci, przynoszą je z sobą i zostawiają pod opieką płatnych przez fabrykę dozorczyń. Jak dziecku trzeba dać piersi, matka idzie od pracy, by ten obowiązek macierzyński spełnić.

Rozkład pracy „cygarniarek” jest np. od 7—10 i pół, potem przerwa na obiad do 1-ej. Koniec pracy o 6-ej.

Ponieważ pomiędzy robotnicami jest dużo takich, które mieszkają daleko, pomyślano o tem, by w fabrykach tytoniu były kuchnie.

Robotnice, mieszkające daleko, przynoszą sobie strawę i odgrzewają ją w kuchni fabrycznej.

Fabryki tytoniu mają naturalnie kasę chorych, dość wysokie emerytury i zapomogę na pogrzeb.

Ponieważ o tem wszystkim te fabryki już myślą, więc nasz Związek nie potrzebuje o je potrzeby stowarzyszonych troszczyć się, dając jedynie pożyczkę w razie choroby członka rodziny.

Największem złem, które Związek nasz ukrócił wśród „cygarniarek”, była lichwa, istniejąca w tem środowisku na szeroką skalę i w

bardzo swoistej formie a mianowicie: Pożyczały te kobiety pieniądze nietylko na wysoki procent od żydów, fachowych lichwiarzy, ale zbierało się 4—5 zamożniejszych robotnic i zakładały mały lichwiarski interes na własną rękę. Handlowały pieniędzmi, biorąc od reńskiego, wypożyczonego na czas krótki, 5—10 centów tygodniowo. Taki proceder demoralizował bardzo owe robotnice, ale trudno go było wykorzenić.”

— „I jak panie sobie z tem poradziły?”

— „Udało się nam wykorzenić lichwę wśród nich tym sposobem, że zaczęłyśmy pożyczać im pieniądze bez procentu.

Potem dopiero powolutku, ostrożnie zaczęłyśmy się dobierać do śpiących dusz tych zde-moralizowanych i nieszczęśliwych kobiet.

Dziś wiele z nich ma już wrażliwe sumienie i rozumie różnicę między złem a dobrem, między tem, co się godzi a tem, czego uniknąć trzeba pod karą niesławy.

## Praca wśród pań majstrowych.

— „Niech mi pani opowie, jak pani trafiła do tak opornego żywiołu, jakim naogół są panie majstrowe?” — pytam p. S. znanej na krakowskim gruncie działaczki i popularnej autorki dla dzieci i ludu.

— „A, interesuje panią ta praca! Istotnie, to było dość trudno, trzeba było czekać na początek dobry w tej pracy lat parę, aż wreszcie to, czegom pragnęła gorąco, przyszło samo z siebie taką drogą okólną. Krótko powiedziawszy, trafiłam do pań majstrowych przez — czeladników.

Zacząłam w swoim czasie organizować w celach kulturalno-oświatowych młodych czeladników w stowarzyszeniu „Gwiazda”. Zorganizowani czeladnicy moi podnosili się duchowo, nabierali coraz szlachetniejszych upodobań; czytali dobre książki, grali w teatrze amatorskim, wspomagali się wzajemnie w potrzebie.

Z czasem ci młodzi zaczęli tworzyć rodziny, poznawali mnie ze swymi żonami i ich znajomymi, żonami innych młodych majstrów; przyszło mi wtedy do głowy zorganizować i te kobiety, dobrze odziane, syte, pewne siebie zazwyczaj, a tak ciemne i nieuświadomione, że aż trudno było mi na razie uwierzyć, że one takie być mogą.

Zorganizowałam je w „Koło królowej Jadwigi”, zbierałam, gawędziłam z nimi, wyrabiałam w nich pojęcia i szersze zainteresowanie sprawami społecznymi; uświadamiałam je narodowo. Dużo czasu trzeba było tracić na pracę natury negatywnej.

Czy da pani wiarę, że rok cały zeszedł mi na łagodzeniu drobnych zatargów, spowodowanych tem, że ta na tę to powiedziała, a tamta co innego.

Po roku odpadły z Koła te, które stać było na najbardziej eleganckie suknie, a więc: panie tapicerowe, żony malarzy pokojowych i t. p., a zostały te najbiedniejsze, najmniej pretensjonalne ale za to posiadające sporo dobrej woli nauczania się czegoś więcej nad to, co umiały, no i z temi zaczęła się robota, powolna, stopniowa, ale coraz głębsza i wydatniejsza. Dzisiaj, po paru latach pracy, moje panie majstrowe są już o tyle uświadomione, że prowadzą ruchome biblioteczki po domach robotniczych.

Na tym terenie zarówno pracę moralną jak oświatową prowadzą „majstrowe” z „Koła

królowej Jadwigi". Książki w biblioteczkach ruchomych są dobierane dla dzieci i młodzieży, ale chętnie czytają je i starsi.

Zbieramy też składki na Tow. Szkoły Ludowej, utrzymujemy z własnych składek ochronkę.

Lokal dotąd mamy „kątem” w Banku Chrześcijańskim, płacimy za niego tylko 10 koron miesięcznie. Na zebrania większe wynajmujemy dużą salę na mieście.

W naszym stowarzyszeniu rozwija się coraz bujniej życie towarzyskie, z przymieszką artystyczną.

Pani nie dałaby wiary, jak ci ludzie dbają o to, aby kształcić artystycznie swoje dzieci, jak chętnie opłacają nawet dość drogo stosunkowo za lekcje muzyki, śpiewu, deklamacyi, to też my, urządzając jakiś wieczór artystyczny, zupełnie dobrze możemy go urządzić własnymi siłami.

Zebrania odbywają się co czwartek, prowadzi je trzeba ciągle jeszcze z wielkim taktem, żeby nie zadrasnąć miłości własnej której z uczestniczek.

Opowiem pani parę przykładów z życia naszego stowarzyszenia, to się pani zorientuje łatwiej, jakie ono jest. Raz się zgadało na jednym z naszych zebrań, że dobrzeby było mieć własną mapę Polski w lokalu, aby dzieci stowarzyszonych i młodzież mogła się lepiej zapoznać z geografją własnego kraju. Było to w początkach tej mojej pracy.

W jakiś czas przybiegają do mnie uradowani bardzo młodzi czeladnicy i mówią:

— „Proszę pani, pan majster X... ofiarował się kupić nam wielką mapę Polski, możeby pani urządziła pogadankę i dla nas, nietylko dla dzieci.”

Widząc taką ich radość i zainteresowanie, uprosiłam pewnego znajomego profesora geografii, który miał na oznaczoną godzinę iść ze mną do lokalu stowarzyszenia, aby wygłosić odczyt o Polsce z uwzględnieniem przedewszystkiem jej położenia geograficznego.

Przychodzimy z panem profesorem i ku naszemu przerażeniu widzimy, że rzekoma mapa Polski była tylko mapą Galicyi — a nadto, ohydneho wydania.

Wtedy otworzyły mi się oczy, z jak ciemnym, pomimo pewnej zewnętrznej oglady, żywołem mam do czynienia, skoro między kilkudziesięciu ludźmi, nie będącymi już analfabetami, nikt nie opatrzył się, że mapa Galicyi nie jest jeszcze mapą całej Polski.

Jak trudno jest czasem dać sobie radę w tej sferze z uprzedzeniami kastowemi, ma pani dowód taki: zaprosiłam kiedyś prof. Morawskiego z jakimś wykładem do Domu Robotniczego. Profesor przyszedł, ja też przysłam, ale słuchacze nie przyszli, bo jako rzemieślnicy, uważali za ujmę dla swej godności przyjść do lokalu robotników."

— „Co za fałszywe pojęcie!”

— „Prawda, ale niewam już i chwile dobre: moje panie majstrowe składają dowody coraz większej samodzielności i wyrobienia. Np. nieraz zupełnie dobrze sobie dobiorą książki nowe do biblioteczek.

Jak je za to chwale — odpowiadają mi: My się już umiemy oryentować w wyborze książek podług autorów.

Bywa też, że idę w niedzielę przez Rynek, naraz jakiś pan kłania mi się ze specjalnem ugrzecznieniem. — „Pani mnie nie poznaje? Toż ja w „Gwieździe” z panią dawno znajomy. Ja ciągle panią jak matkę najlepszą wspominam. Pani mi duszę przemieniła, oczy otworzyła.”

Po wyjściu od pani S. przychodzą mi na myśl nasze tak zaniedbane stosunki w Królestwie po małych miasteczkach, gdzie to nieraz po kilkadziesiąt „pań majstrowych” przebywa, któremi nikt się pocziwie nie zajmuje.

Bywa tak, że mąż mularz albo inny rzemieślnik, lub z osad nadwiślańskich flisak, całymi miesiącami zarobkuje po za miasteczkiem, nieraz w znacznem oddaleniu. A kobiety pozostawione są złym nieraz wpływom i następstwem przymusowego opuszczenia ich przez mężów.

Te kobiety należałoby wziąć pod moralną opiekę.

Trafićby można do nich przez księdza najpierw, a potem należałoby wciągnąć je do organizacyi kulturalno-oświatowej, w następstwie wprowadzić do kooperatywy spożywczej, i tak na podobnej podstawie rozwijać je dalej.

Przez duszę trafiać do mózgu, by z czasem wziąć pod uprawę całego zaniedbanego człowieka.

## U „ZYTEK”.

Kraków przedstawia w swych licznych i bardzo różnorodnych stowarzyszeniach lepiej prowadzonych, — ciekawy wzór, jak w stare formy wlewać się może życie nowe.

Do tego typu stowarzyszeń należy organizacya sług, tak zwanych w języku miejscowym „Zytek”.

Kamienica cała przy ulicy Mikołajskiej, jeszcze trochę obciążona długiem, jest własnością tego ruchliwego stowarzyszenia.

Stara, o ładnych, sklepionych korytarzach, charakterystycznych ganeczkach, krużgankach

i licznych zakamarkach — kamienica, gruntownie odnowiona, oświetlona elektrycznością, jasnymi barwami pomalowane sale i pokoje, — wszystko to razem wzięte składa się na całość miłą i jasną.

Czem ten dom jest dla służącej, należącej do tego stowarzyszenia?

Smiało można odpowiedzieć — jest dla niej wszystkim.

Stowarzyszenie „Zytek” objęło niemal wszystkie potrzeby tej kategorii pracownic.

Z chwilą, gdy wiejska dziewczyna, nieznająca miasta, przybywa do Krakowa, wita ją na stacji członkini stowarzyszenia z opaską na ramieniu i zabiera do schludnego pokoiku, będącego poczekalnią.

Stąd dają jej służbę i biorą pod moralną kontrolę i opiekę stowarzyszenia.

W organizacyi sług jest kurs nauki gotowania, przystosowany do gustu i potrzeb średnio zamożnego mieszczańskiego domu.

Nauka trwa 3 miesiące.

Przyjmują tam na naukę gotowania i dziewczęta z Królestwa za opłatą 10 koron miesięcznie.

Niezależnie od gotowania, dziewczęta uczą się tutaj prania, prasowania, sprzątanania, nakrywania do stołu.

Kuchnia u sług krakowskich jest nietylko po to, aby się tam uczono gotować, ale służy jako dział dochodowy instytucyi, jest też po kilkaset obiadów, wydawanych dziennie, w dużej sali jadalnej, przy porządnie nakrytym stole, przybranym kwiatami; usługują schludnie ubrane dziewczęta w sposób poważny i uważny.

Klijentelę tej organizacyjnej restauracyi stanowią urzędnicy obojga płci, studenci, studentki, nauczyciele i nauczycielki. Są to stali

bywalcy, stosunek ich do usługi jest dobry i życzliwy z obu stron.

Obiady są sprzedawane podług trojkiej ceny od 40, 60, do 80 centów.

Służące, chwilowo bez miejsca będące lub takie, których państwo na czas jakiś wyjechali, przebywają w tym swoim domu, jako pensyonaryuszki.

Zwykłą grupą takich służących obiera sobie jedną za gospodynię i ta w osobnej kuchni gotuje dla wszystkich.

Sypialnie mają czyściutkie, wszędzie znać porządek.

Wogóle mają tutaj przebywające służące znacznie lepsze warunki higieniczne, niż to mają często na służbie.

Jest też w tej kamienicy szpitalik, osobny dla chorych nie zakaźnych, osobny dla chorych na gruźlicę.

Szpitalik przedstawia się dobrze pod względem urządzeń. Bardzo jasno, słonecznie i przestronno jest w oddziale dla chorych na suchoty. Takie są tu otaczane specjalną opieką, każda ma numer na naczyniach oddanych jej do użytku.

W chwili, gdy zwiedzałam ten dom stowarzyszenia, było takich młodych suchotnic—parę.

Miały one przy łózkach nawet bukietki z tanich polnych kwiatów, miały książki do czytania.

A przede wszystkim miały czystość wytworną, dużo światła, powietrza, dobre odżywianie, a nadto serdeczną opiekę.

Dla tych zagrożonych suchotami ma stowarzyszenie „Zytek” dom w Zakopanem, który przez zimę jest dla nich „Domem zdrowia”, a potem w sezonie letnim, po dezynfekcyi, zajęty jest przez zdrowe służące, które tam też

trudnią się prowadzeniem kuchni i wydawaniem obiadów.

W Krakowie oprócz szpitalika na 20 łóżek i oddziału w nim dla piersiowych na 6—8 łóżek, uboga ludność tej dzielnicy ma u „Zytek” poradę lekarską stałą, bo jest tam ambulatoryum dość porządnie urządzone, choć skromne, które w okresie od stycznia do czerwca 1914 r. udzieliło porad i opatrunków 1500 chorym.

Godziny przyjęć w tem ambulatoryum są od 7—9 rano naumyślnie tak wybrane, aby ludność biedna mogła, idąc na targ lub do zajęcia jakiegoś, zająć przedtem po poradę.

Lekarz jest płatny przez stowarzyszenie, pomocnicą jest kierowniczką zakładu, osoba, będąca kandydatką na męczennicę i wyglądająca tak, jakby nie zadługo ten ziemski padół opuścić miała.

W zakładzie jest szkoła niedzielna dla słujących, uczą się tam one czytać, pisać, rachować, trochę historii ojczystej i geografii.

Jest chór, — religijnych pieśni uczy śpiewać organista albo ksiądz, świeckich — jedna z pań wydziałowych.

Wychodzi tam pisemko, którego redakcyjną sekretarką jest służąca, służące także piszą dużo korespondencyi do tego swego pisma, noszącego nazwę: „Przyjaciel slug”.

Dziewczęta z tej organizacyi mają miny rezolutne, czują się u siebie i nie znać u nich bytniej unizoności w stosunku do pań z zarządu, które wnoszą tutaj swoją inteligencyę, pomoc i pracę ofiarną.

Obejmowanie całego domu przez instytucye tego stowarzyszenia odbywało się stopniowo i w miarę jak stowarzyszenie „Zytek” rozwijało się, lokatorowie byli usuwani, a na ich miejsce wnosil się jakiś oddział stowarzyszenia.

W każdym razie, za 2 korony rocznej składki członkowskiej, trudno dać biednej, samopas zazwyczaj idącej, służącej więcej nad to, co jej daje stowarzyszenie Zytek.

Pracując niezbyt dawno, dokazało ono dużo, bo skupiło przeszło 2 tys. członkiń, co, jak na stosunki galicyjskie, gdzie ruch zawodowy jest naogół słaby, przedstawia się dość poważnie.

O uświadomieniu społecznym „Zytek” galicyjskich świadczyć może fakt taki:

Skoro wieść o unarodowieniu handlu przedostała się z Królestwa do Galicyi, poruszyła ona i służące; w jednym z miast powiatowych Galicyi, służące „Zytki”, porozumiewszy się między sobą, zaczęły nagabywać swoje chlebobodawczynie, czy nie myślą otworzyć w tem mieście kooperatywy spożywczej; gdy panie odpowiadały w sposób wymijający, służące oświadczyły, że one gotowe są do takiej kooperatywy spożywczej przystąpić większą grupą, bo im już obrzydło kupowanie lichego towaru w brudnych sklepikach żydowskich.

Taka zdecydowana postawa „Zytek” w tem mieście stała się bodźcem dla żon urzędników, profesorów, doktorów i t. p. przedstawicielek inteligencji z owego miasta i kooperatywa spożywcza polska powstała tam i dobrze się rozwija.

Fakt ten świadczy dodatnio o wpływie, jaki stowarzyszone wywierają już na swe otoczenie.

---

## Dzieci dzieciom.

Pismo dla dzieci, wychodzące we Lwowie p. t. „Mały Świątek” podsunęło przed laty

swym młodym o wrażliwych duszach czytelnikom, myśl, aby założyli szkółkę i warsztaty zabawkarskie dla dzieci wiejskich, w pewnej biednej, zaniedbanej wsi, zagrożonej zupełną rutenizacją. Dziecinne serduszka drgnęły i odpowiedziały chęcią zorganizowania się dla podjęcia tego pięknego zadania, jakie im redakcja w wymownych słowach umiała przedstawić.

Zawiązane z prenumeratorów „Małego Świątka” Kółko Dzieci Tow. Szkoły Ludowej, opodatkowało się w wysokości 2 koron rocznie i za te pieniądze kupiono we wsi owej małą działkę ziemi, opuszczoną przez biednego chłopca, który się przyżenił na innej wsi; następnie wystawiono budynki na pomieszczenie szkoły elementarnej i szkoły zabawkarskiej.

Ciekawy ten zakład oświatowo-przemysłowy mieści się niedaleko stacyi Ożydów pod Lwowem we wsi Kuliki.

Dojazd końmi do Kulik, a i one same, to coś jak z bajki. Wielkimi lasami, do hr. Baworowskiego należącymi, jedzie się w głąb leśnego ostępu, odwiecznym tatarskim szlakiem, pełnym groźnych wspomnień i wyniosłych mogił.

Nagle wylania się wielka polana, a na niej w kolistym, właściwym najstarszym naszym wieśniaczym sadybom szyku, stoją małe, biedne chatynki. Mają one za sobą malowniczą linię poletek, zamkniętych wysoką ścianą borów ze wszystkich stron.

Szkoła stanęła naprzeciw łuku chat, na skraju gromadzkiego pastwiska.

Ładny dworcowaty budynek w ogródku pełnym kwiecia. Urządzony miło, prosto a pięknie, no i tak, że każdy, kto tam wejdzie, co do polskiego pochodzenia mieszkańców wątpliwości mieć nie może.

W sali szkolnej wisi wymowna tablica: „Dzieci polskie — dzieciom polskim z Kulik tę szkołę oddają”, a potem lata onego roku wiosnianego przebudzenia w narodzie, roku 1906. W szkole tej nauka idzie podług programu, opracowanego przez komitet, w którego skład wchodzi wybitne siły pedagogiczne, duży nacisk położony jest na śpiew chóralny, lekcye są przeplatane śpiewem, do którego nauczycielka akompaniuje, grając na skrzypcach. Wychodzi to bardzo ładnie i widać nieraz gromadki ludzi wracających z pola, jak przystają, aby onego grania i śpiewu chóralnego dziecinnych głosików posłuchać. Słuchają tego chóru w skupieniu i twarze o surowym wyrazie łagodnieją dziwnie w tem zaśłuchaniu.

Obok szkoły jest pomieszczenie na warsztat, gdzie starsi chłopcy robią zabawki z drzewa, o motywach swojskich, — ładne mebelki dla lalek i t. p.

Na ścianach warsztatu aforyzmy wyjaśniające znaczenie czasu, pracy, przemysłu ludowego.

Warsztat jasny, ożywiony piękną myślą. Przez okna otwarte wlewa się żywiczna woń tego leśnego ustronia.

Chłopcy o twarzach rozbudzonych pracują pilnie.

Jeden wycina górala, inny skauta, ten rzeźbi zakopiańską szafkę, inny maluje barwne oka w rozłożystym ogonie pawia, a tam sam pan czeladnik maluje góralskie cuchy i serdaki u całego szeregu górali.

Kierownik, dobry majster, małomówny, niepozorny wiejski parobczak z wyglądu, ubrany z waszecia, żyje w dobrym usposobieniu z wiejską gromadą i w razie czego potrafi jej nieść pomoc skuteczną.

W roku 1913, klęskowym dla Galicyi, on to pierwszy poddał gromadzie myśl, że mają prawo zrobić podanie do władz o zapomogę, tak potrzebną dla nich i dla ich bydła.

Przekonał ich, zakrzętał się i pomoc nadeszła, a potrzebna tam była wówczas bardzo, bo wieś jest uboga.

Kuliki liczą zaledwie 30 gospodarzy - nędzarzy, mających po parę mórg ziemi lichej i nie umiejących wiedzą rolną poprawić jej wydajności bardzo niskiej. Przed 8 laty, gdy tu wśród nich grono ludzi dobrej woli o wytrwałości niezłomnej zaczęło pracować, byli to ludzie napół dzicy.

Choć Polacy, i jak się z nazwisk zdaje, niektórzy pochodzenia szlacheckiego, tak ulegli wpływowi postronnym rusińskim, że zaledwie w 4-ch chatach na 30 mówiono jeszcze pacierz po polsku.

Świadomość gospodarzy wyrażała się w pojęciach jeno takich:

— „Jest nad nami cesarz gdziesi daleko i sąd w Złoczowie.”

Wśród nędzy, brudu i ciemnoty, z dnia na dzień całymi miesiącami głodując, wlekli ci leśni mieszkańcy swój marny żywot.

Teraz znać tam już wielki postęp.

W chatach czysto i nawet dość zasobnie w sprzęty i szmaty. W ogrodach dużo jarzyn, starannie, widać, że na modłę naśladowaną z ogródka szkolnego, sadzonych.

Ludzie umieją się już zachować, umieją po polsku rozmówić się, złagodnieli obyczajowo bardzo.

Przez szkołę zabawkarską, dostawy i odstawy dla niej, sporo zarobku zyskała ta mała wioseczka.

Obecnie dąży się tam do założenia Kółka rolniczego, którego podstawowemi pracami by-

łoby przekonanie gospodarzy, że oprócz dwóch lub trzech zamożniejszych, wszyscy inni powinni skasować w swych gospodarstwach „konie-złodzieje”, a przejść do robienia w krowy, oraz do nauczenia ich siał żyta na łubinie. Namawiałam, tam będąc, do reformy gospodarczej pewnego gospodarza, który mi szczegółowo pokazywał swoje pola i całe obejście.

Przy poletku, zasianem zwyrodniałem żytem, mówimy o tem właśnie.

— „A dyć o tym łubinie pod żyto, to mi dużo prawił mój brat, co do naszego dworu na dniówkę chodził, on tam widział, jak to robili. Piękne żyto było, bom i sam widział.”

— „Ano widzicie — podchwytyję jego słowa—samiście widzieli, jak dobrze na takim zielonym nawozie żyto rośnie, a teraz pomyślcie tylko, jeśli dworowi taki zachód i wydatek o płaca się, o ileż więcej wam, co sobie sami zrobicie wszystko.

Ale jak się na to już zaweźmiecie, to nie pożałujcie i na odmianę ziarna do siewu, bo to wasze, to już wam dawno za służbę podziękowało, a wy ani na to uważacie.”

Po tej i tym podobnej rozmowie z paroma gospodarzami w niedzielę po sumie, zeszli się do ładnej salki w szkole. Mówiłam im o tem, jak to w Wielkopolsce i w Królestwie po Kółkach rolniczych ludzie wiejscy pracują i jakie z tego zyski mają. Słuchali uważnie.

Potem wyciągnęłam ich na gawędę — mówili z ożywieniem i dość swobodnie o swoich potrzebach—godzili się na założenie Kółka rolniczego i na wyrzucenie karczmy i żyda z niej, by na jej miejscu założyć sklep, a z czasem może i coś więcej. Znając zaniedbaną przeszłość tej zgubionej w lasach wioski, byłam zdumiona ich dobrą orientacją i lotnością umysłową.

Czyżby to był wpływ daleki rasy, który na fizycznym ich wyglądzie tak wyraźnie się zaznacza?

Może — może...

Ale zapewne jest to rezultat rzetelnej pracy, od lat paru prowadzonej. Jeden z nauczycieli ludowych, który w pierwszym okresie istnienia szkoły w Kulikach całą duszą oddał się pracy wśród nich, opisał przeszłość Kulik na podstawie tak własnych obserwacji, jak i opowieści starszych gospodarzy.

A więc Kuliki, owa osada zagubiona w wielkich lasach, składała się ze smolarzy, bartników i strzelców.

Żyli długie czasy z lasu, barci i z bydła, które wypasali na żyznych polach leśnych. Z czasem poczęli coraz więcej gruntu wyczyniać i nim się zajmować. Ludność to była mieszanego i dość awanturniczego pochodzenia.

Jeden np. o nazwisku szlacheckiego brzmienia opowiadał mu, że miał dziadka „wielkiego pana z Krystynopola” i jego do powiedzenia tego dzieciom swoim zobowiązał.

W innej chacie mieszka taki, którego z dziada i ojca przezywają „szwoleżer”, a chłop już nie młody i sam nie baczy, co ta nazwa znaczy. Takie to wieści różne, ułamkowe, o przeszłości owej siedziby różnych ludzkich rozbitków pozbierał ów pierwszy nauczyciel kulickiej szkoły, który też bez żadnego wstrętu z tymi leśnymi mieszkańcami się bratał, chodził do nich na wieczorne pogawędki, czytania — śpiewy.

A że tam żył wśród nich, jak starodawny bakałarz, bo codzień u innej rodziny dziecka uczącego się w szkole strawę jadał, więc miał doskonałą sposobność wniknąć w życie i w przeszłość tych ludzi.

A że był duszą gorącą, więc chętnie dawał z siebie to, na co go było stać.

Potem Kuliki widziały różnych ludzi przyjeżdżających do szkoły, z dziecinnych funduszków utrzymywanej; — widziały, jak w dzień uroczystego poświęcenia szkoły, ksiądz biskup Bandurski odprawił Mszę polową pod cieniem rozłożystych dębów, jak św. Wojciech wśród pruskich lasów — porównuje bakalarz wspomniany powyżej.

Dalej widziały, jak dzieci z wiejskiej szkółki rozsypywały koło szkoły w ogródku złocisty piasek z Wisły, z pod Wawelu wzięty, zmieszany z ziemią z kopca Kościuszki, a przysłany na tę uroczystość, przez dzieci krakowskie.

Do Kulik często też zaglądali różni światłonoścy, którzy pogadanki pożytecznej treści miewali do mieszkańców zaniedbanej wioski.

W miarę, jak Kuliki zaczęły się zbliżać do życia innych wsi galicyjskich, trafiła tam rzecz prosta i wieść o szczęśnej doli w Ameryce: to też niedawno kilku nawet młodych parobczaków poszło spróbować onego zamorskiego szczęścia.

· · · · ·

Niezbyt dawno „Mały Świątek” poddał swym czytelnikom, należącym do Kółka T. S. L., \*) utrzymującego od lat 10-ciu szkołę w Kulikach, myśl, aby starały się zarabiać te pieniądze, które na szkołę ową do redakcyi swego pisma nadsyłają, a następnie w jednym z numerów tego pisma pojawiło się takie pytanie: „Odpowiedzcie, w jaki sposób będziecie w roku 1914 zdobywały pieniądze na kółko T. S. L., na szkołę w Kulikach?”

\*) Tow. Szkoły Ludowej, to samo co Macierz Szkolna u nas.

Dzieci bardzo chętnie zaczęły nadsyłać na to zapytanie odpowiedzi.

Oto niektóre z tych odpowiedzi: Staś K. ze Lwowa pisze:

— „Za każde słowo, użyte z obcych języków, będę zbierał 2 gr. do puszki, by z końcem roku przesłać je „Małemu Świątkowi”. W ten sposób nie tylko wspomagać będę naszą „Szkołę”, lecz także wykorzenię kilkanaście obcych wyrazów. Będę też pomagał rodzeństwu w odrabianiu zadań, za co otrzymam 50 groszy”.

„Pieniądze na Koło T. S. L. „Małego Świątko” w r. 1914 zdobędziemy tak, jak w roku ubiegłym. Hala codziennie nalewa wodę tatusiowi do mycia i daje kurom jeść, ja znowu wieczorem, gdy kury pójdą już do kurnika na noc, liczę czy są wszystkie, budynki gospodarskie zamykam na kłódki i nastawiam samowar”.

Staś M. z Nowego Sącza donosi: „Oszczędzę tygodniowo po 4 gr. na T. S. L. za to, że będę codzień zamiast mamusi odmykał drzwi ojcu, żeby się mamusia nie przeziębila”.

Lula z Dunajewa pisze:

„Babcia moja nie może się schylać, a ja sobie zarabiam na szkołę w Kulikach, że ścięram kurze u nóżek foteli, które stoją w pokoju mojej Babcy i za to Babcia mnie w niedzielę wypłaca”.

Tolusia z Krakowa:

„Ja będę cerowała pończochy braciszka, a on drze bardzo pończochy. Mamusia za to włoży mi 10 groszy co tydzień do puszki.

Julek B. z Tarnowa:

„Od dwóch tygodni czyszcę wszystkie klamki u drzwi i okien, a gdy oczyszcę, mama wrzuca do skarbonki 4 gr. Szkoda, że pani Redaktorka nie może widzieć tych klamek, jak się pięknie błyszczą”.

Stach z Rudawy:

„W mojej szufladzie i szufladzie Władzia zeszyty i książki czasami nie leżą w porządku. Mama obiecała, że jeżeli cały kwartał zawsze wszystko będzie poskładane, to nam obu da po 26 groszy na Kółko. Aż się boję, bo kwartał to długo i przecież czasem coś stać się może”.

Jedna z czytelniczek, której życzenie spełniając, redakcja nie podaje imienia, tak się spowiada:

„Pisałam „Małemu Świątkowi”, że nie wiem, w jaki sposób będę zbierała pieniądze na T. S. L. a dziś wiem. Oto dotąd obgryzałam paznokcie i Mamusia i Tatuś naturalnie martwili się tem, a że na mnie innego ratunku nie było, więc Mamusia powiedziała, że da mi do puszki 1 koronę, jeżeli nie będę już więcej obgryzała paznokci. Napisałam to „Małemu Świątkowi”, ale proszę cię, drogi mój „Świątku”, nie opisuj tego bardzo wyraźnie, aby wszyscy czytelnicy i czytelniczki o tem wiedzieli, a ja za to pieniążki będę posyłała zawsze „Małemu Świątkowi”. Proszę zapisać mnie do Kółka T. S. L., za rok ubiegły zapłacę, gdy będę miała już pieniądze”.

Kazio B. z Limanowej: \*) „Z wielkiem zaciekawieniem czytałem dziś w „Świątku”, jak dzieci pracują na T. S. L. Proszę zapisać na członków mnie i mojego brata ciotecznego, Władzia T. Zawsze sami nakrywamy do stołu, pracujemy w ogrodzie, a teraz będziemy czyścili klamki, noże, buciki swoje, to się coś zarobi”.

Jadwisia i Józio z Zakopanego:

„Pieniądze, które daje mi Mamusia na cukierki albo ciastka, daję na Kółko dzieci,

---

\*) Jestto syn p. sekretarza Rady powiatowej z Limanowej. Patrz rozdział „Wzorowo rządzony powiat.”

brat zaś urzędu przedstawienia, za które bierze pieniądze i daje na Kółko dzieci”.

Maryna D. z Borek Wielkich:

„W tym roku będziemy tak zarabiali na Kółko dzieci T. S. L..., że ja będę wybierała dla wszystkich pończochy i bieliznę z szafy na niedzielę i za to dostanę 10 gr. tygodniowo. Moja młodsza siostrzyczka będzie ścierała kurz i dostanie za to 8 gr. na tydzień”.

Tadzio B. ze Sniatyna:

„W ten sposób będę zdobywał pieniądze na kółko T. S. L. „Małego Świątku” i na szkołę w Kulikach: gdy przychodzę ze szkoły nie kładę książek na miejsce, a kurtkę rzucam na łóżko. Dlatego Mamusia powiedziała, że jeżeli będę kładł książki i kurtkę na swoje miejsce, to da mnie 4 grosze na tydzień.

Proszę tylko o wiadomość, jak i kiedy mam przysłać uskładane pieniądze na Kółko T. S. L. i szkołę w Kulikach”.

Dziutek z Żórawna:

„Czytając w „Małym Świątku”, jak dzieci zarabiają pieniądze na Kółko T. S. L. i szkołę w Kulikach i ja obmyśliłem sposób. Od nas do szkoły jest dość daleko i ja bardzo się błocę przez nieuważne chodzenie, tak, że służąca nie może doczyścić moich butów i płaszczyka a Mamusia powiedziała, że jak będę uważał i nie błocił się, to za to co niedziela da mi do puszeki 10 gr. Już za 2 tygodnie mam 20 gr. i proszę mnie zapisać do T. S. L. a ja gdy nabieram, odeślę najpierw 1 koronę, a później resztę”.

Zosia B. ze Lwowa:

„Na szkołę w Kulikach złożę w ten sposób, że codziennie będę nakrywała do stołu zamiast Jagusi. Mój braciszek Janusz będzie czyścił klatki papugi i kanarka, a najmłodszy

Dzidziu obiecał mniej figli płać. Mamusia obiecała nam tygodniowo 20 gr."

Tadeusz K. z Krzywego:

„Ja zarabiam na szkołę w Kulikach w ten sposób, że przepytuję siostrę Zosię codziennie z lekcji niemieckiej i sam się dobrze nauczę, bo Mamusia da mi za to co tydzień 8 halerzy, a jeszcze Mamusia obiecała dać mi za to 1 koronę, jeżeli z niemieckiego w świadectwie zamiast „dobry” będę miał postęp „bardzo dobry”.

Ania B. ze Lwowa:

„Ja będę robiła porządek w moim pokoju i będę się prosto trzymała i za to dostanę 15 halerzy tygodniowo”.

Janinka z Perchińska:

„Ja bardzo dużo płaczę, a Mamusia powiedziała, że jak cały tydzień ani razu nie będę płakała, to mi da 20 h. Jak uzbieram koronę, to pošlę redakcyi”.

Z tych odpowiedzi naiwnie szczerych łatwo wywnioskować, jak drogą jest czytelnikom „Małego Świątka” szkoła w Kulikach, skoro zdolni są dla niej do takich ofiar i do systematycznej pracy.

Warsztaty zabawkarskie w Kulikach posłały w r. 1914 na wystawę do Lyonu ciekawe dwa okazy: Jednym z nich był kościółek w stylu podkarpackim, otoczony grupami lalek, ustrojonemi w barwne przyodziewki Górali, Krakowiaków i Hucułów. Drugim ciekawym zabawką naszego budownictwa pradawnego drzewnego była cerkiewka z podsieniem, też otoczona ludem ruskim w swych strojach odświętnych.

Danem mi było oglądać w lokalu Ligi przemysłowej we Lwowie obydwie te okazy,

pochlebnie świadczące o wysokim poziomie artystycznym uczniów tej szkoły. Wobec budzącego się u nas zamiłowania do motywów swoich i w zakresie zabawkarstwa, nie od rzeczy będzie pamiętać, że na „gwiazdkę” warto by na nasz rynek warszawski sprowadzić artystycznie wykonane zabawki z kulickich warsztatów. Redakcja „Małego Światka” we Lwowie, ulica Lelewela l. 31, chętnie w tem pośredniczyć będzie.



Taką oto sylwetkę stosunków galicyjskich skreśliliśmy w grubych zarysach. Sądzimy jednak, że warto się zamyślić głębiej nad tym wizerunkiem, a może.... może po takim rozmyśleniu nie jeden listek pogardy dla przysłowiowego niedołęstwa galicyjskiego opadnie cicho, bez szelestu, z konarów tego drzewa, które słusznie nazwać by można drzewem wszechpolskiej niewiadomości o istotnej mocy naszej Ojczyzny.

---

## SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
Różne typy wsi galicyjskiej . . . . .	5
Albigowa (Uprzemysłowiona wieś) . . . . .	8
Jodłownik (Związek hodowców bydła) . . . . .	18
Wilkowisko (wieś—sad) . . . . .	40
Łoniowy (wieś kooperatystów) . . . . .	46
Sułkowice (wieś rzemieślników) . . . . .	85
Wrażenia z kursów dla włościanek . . . . .	98
Szkoły rolnicze (Miłocin, Suchodół) . . . . .	115
Szkoła mleczarska w Rzeszowie . . . . .	125
Pawlikowice . . . . .	133
Drobne gospodarstwo hodowlane . . . . .	141
Wielkofolwarczne gospodarstwo . . . . .	159
Sprawnie działające Kółko rolnicze . . . . .	166
Luźne wrażenia z posiedzenia sądu roz- jemczego . . . . .	169
Działalność wiejskiego dworu . . . . .	176
Dzielna nauczycielka ludowa . . . . .	182
Seminaryum w Snopkowie . . . . .	185
Praca Kółek rolniczych . . . . .	189
Jak pracują Kasy Rajffeisena . . . . .	213
Teatry ludowe . . . . .	231
Sadownictwo włościańskie . . . . .	235
Mądrze rządzony powiat . . . . .	241
Powiatowe Gielidy pracy i ich kierownicy	257
Ze wspomnień ks. wikarego . . . . .	263
Praca pań z arystokracji wśród „cygar- niarek” . . . . .	267
Praca wśród pań majstrowych . . . . .	273
U „Zytek” . . . . .	277
Dzieci dzieciom . . . . .	281

## Głosy krytyki

o „Wielkopolsce” Stef. Bojarskiej-

(Nasz dorobek kulturalny, część I.)

*Tygodnik „Na Posterunku”* (№ 10 z dnia 4-go marca 1917 r.).

„Wprawmem i umiejętnem piórem kreśli autorka rezultaty swych wędrówek i studyów w Wielkopolsce. Nie są to ani gruntowne, ani systematyczne badania. Mają jednak wartość poważnych do takich badań przyczynków, bo fakty zaczerpnięte zostały u źródła i tak zestawione, aby uwydatnić dorobek kulturalny tej dzielnicy i wskazać reszcie Polaków, czego się w niej nauczyć mogą..”

*Dr. Z. Daszyńska-Golińska.*

\* \* \*

*Dziennik „Kurjer Poznański”* (№ 48 z dnia 1-go marca 1917 r.).

„Autorka na wiosnę 1914-go r. gościła przez czas pewien na ziemi wielkopolskiej i tu w drodze wywiadów zbierała informacje, uzupełniając je pozatem wiadomościami, czerpanymi z najrozmaitszych publikacji.

Poszczególne tematy ujmuje autorka nie w suchy sposób zwykłego referatu lecz w formie barwnych szkiców, często dosłownie oddających rozmowy autorki z wybitniejszymi kierownikami naszych organizacji.

Formę książki uważamy za bardzo dodatnią i szczęśliwą. Całość czyta się lekko i z zainteresowaniem...”

*Paweł Spandowski.*

Gazeta „*Kurjer Polski*” (№ 10 z dnia 10/I 1917 r.).

Autorka, znana publicystka i prelegentka, a wyśmienita znawczyni wsi, w długich wędrówkach po wszystkich prawie ziemiach Rzeczypospolitej zebrała bogaty materiał, oświetlający nasze stosunki ekonomiczno - społeczne... Ukazała się część pierwsza, obejmująca Wielkopolskę... Praca p. Bojarskiej powinna się znaleźć w ręku nie tylko wszystkich pracujących na niwie społecznej, ale również w ręku każdej bez wyjątku uświadomionej społecznie jednostki, dla której nie może i nie powinno być obojętne to, co w zakresie kultury z mozołem znacznie większym, niż w innych szczęśliwszych krajach, zostało osiągnięte na ziemiach polskich.

\* \* \*

Dziennik „*Kurjer Warszawski*” (z dnia 13/I 1917 r.).

Niewielka ta rozmiarami lecz ze znajomością rzeczy opracowana, pouczająca książka, zawiera przejrzyste i przystępnie wyłożone ale gruntowne wiadomości o życiu Wielkopolski, o jej dorobku kulturalnym, ludziach zasłużonych i współczesnym typie pracy społecznej. Oparta na spostrzeżeniach bezpośrednich, podaje praca p. Bojarskiej najwybitniejsze momenty społecznej pracy Wielkopolan. Nieprzeciążona liczbami, obfituje natomiast w treściwe jędrne uogólnienia, na których tle ukazuje się plastycznie społeczny i gospodarczy wizerunek życia Wielkopolski.”

\* \* \*

Tygodnik „*Przewodnik Kótek i Spólek Rolniczych*” (№ 7 z dnia 15/II 1917 r.).

„Stan gospodarczy zaboru pruskiego, rozkwit rolnictwa i współdzielczości, to są rzeczy

znane ogólnie. Wszyscy też wiemy o dobroczynnym wpływie dzielnego duchowieństwa wielkopolskiego, mniej osób już słyszało o zasługach Marcinkowskiego, Chłapowskiego, Jackowskiego, Wawrzyniaka i tylu innych działaczy społecznych, którymi w takiej liczbie nie może się pochlubić żadna inna dzielnica. Ale niewątpliwie najmniej znany jest współczesny ruch oświatowy w Poznańskim, o którym nader ciekawe wiadomości przywiozła nam ze swej wędrówki Autorka tej książeczki. Jakże my tu w Królestwie skromnie wyglądamy, gdy naprz. wziąć pod uwagę wyniki pracy T-stwa Czytelni Ludowych w Poznaniu, które z tysiąca kilkuset swych czytelników prowincjonalnych wypożycza książki każdemu bezpłatnie. Jak wygląda nasze czytelnictwo, nasze pisma ludowe, gdy w zaborze pruskim niektóre gazety mają po 150 tysięcy prenumeratorów! A kraj jest znacznie mniejszy od naszego Królestwa, a warunki prowadzenia tej pracy są bardzo nieprzyjazne. Podziwiamy ofiarną pracę inteligencji i uświadomienie narodowe warstw ludowych. Podziwiamy i naśladujemy naszych braci z Wielkopolski!

\* \* \*

Książka *St. Bojarskiej: „Wielkopolska”* kosztuje 1 mk. 90 fen.

Dostać ją można we wszystkich księgarniach.





32573/  
2

## Księgarnia Kroniki Rodzinnej

w Warszawie, Plac Zamkowy (Podwałe 4)

ooo

poleca wydawnictwa następujące:

	Mk. f.
Błęszyński J. dr. „Rozwój gospodarstwa społecznego” . . . . .	—75
Bojarska St. „Potęgumy wytwórczość” . . . . .	—50
„ „ „Wielkopolska” . . . . .	1.90
Choiński Jeske Teodor „Poznaj żyda” . . . . .	2.50
Foerster W. dr. „Seksualna etyka i pedagogika” . . . . .	2.50
„ „ „Drogowskaz życia” . . . . .	2.50
Godlewski M. ks. dr. „Potrzeby naszej ludności robotniczej” . . . . .	—50
Jankowaki Cz. X. „O byt ekonomiczny” . . . . .	—40
List pasterski Leona XIII do robotników . . . . .	—25
Palau T. J. „Katolik w czynie” . . . . .	1.25
Romanowski H. „Solidaryzm” . . . . .	—75
Szymański A. ks. dr. „Uświadomienie katolickie” . . . . .	1.50
Szymański A. L. „Wśród Słoweńców” . . . . .	1.50
Szczeklik K. ks. dr. „Znaczenie pracy w świetle wiary” . . . . .	—50
Teodorowicz J. arc. „Dwie mowy do robotników” . . . . .	—75
Sertillanges O. „Czy istnieje polityka chrześcijańska?” . . . . .	—25
Sertillanges. Myśl przewodnia polityki chrześcijańskiej . . . . .	—40
Zasady ogólne ruchu chrześcijańsko-demokratycznego . . . . .	—05